



**„KADENCJA
W PRZESTWORZACH”**
CZYLI DIENNIKARSKA
OPOWIEŚĆ O KULISACH
PREZYDENCKICH
PODRÓŻY



MARYJA – NAJBARDZIEJ
WPŁYWOWA KOBIETA
W DZIEJACH. BIOGRAFIA

**ZMienił PŁEĆ,
POTEM ŻAŁOWAŁ DECYZJĘ.
DZIŚ PRZESTRZEGA INNYCH**

**PRZEWOZY
NA APLIKACJĘ
– BĘDZIE BEZPIECZNIEJ!**

**NAJWIĘKSZY
KONSERWATYWNY
TYGODNIK OPINII
W POLSCE**
Nr 16 (542) 2023
17–23 kwietnia 2023
CENA: 8,90 zł
(w tym 8% VAT)

SIECI



UJAWNIAMY:

**FILMOWY
CIOS
W PŁEĆ
OBROŃCÓW
GRANIC**

**AGNIESZKA HOLLAND PRACUJE NAD
KINOWYM OBRAZEM O ZŁYCH POLAKACH
W MUNDURACH I DOBRYCH MIGRANTACH.
CZY TO HYBRYDOWE UDERZENIE
ZASZKODZI POLSCE?**

9 772544 269504

INDICES 287393 ISSN 2544-2694

1 6



Zapraszamy do obejrzenia na żywo transmisji
z pierwszego **Energetycznego Forum wGospodarcie.pl**,
specjalnej edycji Forum poświęconej tematyce
transformacji energetycznej

Oglądaj na żywo **20 kwietnia o godz. 10:00**
na profilu FB wGospodarcie.pl

PARTNER STRATEGICZNY:



PARTNERZY:



P E R N

GAZETA BANKOWA
NAJLEPIEJ WIEDZIEĆ O GOSPODARSTWIE W POLSCE

SIECI

wPolityce.pl

W POLSCE PL

wGospodarcie.pl

Czy Berlin zostanie sam w atakach na Polskę?

Nie mam wątpliwości ani złudzeń: amerykańska i polska polityka są i pozostaną rozdarte sporami ideologicznymi. Ta wojna kulturowa jest dla Zachodu prawdziwą tragedią i bardzo go osłabia, ale my akurat nic poza obroną elementarnego zdrowego rozsądku nie możemy z tym zrobić.

Warto jednak na tym tle dostrzec wzrost kategorii interesu w polityce światowej. Prezydent Macron, król postępu, pędzi do Chin z holdami. Niemcy – podobno mocarstwo moralne – są tak uzależnione od dających im przewagę konkurencyjną tanich rosyjskich surowców, że bez mrugnięcia okiem czekały na upadek Kijowa. A dzisiaj ta potęga przemysłowa nie jest w stanie dać z siebie wiele w dziedzinie pomocy sprzętowej dla Ukrainy.

Historia przyspieszyła, zaczęła się gra o pozycję w nowym, dużo bardziej brutalnym – wojennym niestety – świecie. Spadają też maski, wychodzi, kto naprawdę jest przywiązany do wartości zachodnich, kto reprezentuje wartości europejskie.

W chwili próby Polacy, tak wcześniej atakowani za przeciwstawienie się granicznej operacji Łukaszenki i Putina, okazali się prawdziwymi Europejczykami, gotowymi otworzyć swoje domy dla rzeczywistych uchodźców wojennych. Duża część starej Europy była gotowa sprzedać Ukrainę oprawcom Putina. To fakty. Nie zawiodły Stany Zjednoczone. Kolejny raz ratują Europejczyków przed tyranią i hańbą.

Sojusz polsko-amerykański stabilizuje sytuację, jest ważnym elementem bezpieczeństwa naszego regionu i całej Europy. Wizyta premiera Mateusza Morawieckiego w USA przyniosła kolejne decyzje w tym kierunku. Można też zaryzykować tezę, że stronie polskiej udało się odkłamać fałszywy obraz Polski w elitach demokratycznych. Polska pomoc dla Ukrainy, zdecydowane kroki w kierunku energetyki odnawialnej i atomowej, gotowość do ponoszenia dużych wydatków na bezpieczeństwo i cierpliwe tłumaczenie, dlaczego system sądownictwa w Polsce trzeba zreformować (dziedzictwo komunizmu, a nie żadne „rule of law”) przyniosły pozytywne zmiany.

Wiceprezydent Kamala Harris przed spotkaniem w Białym Domu z premierem Mateuszem Morawieckim stwierdziła wobec dziennikarzy: „Polska jest wartościowym sojusznikiem, partnerem i przyjacielem. Mamy trwałą relację opartą na wspólnych priorytetach i wartościach demokratycznych”. W opublikowanym później na stronach Białego Domu komunikacie czytamy: „Wiceprezydent wyraziła uznanie dla przywództwa Polski w zmniejszaniu uzależnienia Europy od rosyjskiej energii i pogratulowała wyboru amerykańskiego partnera technologicznego do rozwoju programu cywilnej energetyki jądowej, który wzmocni nasze dwustronne więzi i europejskie bezpieczeństwo energetyczne, pomoże w walce z kryzysem klimatycznym i stworzy tysiące miejsc pracy w naszych krajach”.

Co ciekawe – jak się dowiedziałem – w spotkaniach nie brał udziału ambasador Stanów Zjednoczonych w Polsce Mark Brzezinski, którego niektórzy opisują wręcz jako nieformalnego członka sztabu Rafała Trzaskowskiego. Ale ta opinia wynika pewnie z nieporozumienia, to chyba tylko mocne towarzyskie relacje.



Warto przypomnieć, co mówiła o tych wszystkich atakach na Polskę poprzednia, z nadania Trumpa, ambasador USA Georgette Mosbacher: „Unia Europejska niezwykle nieszczęśliwie padła ofiarą dezinformacji, fali fake newsów i propagandy ze strony Rosji [...]”. Ta dyskusja, która toczy się w Unii Europejskiej odnośnie do Polski i praworządności, jest zwyczajnie niesprawiedliwa [...]. Obawiam się, że to ciągle czeplanie się Polski wynika z niezrozumienia tego kraju, który w Europie Środkowo-Wschodniej jest liderem”. Szkoda, że takie słowa nie padły, gdy sprawowała urząd. Może nie mogła.

Politycy niemieccy powinni dostrzec wagę wydarzeń w Waszyngtonie. Czy rozumieją, że Berlin za chwilę może zostać sam w atakach na Polskę? Przez słowo „Berlin” rozumiem też Brukselę, bo przecież jest jasne, kto te sprzężyny bezprawnych sankcji nakładanych na nasz kraj, obecnie przyfrontowy (sic!), nakręca.

Cele niemieckie są jasne: zainstalowanie uległego, by nie powiedzieć: marionetkowego, rządu w Warszawie z przysłanym specjalnie w tym celu politykiem na czele. W ten sposób chcą zabić polską ambicję, zahamować nasz rozwój, zlikwidować główną przeszkodę w budowie niemieckiego superpaństwa, nowej Rzeszy. Nie ma w Europie klimatu na takie eksperymenty, nie ma na świecie. Niemcy znowu stracili rozum, pędzą jak opętani ku celowi, który może im przynieść kłopoty. Jeszcze jest czas, by się opamiętali. Zawrócili z tej drogi.

Po wybuchu wojny punkt ciężkości politycznej kontynentu przesunął się w kierunku Warszawy, oczywiście nie sam, ze znaczącym udziałem rządzących Polską elit. To premia za konsekwencję, odwagę, jasny plan, ciężką pracę. Tego nie da się znieść podkręcaniem ataków za pomocą wpływów w mediach i w totalnej opozycji. Naprawdę, jak się nie opamiętają, za chwilę zostaną sami.

W Waszyngtonie, jak usłyszałem, dobrze czytają sondaże. A w Berlinie tylko wstępniaki w niemieckich portalach.

Michał Karnowski



28

**Eksplozja
zbożowej miny**
Jan Rokita



45

**Wyciek tajnych
dokumentów**
Marek Budzisz



48

**Z ukraińskim oficerem
o rosyjskiej armii**
*rozmawia Jakub
Augustyn Maciejewski*

NA POCZĄTEK

- 6 SYGNALISTA NADAJE**
Nieoficjalny przegląd tygodnia
- 8 CIERPIENIA MŁODEGO DUBLERA**
Krzysztof Feusette
- 9 MĄKA JAK PAPIEROSY**
Dorota Łosiewicz
- 10 ŚWIATOWE ŻYCIE**
redaguje Konrad Kołodziejski
- 12 BARDZO POWAŻNY APEL**
Jan Pietrzak
- 12 PRAWDA NIGDY NIE LEŻY POŚRODKU**
Dominik Zdort
- 13 TEMIDA W TĘCZOWYCH OKULARACH**
Bronisław Wildstein
- 14 WALIZKA JULITY KOŻUSZEK**
Michał Korsun
- 16 OGNIEM NA WPROST**
Andrzej Rafał Potocki
- 17 UDOGODNIENIA DLA KRWIODAWCÓW**
Marta Kaczyńska-Zielińska
- 18 POLSKA I EUROPA STOJĄ PRZED
KLUCZOWYM WYBOREM**
Samuel Pereira

TEMAT TYGODNIA

- 20 O ZŁYCH POLAKACH
I DOBRYCH OBCYCH**
Marek Pyza, Marcin Wikło

KRAJ

- 26 CUDOWNY PLAN TUSKA**
Stanisław Janecki
- 28 EKSPLOZJA ZBOŻOWEJ MINY**
Jan Rokita
- 31 CHCESZ POKOJU, SZYKUJ
SIĘ DO WOJNY**
Konrad Kołodziejski
- 34 Z PROF. MIECZYSLAWEM RYBĄ**
rozmawia Jacek Karnowski
- 38 OPOZYCJA NIE ZNA POLAKÓW**
Dariusz Matuszak
- 40 POWRÓT Z PIEKŁA**
Goran Andrijanić
- 42 Z ŻAKLINĄ SKOWROŃSKĄ**
rozmawia Dorota Łosiewicz

ŚWIAT

- 45 WYCIEK TAJNYCH DOKUMENTÓW**
Marek Budzisz
- 48 Z UKRAIŃSKIM OFICEREM
O ROSYJSKIEJ ARMII**
rozmawia Jakub Augustyn Maciejewski
- 50 PAPIEROWY TYGRYS ZNAD SEKWANY**
Aleksandra Rybińska

OPINIE

- 53 JUDASZ ZREHABILITOWANY**
Grzegorz Górny
- 56 BIOGRAFIA NAJBARDZIEJ
ROZPOZNAWALNEJ KOBIETY ŚWIATA**
Goran Andrijanić

HISTORIA

- 58 BOHATEROWIE ŚWIĘTEJ WARMII**
Maciej Walaszczyk

SIECI KULTURY

- 61 CZY WARTO SIĘ BAĆ?**
Jolanta Gajda-Zadworna
- 63 ZAREMBA PRZED TELEWIZOREM**
Piotr Zaremba
- 64 DRUGA REAKCJA POGAŃSKA**
Robert Tekieli
- 66 CZYTANIE JAKO SPORT
EKSTREMALNY**
Wojciech Stanisławski

GOSPODARKA

- 74 BRAZYLIJSKIE KUSZENIE**
Marcin Wikło
- 78 BEZPIECZNIEJ W TAKSÓWCE
NA APLIKACJĘ?**
Piotr Filipczyk

PODRÓŻE

- 84 MOJE SZLAKI: LENA GÓRA**
Jolanta Gajda-Zadworna

KUCHNIA

- 85 SŁODKO-SŁONY/WILCZYM OKIEM**
Anna Monicka, Przemysław Barszcz

NA KONIEC

- 86 MIEJ MIŁOSIERDZIE DLA NAS**
Alina Czerniakowska
- 87 LEKCJA NIEMIECKIEGO**
Piotr Cywiński
- 87 BECZAŁA: GŁOS, REFLEKS,
SZCZĘŚCIE**
Adam Ciesielski
- 88 UNIA ŚLEPCÓW**
Wiktor Świetlik
- 88 WYJŚĆ CZY NIE WYJŚĆ?
– OTO JEST PYTANIE**
Lech Makowiecki
- 89 NIEUCHRONNOŚĆ I BEZRADNOŚĆ**
Leszek Długosz
- 90 ZAPÓŹNIENIE STRATEGICZNE**
Andrzej Zybortowicz



Poezja Witolda Pileckiego

„Kwiat biały olbrzymia. Witold Pilecki. Wiersze i piosenki” to tytuł płyty, na której znalazło się dziewięć autorskich kompozycji i aranżacji muzycznych poezji autorstwa Witolda Pileckiego. Koncert premierowy odbył się 1 marca o godz. 20.30, w Narodowy Dzień Pamięci Żołnierzy Wyklętych, w Studiu Koncertowym Polskiego Radia im. Witolda Lutosławskiego

Rotmistrz Witold Pilecki to nie tylko bohaterski ochotnik do Auschwitz, urodzony żołnierz i wytrawny konspirator. To obrońca polskich granic w 1939 r., uczestnik walk powstania warszawskiego, to wreszcie ofiara komunistycznego reżimu. Jest także Pilecki mniej znany, czyli społecznik, agronom, a wreszcie poeta – przykład romantycznej kresowej duszy. Takiego właśnie Pileckiego – mniej znanego, lecz nie mniej ciekawego – przybliżyła płyta „Kwiat biały olbrzymia. Witold Pilecki. Wiersze i piosenki”.

„Inicjatywa muzycznej aranżacji poezji Witolda Pileckiego to próba przedstawienia go w intymności i prywatności przez prymat kochającego męża i ojca, wrażliwego na piękno przyrody i empatycznego człowieka. Naszym wspólnym celem jest ukazanie rotmistrza nie tylko jako patrioty i autorytetu, lecz także jako przykładu miłości do rodziny, a przez to nadanie adekwatnych akcentów dla ogromu jego samopoświęcenia” – powiedział dr Marcin Zarzecki, prezes zarządu Polskiej Fundacji Narodowej.

To wyjątkowe wydawnictwo powstało dzięki współpracy Polskiej Fundacji Narodowej i Stowarzyszenia Katolicka Inicjatywa Kulturalna w Kołobrzegu, które jest wydawcą albumu. Ta unikatowa i niezwykła płyta mogła się ukazać dzięki wsparciu Polskiej Fundacji Narodowej, która jest oficjalnym partnerem wydania.

„W przestrzeni publicznej rotmistrz Pilecki figuruje jako bohater niezlomny. I to prawda. Staramy się jednak pokazywać bohaterów jako zwykłych ludzi, mających uczucia, a także jako tych, których było stać na wielkie czyny. Jeśli czytamy się w teksty wierszy Pileckiego, to zobaczymy w nich człowieka niezwykle wrażliwego na piękno przyrody oraz uczucia wobec swoich dzieci i małżonki, wynikające z chrześcijańskiego systemu wartości. W wierszach jest nuta nostalgii i tęsknota za krainą dzieciństwa” – dodał wiceprezes PFN Michał Góras.

Do realizacji płyty zostali zaproszeni przez Jacka Pechmana, jej pomysłodawcę i producenta, młoda i utalentowana artystka Katarzyna Mielnik oraz znakomity muzyk Hadrian Filip Tabęcki wraz z zespołem muzycznym. Gościnnie w projekcie wzięli udział muzycy Orkiestry Filharmonii Podkarpackiej z Rzeszowa, a także znakomici aktorzy: Andrzej Mastalerz i Przemysław Tejkowski.

Patronat honorowy nad płytą objęli: prof. Piotr Gliński, wiceprezes Rady Ministrów i minister kultury i dziedzictwa narodowego, oraz najbliższa rodzina rotmistrza: Zofia Pilecka-Optułowicz i Andrzej Pilecki, którym płyta jest dedykowana.

Patronat medialny sprawują: Telewizja Polska, Polskie Radio, Regionalne Rozgłośnie Polskiego Radia Audytorium 17, Polskie Radio Rzeszów oraz Muzeum Żołnierzy Wyklętych i Więźniów Politycznych PRL.

Sygnalista nadaaje

🔊 **Stefan Niesiołowski**, kiedyś jeden z liderów Zjednoczenia Chrześcijańsko-Narodowego, obecnie związany z Platformą, niedawno fetowany przez Tuska na wiecu wyborczym, znów jest w ścisłej czołówce. Kiedyś radykalnie katolicki, później ekstremalnie anty-PiS-owski, teraz zapiekle, wyjątkowo mocno uderza w św. Jana Pawła II. „Papież powinien moim zdaniem zostać zapomniany. Te wszystkie fakty, które wychodzą o nim w tej chwili... Adam Michnik ładnie próbował go bronić w »Wyborczej«, ale sam przyznawał, że w niektórych sprawach nie ma argumentu. Ja jestem zdania, że powinno się o nim zapomnieć” – mówił w rozmowie z portalem gazeta.pl. O Niesiołowskim Polska kiedyś zapomni, ale o papieżu Polaku nigdy.

🔊 W tej samej rozmowie Niesiołowski rozważał, czy i kiedy PiS zacznie mordować swoich przeciwników. „Gdybyśmy nie byli w Unii, to dzisiaj by nas na pewno nie przyjęli i już wtedy na pewno byśmy w Polsce mieli prawdziwą dyktaturę. I wtedy by zaczęli mordować” – mówił Niesiołowski. „Słucham?!” – zareagował na te słowa prowadzący rozmowę red. Grzegorz Wysocki. „A pan skąd wie, że na pewno nie? Gdyby mi ktoś kiedyś powiedział, że w Polsce będzie się działo to, co dzisiaj się dzieje, tobym mu powiedział, że oszalał. Dlatego dzisiaj nie jestem taki pewien, czy nie wyjdziemy z Unii i czy nie zacznie się coś znacznie gorszego” – ciągnął Niesiołowski. Jemu na pewno nie powinna stać się choćby najmniejsza krzywda. Całościowo przecież bardzo pomaga PiS, tak jak w roli lidera ZChN pomagał ówczesnej lewicy.

🔊 **Donald Tusk** z kolei bardzo stara się pomóc PiS, dzielnie trwając

w roli internetowego trolla. Szerokim gestem rozdziela razy, za które zbiera oklaski od własnych wyznawców, ale które dla szerszej publiczności są często po prostu niezrozumiałe, nieczytelne. Teraz zaczął Pawła Kukiza, którego fundacja otrzymała 4-mln dotację na popularyzację referendów, o które Kukiz zabiega od dawna. „Inflacja szaleje. Najbardziej podrożały majonez, jaja i Kukiz” – skomentował lider PO. Możliwe. Ale nie wszystko rośnie. Np. szanse Tuska na wyborczy sukces wyraźnie maleją. Wiedzą o tym nawet ludzie Platformy.

🔊 **Paweł Kukiz** odpowiedział Tuski w taki oto sposób: „Nie nazywajcie (proszę) Tuska Niemcem, bo to obraza dla Niemców! Ale jeśli już koniecznie musi być wątek niemiecki, to mówcie o nim po prostu »Wurst« (kielbasa). Zawsze najdroższa w koszyczku i pasuje do jaj”. Czy się przyjmie? Raczej nie. Jednak zbyt zamazuje obraz, intencje, powiązania. O tych sprawach trzeba mówić bardzo jasno. A Kukiz Polsce przysłużył się znakomicie, przynajmniej dwa razy. Najpierw pomógł obalić Komorowskiego, a później podtrzymał rząd PiS po wolcie Gowina. I dlatego o nim Polska też nie zapomni.

🔊 Silnie promowany przez Tuska i jego medialne zaplecze pomysł jednej listy powoli dogorywa. Jan Rulewski, były senator PO, tak o tym mówi w rozmowie z portalem wPolityce.pl: „Gdyby powstała jedna lista, to oznaczałoby szach, a może nawet mat dla PSL. W obliczu spolaryzowanej wsi i środowisk, które PSL reprezentuje, wejście w jedną listę to nawet mat dla PSL, zaginięcie tej partii. Z kolei Polska 2050 powstała na błędach PO. Gdyby Hołownia

Bogdan

Pęk

obchodzi

okrągłe

urodziny.

O rocznicę

poinformował

jego syn

– wicemarszałek

Senatu Marek Pęk.

„Dziś 70. urodziny

obchodzi mój

tato – Bogdan Pęk

– poseł, senator, poseł

do PE, obecnie radny

sejmiku, trybun ludowy,

patriota. Jednoznaczny,

bezkompromisowy

i odważny! Wszystko wie

najlepiej i zawsze ma rację.

No i ma rękę do kwiatów, bo

kocha przyrodę. 100 lat, tato!”.

Tak, 100 lat. A przede wszystkim

wyraży podziękowania za wieloletnią

walkę ze złodziejską prywatyzacją.

Dzięki takim ludziom jak Bogdan Pęk

coś jednak ocalało i dziś nasze państwo

nie jest gołe i wesołe, ale ma jednak jakieś

narzędzia w ręku.

wszedł na jedną listę, to nie byłby już alternatywą dla PO, nie miałby się czym odróżniać w takiej koalicji”. W sumie szkoda. Polacy zasługują na czytelny wybór: albo III RP, albo IV. Jak w wyborach prezydenckich, które dwukrotnie wygrał kandydat nowej Polski.

 Zdaniem **Aleksandra Kwaśniewskiego** Tusk ma „kolosalny багаż” związany z byciem siedem lat premierem i szefowaniem przez pięć lat Radzie Europejskiej. Z tego względu lepiej byłoby, by w kampanii bardziej widoczny był prezydent Warszawy. „To jest trochę ustawienie tego biegacza z jedną walizką, która waży 70 kg, i z drugą, która waży 50 kg. I on ma biec. To jest trudne. Trzaskowski pod tym względem jest dużo świeższą postacią, która może pomóc KO pokazać, że faktycznie mamy za sobą przeszłość i jesteśmy gotowi o niej rozmawiać, ale mamy też przyszłość” – mówił w rozmowie z Onetem. Tusk jako kandydat przeszłości – to nawet celne. Ale Trzaskowski też nie poprowadzi opozycji do zwycięstwa, bo on też ma bogatą przeszłość.

 Zdaniem Kwaśniewskiego opozycja powinna do 1 maja zdecydować, w jakiej formule idzie do wyborów. Ponadto zawrzeć pakt o wzajemnym nieatakowaniu się i zadeklarować chęć budowania wspólnego rządu po wyborach. „Trzeba w końcu podjąć decyzję i zacząć się szykować do wyborów w takim albo innym formacie. Jak dalej będzie tak napinana koncepcja jednej listy, to zaczynają się rozczarowania i podziały w opozycji. I to jeszcze przed wyborami”. A stawka jest, mówi były prezydent, wysoka: „Trzecia kadencja PiS to będzie całkowite wymazanie Tuska z dziejów III Rzeczypospolitej”. O tak, niektórzy zostaną zapomniani.

 Sondażowe i strategiczne kłopoty głównej siły opozycyjnej wywołały pewien zamęt w jej szeregach. **Grzegorz Schetyna** tak widzi stan rzeczy: „Jesteśmy zakładnikami braku skuteczności, sprawczości po stronie opozycji. Mówimy cały czas o jednej liście, że to antidotum [...], a nie dostarczamy porozumienia, które pokazuje, że będziemy współpracować”. Co miał na myśli, nie wiadomo. Jeszcze mocniej błysnęła Izabela Leszczyna, główna twarz ekonomiczna Platformy: „Bo naprawdę w silę rośnie, to znaczy utrzymuje swoją pozycję, choć już na szczęście nie tak silną, PiS”. Zdania niejasne i niepełne, ale przesłanie w sumie czytelne: pół roku przed wyborami opozycja przeczuwa, że jest w ślepych zaułku i zmierza ku kolejnej klęsce.

 Dziennikarz „Gazety Wyborczej” Arkadiusz Gruszczyński postanowił sprawdzić, czy wysoka inflacja przenosi się na standard życia w Warszawie. W tym celu udał się do kilku restauracji

w stolicy. Okazało się, że są przed nimi tłumy. „Powieм szczerze, że chodzę do knajp równie często jak przed skokiem cen. Dostałem podwyżkę, a moja żona awans, mamy więc pieniądze na przyjemności” – tłumaczył jeden z gości, a inny dodawał: „Kiedyś jadłem codziennie na mieście, teraz raz w tygodniu. Mimo że zarabiam mniej więcej tyle samo. Dla mnie wyjście do restauracji, w której dostanę dobrze przygotowane jedzenie, jest częścią stylu życia”. Z kolei znajoma dziennikarza powiedziała tak: „Skoro za chwilę będzie ogromna recesja i pewnie wiele z moich ulubionych knajp upadnie, to mam ostatni moment na nieco szaleństwa. Jeszcze mnie na to stać”. Recesji nie będzie, ale wybory tego pokolenia, ogólnie patrząc, są jednak dziwne. Inwestują w to, co chwilowe, ulotne, zbędne. Mieli chyba złych doradców.

 Po stronie III RP nie cichną wezwania do jeszcze większej dyscypliny ideologicznej w mediach opozycji. „Gdyby to nie było tragiczne, toby było nawet śmieszne, że opłacanego przez PiS Trudnowskiego Wielowiejska może zapraszać kilka razy w miesiącu do Radia TOK FM w roli niezależnego komentatora, a Żakowski ma zakaz zapraszania Tomasza Lisa do piątkowego poranka. #WolneŻarty” – napisał w mediach społecznościowych jeden z internautów. Redaktor Lis zareagował w taki oto sposób: „Radio Ćwok FM. Propagita, nuda podlana polityczną poprawnością. To nie moje radio i już nawet nie chciałbym tam chodzić”. Pełna zgoda.

 Są i dobre wiadomości. Jak pokazały wstępne dane Narodowego Spisu Powszechnego z 2021 r. na Śląsku mija moda na separatyzm. W 2011 r. 847 tys. osób zadeklarowało narodowość śląską (w tym 436 tys. deklaruujących tę narodowość jako pierwszą). Dekadę później deklaracje o narodowości śląskiej złożyło 585 tys. osób (w tym prawie 232 tys. osób jako pierwszą). Oznacza to spadek o – odpowiednio – 30,9 proc. i 47 proc. Dane potwierdzają, że separatyzm śląski był sztucznie nakręcany, a najlepszą odpowiedzią jest dobre prowadzenie państwa polskiego.

 „Mamy więc drastyczny spadek liczby osób deklaruujących narodowość śląską, co jest ciekawym polem do analizy” – skomentował Piotr Spyta, niegdyś wicewojewoda śląski, współtwórca Ruchu Polski Śląsk. Ale problem pozostaje: wciąż wiele instytucji regionalnych pozostaje w rękach ludzi, którzy zwalczają polskość, a instytucje ogólnopolskie – nawet te bardzo patriotyczne – przyzwalają na różnego rodzaju antypolskie ekscesy. Separatyzm raz zrodzony trudno wyrugować na stałe. Dlatego państwo polskie nie może tej sprawy odpuszczać nawet wówczas, gdy zła fala się odwraca i wszystko zdaje się zmierzać w dobrym kierunku.

Poniedziałek. Już nie wiem, co robić. Wszędzie te sondaże. A to, że Donaldowi nikt nie ufa, a to, że Trzaskowski lepszy i na lidera, i na premiera. Przecież oni mnie zabijają. Grabiec, jak mnie dorwie, to mi chyba szminką „zdrajca” na czole napisze. Od Kierwińskiego 13 razy nie odebrałem, ale ile razy można automatyczną sekretarkę udawać, kiedy facet od początku drze się: „Wiem, że tam jesteś!”. A ja wiem, co on chce mi powiedzieć. „Rafał, to nie jest tak, jak myślisz. Rafał, to nie jest to, na co wygląda. Rafał, ty masz całe miasto na głowie, więc nie możesz jednocześnie mieć go w d...”. Zwariuję, jak sobie zaraz funky nie puszcze.

Wtorek. Wpadłem do ratusza przed szóstą, nikogo nie było, myślę: drzwi sobie taśmą posklejam, to mi przejdzie. Ledwie szpulkę rozwinąłem, telefon. „Halo, czy pan Rafał?”. „Tak”. „Ten?”. „Ten, a jaki ma być?” – mówię, ale już czuję, że to Budka przez modulator głosu nawija. „Dzwonię z mediów, jak pan odbiera ostatnie sondaże?”. „Z internetu biorę” – mówię. Rozłączył się. Za chwilę znowu dzwoni, ale Leszczyna. „Cześć, Rafał!” – drze się, jakby z budki dzwoniła. Albo z Budką. „Co u ciebie?!” – pyta. „Po staremu. Kupa spraw na głowie, jak to w stolicy”. „Aha, bo wiesz, Bartłomiej mi mówił, że Radek go pytał, czy Donald odzywał się już do ciebie w związku z tym, no, wiesz, smrodem”. „Jakim znowu smrodem?”. „No, wiesz, że ty za Donalda i inne bzdury. Halo?! Dlaczego nic nie mówisz?!” Wtedy ja się rozłączyłem. Przypadkiem. Tak mi się ręce trzęsły.

Środa. Jadę na wieś. Znowu sondaż. K..., wezmę strzelbę od Bronisława i zastrzelę wszystkich ankierów. Chce sobie człowiek spokojnie zostać prezydentem kraju, nie bardzo wiadomo, po co, ale tak się historia wokół mojej skromnej osoby potoczyła, że nie chcę, ale muszę, jak nie zostać, to przynajmniej udawać, że bardzo chcę. I co? Niby przyjaciele, niby zwolennicy, a wiecznie: Tuskowi nikt nie wierzy, Rafał byłby lepszy. I teraz jeszcze to upokarzające „ktoś inny” – na drugim miejscu w sondażu na najbardziej pożądanym liderów Platformy. A Donek na trzecim. Czy was w tych mediach zupełnie porąbało? Chcecie, żeby mnie skopał jak paprotkę czy wyciął jak Rokitę? A może wyprowadził z budynku, jak zapowiadał o Glapińskim czy Przylębskiej?

Czwartek. Presja nie do wytrzymania. Skąd się w ludziach bierze przekonanie, że ja w ogóle chciałbym być czegoś liderem? Czemu nie startowałem na szefa partii, gdy nawet Mucha to robiła? Kiedy mnie na prezydenta Warszawy zgłoszono? Nie w ostatniej chwili? Jak Kidawę musiałem

Cierpienia młodego dublera



KRZYSZTOF FEUSETTE

udawać? Nie z łapanki? I kto ma teraz zastąpić przewodniczącego na stolcu jego? Wezwał do jednej listy, reszta go wygwizdała, bo nikt nie jest na tyle durny, by nie wiedzieć, o co w tym kolejnym, misternym planie Platformy chodzi, a teraz szukają frajera, który za to wszystko zapłaci? Mało im zgłanowania Hołowni, muszą znaleźć kogoś ze swoich. Kierwińskiego Donald nie poświęci, bo nie wystarczyłby na półtora dnia kampanii. Sikorski sam się

dojeżdża, podobnie jak Sienkiewicz. Leszczyna opowiada, że Platforma da dzieciom pracę w żłobkach, żeby matki mogły pójść na rynek albo nie, a Kidawa, że te matki będą płacić placę minimalną, choć nie wiadomo komu, bo chyba nie tym dzieciom pracującym w żłobkach przy innych dzieciach, które z zasady – jak głosi nasz program – są udręką. Ani jednej, ani drugiej nie ma co poświęcać, bo nikt nie uwierzy, że stały za jedną listą. Dlatego polują na mnie.

Piątek. Nie chadzam, nie udzielam ani się, ani wywiadów, niech to wszystko choć na chwilę przycichnie. Do Donalda dzwoniłem chyba ze trzy razy, ale nie odbiera. Wcale się nie dziwię. Wraca chłop, i to umęczony brukselskim wiktem na potęgę, na kraju swego łono, żeby przewrócić stolik i rozdać karty po swojemu, a tu się okazuje, że paszport brukselski nie wszędzie wystarczy. Tam Ursula czeka, tu czekają dzieci. Resortowe, funkcyjne, polityczne z dziada pradziada jak to w postkomunie. Ja mu naprawdę współczuję, że sam sobie na plecy zarzucił to wszystko niczym w utworze, teoretycznie o Grzesiu, praktycznie o Donku, co to idzie przez wieś,

worek głosów niesie, a przez dziurkę głosy ciurkiem sypią się jak jedna lista. Tylko co ja mogę? Wpakowałem się w to miasto jak Himilbach w naukę angielskiego, ale on był bardziej przewidujący. W wyborach prezydenckich wcale nie chciałem startować. Nawet jak prawybory były, to musieli na siłę Jaśkowiaka ściągać, żeby Małgorzata przypadkiem sama z sobą nie przegrała. A teraz za to wszystko, za chwile wielkich poświęceń na rzecz partii, za ratowanie wizerunku jej czterech liter w obliczu samounicestwienia, za kampusy, na które przyciągam młodych, przyszłych Nitrasów, Szczerby, Leszczyny i Jachiry? Za to chcą mnie obarczyć odpowiedzialnością za wyprowadzanie sztandaru tylko dlatego, żeby Donald mógł zameldować, gdzie trzeba: herr kancliren, wybacz mi, bitte, ale to nie ja, to Trzaskowski? Niedoczekanie wasze. Ja jestem stosunkowo młody, 51 wiosen to jest przy Donaldzie przedszkole. Jak on w polityce zaczynał, to na mnie dziewczyny jeszcze „dupiarz” mówiły.

Unia Europejska zezwoliła na stosowanie mąki ze świerszczy do produkcji chleba, ciastek czy pizzy. Zgodę zawarto w rozporządzeniu 2023/5 z 3 stycznia br. Zezwala ono na wprowadzenie do obrotu krajów UE produktów spożywczych, w których wykorzystano proszek ze świerszcza domowego. Przepisy weszły w życie 24 stycznia, a pozwolenie od unijnych urzędników dostała tylko jedna firma, która pochodzi z Wietnamu.

Nowe przepisy od początku wzbudzają moją niechęć. Po pierwsze, po serii afer, w które byli zamieszani różni brukselscy urzędnicy, różnych instytucji i szczebli, kołaczę się we mnie podejrzenie, że jeszcze kiedyś poznamy kulisy tego zachwyty nad mąką ze świerszczy i może się okazać, że ktoś dał, a ktoś przytulił jakieś okragłe sumki, skoro mamy tyle szumu z powodu tylko jednej firmy. Jest też silne lobby, któremu zależy na osłabieniu tradycyjnego rolnictwa i tradycyjnej żywności.

Po drugie, myśl o jedzeniu produktów z dodatkiem świerszczy wzbudza we mnie głęboki wstręt. Nie trafiają do mnie jakoś argumenty, że to źródło zdrowego białka, że trzeba się otwierać na nowości i trzeba zmieniać kulinarne przyzwyczajenia, a wszystko dla rzekomego dobra planety i zatrzymania zmian klimatycznych. Po prostu nie mam ochoty spożywać proszku ze świerszczy i już! A jako konsument chcę mieć wybór. No i tu pojawia się pewien problem z etykietowaniem takich produktów.

Posel PiS Artur Szalabawka skierował w tej sprawie interpelację do resortu rolnictwa, w której zapytał, czy jest przygotowywana nowelizacja stosownych przepisów zobowiązująca producentów i dystrybutorów żywności do zamieszczania na opakowaniach artykułów spożywczych informacji, że mąka będąca składnikiem danego artykułu pochodzi z owadów, a nie roślin.

Unijne przepisy określają, jak należy znakować produkty zawierające składniki, o których mowa. Zgodnie z nimi produkty, które zawierają mąkę ze świerszcza, muszą na etykiecie zawierać taką informację

Mąka jak papierosy

Polacy mają prawo do tego, by każdy produkt spożywczy, w którym są zawarte tzw. dodatki robaczane, był jasno i czytelnie oznaczony

takich jak świerszcze. Rozporządzenia określają, że etykiety muszą wyraźnie wskazywać konsumentom, że mąka zawiera zmielone owady. Pomyśl w Polsce szybko podchwycili politycy Solidarnej Polski. „Ustawa antyrobakowa autorstwa

Solidarnej Polski zakłada umieszczanie na opakowaniach czytelnej informacji o tym, czy dany produkt zawiera tzw. unijne dodatki robaczane. Polacy muszą mieć prawo do tego, aby sami mogli świadomie decydować o tym, czy chcą spożywać żywność z robaków, czy też zdrową, tradycyjną, polską żywność!” – czytamy w mediach społecznościowych polityków tej partii.

Podczas konferencji prasowej minister Janusz Kowalski wyjaśniał prezentując ten projekt: „Kompletnie nie rozumiemy, jak można serwować Europejczykom tę nową żywność, ale zgadzamy się z hasłem: mój talerz, moja sprawa. Nie zaglądamy nikomu do talerza. Jak Donald Tusk czy Rafał Trzaskowski chcą jeść larwy owadów czy mąkę ze świerszczy, to mają do tego prawo, ale Polacy mają prawo do tego, by każdy produkt spożywczy, w którym zawarte są tzw. dodatki robaczane, był jasno i czytelnie oznaczony. Dlatego wzorem Węgier i Włoch jako Solidarna Polska inicjujemy przygotowanie przepisów prawnych, które w sposób jasny dadzą konsumentom wiedzę”.

Liczę, że przepisy powstaną jak najszybciej i projekt wejdzie w życie, a produkty zawierające mąkę ze świerszczy będą oznaczone widocznym symbolem tego owada. Najlepiej jak na papierosach, na pół opakowania. Jak ktoś lubi, niech wcina. Ja podziękuję. 

Dorota Losiewicz





Coraz bliżej Księżyca

USA

Na początku kwietnia amerykańska agencja kosmiczna NASA przedstawiła załogę lotu Artemis 2, mającej w przyszłym roku wystartować do historycznego lotu, podczas którego okrąży Księżyc. Załoga będzie się składać z trójki Amerykanów (w tym jednej kobiety) i Kanadyjczyka.

Podczas 10-dniowej misji astronauta mają ocenić funkcjonowanie systemów podtrzymywania życia oraz przetestować działanie statku kosmicznego Orion. Amerykanie chcą bowiem kolejny raz wylądować na Księżycu. Pierwotny termin takiego lotu, wyznaczony na 2028 r., został przyspieszony o trzy lata, by zdążyć przed Chińczykami również planującymi swoją misję księżycową.

Loty na Księżyc odbędą się w ramach nowego programu Artemis. Imię greckiej bogini wybrano nieprzypadkowo, była ona siostrą bliźniaczką Apollina, a to właśnie on patronował pierwszemu amerykańskiemu programowi księżycowemu. W ramach programu Artemis ma powstać stała baza księżycowa o nazwie Gateway, której załoga – złożona głównie z naukowców – ma przeprowadzić badania Księżyca oraz opracować technologie eksploatacji jego bogactw, niezbędne podczas późniejszej misji na Marsa. Chodzi przede wszystkim o pozyskiwanie wody oraz metali koniecznych do dłu-

giego funkcjonowania misji załogowych na Księżycu i innych planetach.

Przyszłoroczna misja jest drugą wyprawą w ramach programu Artemis. Statek Orion okrążył już Księżyc w ub.r., jednak na jego pokładzie znajdowały się wyłącznie dwa manekiny. Teraz przychodzi czas na żywych astronautów. Jeśli wszystko się powiedzie, to podczas trzeciej misji, zaplanowanej na 2025 r., dojdzie do lądowania ludzi na Księżycu – po raz pierwszy od wyprawy Apollo 17 w 1972 r.

Tempo jest ważne, bo Chiny nie ukrywają, że do 2030 r. chciałyby uruchomić na Księżycu stałą bazę załogową. Jak na razie zbudowały stację orbitalną i wysyłają na Księżyc sondy. Myślą również o podboju Marsa. Amerykanie chcą zaś udowodnić swoim rywalom, że ciągle są światowym liderem, a pogłoski o ich słabości są mocno przesadzone.

W tym wyścigu nie chodzi zresztą tylko o prestiż czy o przeżycie technologicznych muskułów. Bój z Amerykanami będzie się bowiem toczył także o dostęp do drogich, rzadkich minerałów występujących na Księżycu. Za sprawą misji Artemis podbój kosmosu wchodzi zatem w nową, spektakularną fazę.

Konrad Kolodziejski

Wyniku uderzenia przeprowadzonego przez lotnictwo junty wojskowej rządzącej w Mjanmie (dawniej: Birma) na wieś kontrolowaną przez siły opozycji zginęło co najmniej 100 osób, w tym ponad 30 dzieci.

Do nalotu, w którym wzięły udział zarówno samoloty, jak i śmigłowce bojowe, doszło w prowincji Sikong. Celem ataku był wiec z okazji otwarcia nowej siedziby władz lokalnych podległych opozycyjnemu Rządowi Jedności Narodowej, który uważa się za jedyną legalną władzę w kraju i prowadzi walkę partyzancką przeciwko wojskowemu reżimowi rządzącemu krajem od zamachu stanu w 2021 r. Dokładna liczba ofiar nie jest jeszcze znana, ale zdaniem obserwatorów jest to jak dotąd najbardziej krwawe uderzenie wojsk rządowych na tereny kontrolowane przez partyzantów.

Krwawy sojusznik Putina

Mjanma

Rzecznik prasowy junty, gen. Zaw Min Tun, odrzucił w telewizyjnym wystąpieniu zarzut ataku na ludność cywilną, twierdząc, że celem operacji były wyłącznie „siły terrorystyczne”, a liczba ofiar wśród cywilów jest skutkiem eksplozji składu amunicji zgromadzonej we wsi przez powstańców.

Granicząca z Indiami północno-zachodnią prowincja Sikong jest w znacznej części kontrolowana przez partyzantkę, którą junta chce pokonać nalołami lotniczymi. Wojskowi wykorzystują w tym celu samoloty dostarczane im przez Moskwę. Po wojskowym puczu w Mjanmie, do którego doszło w styczniu 2021 r., stojący na czele zamachowców

gen. Min Aung Hlaing aż trzykrotnie spotykał się z Putinem, a komentując wybuch wojny na Ukrainie, powiedział, że Rosja „zrobiła to, co do niej należało, by zachować swoją suwerenność”.

Mjanma, która od półwiecza jest niemal nieprzerwanie rządzona przez wojskowych, należy do najlepszych klientów rosyjskiego sektora wojennego. Wartość rosyjskiego uzbrojenia dostarczanego do tego kraju jest porównywalna z obrotami osiąganymi w handlu bronią między Moskwą a Pekinem. Po wybuchu wojny na Ukrainie wzrosły też zakupy rosyjskiej ropy i innych towarów. Zdaniem komentatorów Mjanma stanowi dziś jeden z elementów budowanej przez Rosję „koalicji państw autorytarnych”, do której zalicza się również m.in. Iran, Syrię, Wenezuelę i Koreę Północną.

Marek Budzisz

Niechciani uchodźcy

14 maja w Turcji odbędą się wybory prezydenckie. Będą one najtrudniejszym od wielu lat sprawdzianem dla przywódcy tego państwa Recepta Erdoğan. W kraju rośnie bowiem niezadowolenie społeczne oraz krytyka pod jego adresem. Powodem jest kryzys gospodarczy i szalejąca inflacja. Ostatnio pojawił się nowy kłopot, który opozycja wykorzystuje do ataków na prezydenta. Chodzi o kwestię 3,5 mln uchodźców z ogarniętej wojną Syrii.

W 2011 r. Turcy przyjmowali uchodźców z otwartymi ramionami. Dziś nastroje społeczne mocno się zmieniły. Uchodźcy są coraz częściej postrzegani jako problem dla państwa pogrążonego w kryzysie. Zarzuca im się, że odbierają rdzennej ludności miejsca pracy, nie płacą podatków oraz obciążają budżet publiczny. Dochodzi do częstych napadów na nich. Powstało nawet nowe ugrupowanie opozycyjne – Partia Zwycięstwa (Zafer Partisi), które domaga się prowadzenia zdecydowanej polityki antyimigracyjnej i odsyłania nieproszonych gości za granicę. Wspomniana formacja może liczyć na spore poparcie. Według sondaży 67 proc. obywateli Turcji opowiada się za całkowitym zamknięciem granic dla uchodźców, a 48 proc. chce odsyłania ich z powrotem do Syrii.



Turcja

Fot. Thomas Koch/Shutterstock.com

Dla prezydenta Erdoğan jest to coraz większy kłopot. Po pierwsze, to on podjął decyzję o przyjęciu uchodźców wojennych. Po drugie, wynegocjował w 2016 r. porozumienie z UE, w ramach którego zobowiązał się powstrzymać napływ nielegalnych imigrantów do Europy, za co otrzymał z Brukseli 6 mld dol. na utrzymanie uchodźców w Syrii. Po trzecie, wykorzystuje ich jako instrument nacisku na Unię. Niedawno jednak pod wpływem presji społecznej ogłosił, że do domu zdecydowało się wrócić ponad 0,5 mln Syryjczyków. Ci ostatni czują się w Turcji coraz bardziej niechciani, ale też często nie mają dokąd wrócić. Być może pewnym elementem rozładowania napięcia okaże się pomysł zatrudnienia syryjskich uchodźców do odbudowywania rejonów dotkniętych niedawnym trzęsieniem ziemi. Ankaralicy, że pieniądze na to znów da Unia.

Grzegorz Górny

Przepisywanie historii

W ciągu ostatnich dziewięciu lat, odkąd władzę w Indiach sprawuje Indyjska Partia Ludowa (BJP) premiera Narendry Modiego, kraj ten podlega stopniowej „szafranizacji”. Tym terminem – ukutym od szafranowego koloru szat hinduistycznych kapłanów – określa się nacjonalistyczny kurs przyjęty przez obecne władze Indii.

„Szafranizacja” jest kluczowym elementem polityki BJP, a jej ostrze jest skierowane przeciwko wszelkim obcym wpływom – zachodnim, chrześcijańskim i przede wszystkim muzułmańskim, co jest o tyle istotne, że Indie zamieszkuje 172 mln muzułmanów (ponad 14 proc. ludności kraju). Pięć lat temu wybuchł wielki spór o świątynię Tadž Mahal będącą jednym z najlepiej rozpoznawalnych symboli Indii. Problem polegał na tym, że świątynia została zbudowana przez władzę muzułmań-

skiej dynastii Mogolów Szahdżahana na cześć jego zmarłej żony Mumtaz. Islamski charakter świątyni bardzo irytował polityków rządzącej partii. Jeden z nich stwierdził nawet, że Tadž Mahal jest „skazą na indyjskiej przeszłości” i nie powinien być dłużej uważany za symbol kraju. Podjęto wówczas decyzję, by zmienić politykę historyczną Indii, skoncentrować się na wartościach i położyć kres „postkolonialnemu stanowi umysłów”. W tym celu opracowano nową politykę edukacyjną, której owocem stały się za twierdzone w tym roku zmodyfikowane podręczniki do historii.

Z podręczników wykreślono m.in. większość informacji na temat wspomnianej już dynastii Mogolów, która sprawowała władzę w Indiach od XVI do XIX w. i którą hinduscy nacjonaści uważają za muzułmańskich ciemiężycieli. Zmieniono też wymowę rozdziału

Indie

poświęconego Mahatmie Gandhiemu, usuwając negatywne komentarze na temat jego zabójcy – nacjonalisty Nathurama Godse. Zamordowany w 1948 r. Gandhi jest krytykowany przez zwolenników obecnej władzy za swoje poglądy na temat jedności hindusko-muzułmańskiej, a odkąd BJP doszła do władzy, daje się zauważyć wzrost sympatii dla jego zabójcy. Kolejną z istotnych poprawek jest usunięcie odwołań do antymuzułmańskich zamieszek w Guźdaracie, do których doszło w 2002 r. To niewygodny temat dla premiera Modiego, który pełnił wówczas funkcję szefa lokalnego rządu i jest uważany za jednego z inspiratorów fali przemocy.

Krytycy nowej polityki edukacyjnej zarzucają rządowi, że cenzuruje historię Indii i próbuje dopasować programy nauczania do nacjonalistycznej agendy politycznej. Obawiają się, że może to doprowadzić w przyszłości do wybuchu konfliktów na tle religijnym. Są to jednak głosy wołającego na puszczy. Jak wynika z sondaży, twardy nacjonalizm Modiego bardzo odpowiada hinduskom wyborcom. Trudno więc oczekiwać, by złagodził kurs.

Konrad Kołodziejowski

I ŚMIESZNO, I STRASZNO

Bardzo poważny apel



**Jan
Pietrzak**

Nierozzerwalna więź Polaków z chrześcijaństwem od stuleci nie daje spokoju naszym wrogom. Haniebne ataki na św. Jana Pawła II są ciągiem dalszym historii, która się nie skończy, dopóki będzie Polska. W głębi duszy wszyscy wiemy, że Polska będzie trwać wiecznie, bo cóż by to był za świat bez Polski? Piszac „wszyscy”, mam na myśli Polaków. Od innych nacji nie wymagamy zbyt wiele.

Widać gołym okiem na Ukrainie, jak wyglądałby świat według reguł ruskiego miru. Miazdzone miasta, mordowani ludzie. Z nieodległej historii pamiętamy, czym była Europa pod rządami niemieckiej rasy panów. Była fabryką śmierci dla „podludzi”. Ani ideologia rasy panów, ani teoria ruskiego miru nie mają nic wspólnego z chrześcijaństwem. Szczególnie z pojęciem ludzkiej wolności i suwerenności narodów. Zwracam uwagę, że Polacy od zawsze walczyli o wolność naszą i waszą, Niemcy i Rosjanie zawsze walczą o naszą i waszą niewolę! To bardzo ważna cecha naszych notorycznych sąsiadów. W szkołach o tym nie uczą.

Najdobitniejszym przykładem ścisłego związku Kościoła z Polakami jest czas odzyskiwania niepodległości po latach komunistycznych. Od pierwszej wizyty Jana Pawła II w ojczyźnie w 1979 r.

do 1993 r., kiedy sowieckie wojska okupacyjne opuściły Polskę. Faktycznym – nie tylko religijnym – duchowym przywódcą był nasz papież. Był wielkim hetmanem koronnym. Ta prawda przez agentów Jaruzelskiego, Wałęsy i Kiszczaka jest z uporem zacierana. Doszło do tego, że nie wiadomo na poziomie edukacyjnym, komu zawdzięczamy niepodległość i kiedy to się stało. Ogólnie biorąc, dokonała tego 10-mln Solidarność. Ale w najważniejszych narodowych sprawach konieczna jest precyzja. Po zaborach przewodzili: Józef Piłsudski, Roman Dmowski, Ignacy Paderewski, Wincenty Witos, Wojciech Korfanty. A po niewoli lat 1939–1989 kto i kiedy doprowadził nas do trzeciej niepodległości, jeżeli nie Jan Paweł II? Apeluję zatem o formalne, oficjalne ustalenie faktów, by uświadomić rodakom, że atak na niego jest atakiem na naszą niepodległość. A na to nigdy nie wolno się godzić. 

Uwaga! 26 kwietnia w środę o godz. 19.00 zapraszam na koncert urodzinowy (obchodzę 86 lat) w Sali NOT, ul. Czackiego 3/5, Warszawa. Wstęp wolny.

PRAWDA NIGDY NIE LEŻY POŚRODKU

Panie



**Dominik
Zdort**

Dyrektiva Unii Europejskiej, stwierdzająca, że we władzach każdej dużej spółki powinno być przynajmniej 35 proc. kobiet, weszła w życie. Dotąd w zarządach firm było średnio poniżej 10 proc. pań. Zgodnie z wilczymi regułami kapitalizmu do

władz trafiali głównie panowie, bo właściciele, czyli zazwyczaj akcjonariusze, uważali, że są bardziej kompetentni niż panie.

Dla mnie kobiety to najważniejsi współpracownicy w Tygodniku TVP. Moje wspaniałe i genialne koleżanki, Beata i Benita, są przeświatnymi redaktorkami, Basia i Monika są wyjątkowo kreatywne – baby w odróżnieniu od facetów nie są kapryśne, nie potrzebują wciąż dowartościowania, nie proszą o wsparcie w oczywistych sprawach, nie marudzą, że czegoś nie potrafią. Kiedy my, mężczyźni, za wysoko odlatujemy (a są wśród nas prawdziwi kosmici), rozsądek kobiet sprowadza nas na ziemię.

Teoretycznie więc powinienem chwalić nowe przepisy. Ale jakoś nie potrafię. Nie potrzebuję dyrektyw, żeby docenić moje koleżanki. Ja bez tego wiem, że bez nich nasza redakcja nie mogłaby sprawnie działać. Ja, facet, niby dowodzę, ale wiem doskonale, że jest tak jak w tym starym powiedzeniu o rodzinie: jestem głową, ale kręci nią szyja, którą są moje panie. Bo tak naprawdę nie pieniądze wprawiają świat w ruch, ale kobiety.

I – niezależnie od czarnej legendy o patriarchacie – było tak zawsze i wszędzie, w czasach Kleopatry, w opowieściach o mitycznej papieżycy Joannie, o Lady Makbet i Claire Underwood.

Pomysł, by za pomocą przepisów różnej rangi zapewnić kobietom odpowiednie parytety w firmach, na partyjnych listach wyborczych, we władzach, jest jednym z największych idiotyzmów współczesnych czasów.

W epoce, gdy panuje kult efektywności i kompetencji, nagle wprowadza się zasady, które owej efektywności mogą zaprzeczać. A co, jeśli w firmie produkującej maszyny rolnicze, najlepiej wykształceni i przygotowani do zarządzania nią są mężczyźni? Teraz, żeby spełnić kaprys pięknoduchów z Brukseli, trzeba będzie zatrudnić na stanowiskach kierowniczych osoby niekoniecznie znające się na tym, co robią. Pół biedy, jeśli zaakceptują one rolę paprotek i nie będą się wtrącać. Gorzej, jeśli zaczną narzucać się ze swoim brakiem kompetencji.

Eurokraci, nie idźcie tą drogą! Bo już na podobne dowartościowanie oczekują Murzyni, geje i lesbijki, o transwestytach nie wspominając. 

*Autor jest szefem portalu tygodnik.tvp.pl
Sprostowanie do poprzedniego felietonu. Ze zdania „Bo tam naprawdę można być szczerym demokratą, nie entuzjazmując się Unią Europejską, będąc wrogiem aborcji, a już na pewno wolno nie demonstrować przeciw rządowym reformom” wypadło słowo „nie”.
Za co autora bardzo przepraszamy. Redakcja*

BRONISŁAW WILDSTEIN

Temida w tęczowych okularach

Pisałem i robiłem telewizyjne programy na temat kampanii wymierzonej w Jana Pawła II. W felietonie „Studium manipulacji” analizowałem techniki insynuacji stosowane w TVN-owskim, zrealizowanym przez Marcina Gutowskiego filmie „Franciszkańska 3”. Zdecydowany sprzeciw budzi jednak we mnie pomysł polityków PiS, by (ewentualnie) wystąpić do sądu z pozwem przeciw tej produkcji.

Zamiar ten wyrasta z powszechnego dziś przeświadczenia, że wszelkie problemy powinny być prawnie regulowane. Oczekiwanie to jest nie tylko skrajnie nierealne, lecz także niesie z sobą wszystkie zgubne konsekwencje dominującej dziś, racjonalistycznej mentalności. Wyrasta z absurdu wyobrażenia, że jesteśmy w stanie ująć rozumowo i przełożyć na biurokratyczne przepisy całość ludzkiego istnienia. Podejście takie niszczy podstawy naszej cywilizacji i oddaje władzę kaście prawników, którzy wspólnie z innymi dominującymi grupami budują nową oligarchię. Jak widać, zaraziło ono również formalnych konserwatystów, którzy z założenia powinni się mu przeciwstawiać.

Sfera społeczna jest zmienna i niemożliwa do objęcia w jednoznaczne zapisy sądowe. W tradycyjnym modelu społecznym prawo było tylko jedną i to najbardziej zewnętrzną formą regulacji ludzkiego kosmosu. Obok niego funkcjonowały, przenikając się, moralność, etyka, obyczaj, czyli kultura i religia. Te struktury były dużo bardziej plastyczne, a wyrastające z nich prawo nadawało jedynie ostateczny kształt społecznej egzystencji. Jego współczesna hipertrofia niszczy wszystkie wymienione systemy regulacji społecznej egzystencji. Można wprowadzić argumentować, że to ich osłabienie powoduje mnożenie paragrafów, ale są to wzajemnie napędzające się fenomeny.

Współczesna mentalność domaga się uregulowania wszystkiego. W odpowiedzi na dowolny kłopot media pokrzykują: dlaczego nie ma prawa, które zapobiegłoby złu?! Politycy spieszą więc z jego powołaniem. Kiedy okazuje się, że nie tylko nie zlikwidowało ono problemu, dla którego zostało stworzone, lecz także przy okazji kreuje kolejne, pod naciskiem opinii zostają powołane nowe zapisy, potęgujące wspomniane bolączki i tak bez końca niszczymy prawo i etos funkcjonowania wspólnoty. Destrukcyjność ulega polityka, a więc i demokracja. Skoro bowiem wszystko rozwiązuje prawo, to dla decyzji zbiorowości nie ma już miejsca.

Doskonale zjawisko to widać na przykładzie niszczenia wolności słowa, które postępuje wraz z rozwojem jurydyzacji naszego życia. Jak zawsze proces ten jest jednostronny, zanik

wolności jednych wiąże się z samowolą drugich. Silniejsi – czyli ci, którzy posiadają większe środki materialne i lepsze międzynarodowe układy – są w stanie odbierać głos tym, którzy mają ich mniej. Są to rzecznicy dominującej ideologii, która stanowi doskonały instrument sprawowania władzy. Wszelkie paragrafy o wojnie z „mową nienawiści” nie są stosowane wobec tych, którzy stygmatyzują nonkonformistów politycznych jako populistów, a swoich przeciwników jako faszystów, ale wobec tych, którzy protestują przeciw temu stanowi rzeczy. Metoda ta dorobiła się już w międzynarodowym żargonie oficjalnej nazwy SLAPP (strategic lawsuit against public participation), czyli strategiczne wykorzystywanie prawa przeciw debacie publicznej.

W Polsce koryfeuszem tej strategii była oczywiście „Gazeta Wyborcza”, a głównie jej naczelny, Adam Michnik. Nagminnie wytaczał on sprawy za nieodpowiadające mu oceny swojej polityki. Sądy lubiły Michnika, a nie jego krytyków, a więc kazały im przeproszać za naruszenie jego majestatu i wypłacać sowite sumy na rzecz rozmaitych ideologicznie słusznych przedsięwzięć. Tak więc sądy decydowały (i decydują) o tym, jakie tezy publicystyczne są właściwe, a jakie nie. Należałoby to wreszcie prawnie uregulować i stworzyć kodeks. Publicyści wpisywaliby tylko numery paragrafów.

Pierwszy proces Michnik przegrał o to, że wytacza procesy swoim przeciwnikom. Sędziowie wykazali się elementarnym zdrowym rozsądkiem. Ale nie jest to żadna jaskółka. Współcześnie Temida zdjęła opaskę i ubrała ideologiczne (tęczowe) okulary. Świadczą o tym wyroki przeciw katolikom, o których pisałem w felietonie „Sędziowie przeciw Kościołowi”.

Owszem, sędziowie ciągle działają „staroświecko”, czyli bezstronnie próbują rozstrzygać sprawy. Tyle że rzeczywistość ludzka nie jest bezstronna i nasze decyzje do czegoś muszą się odwoływać. Jeszcze niedawno odwoływały się do tradycyjnego porządku etycznego naszej cywilizacji, obecnie został on zakwestionowany i zastąpiony ideologią. Sędziowie, którzy nie chcą się z tym pogodzić, są szykanowani i eliminowani.

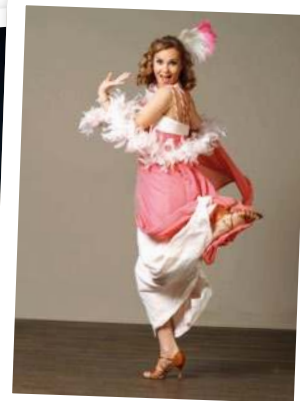
Zwracanie się do sądu w sprawie takiej jak medialna kampania przeciw papieżowi to zgoda na oddanie kaście sędziowskiej naszych losów. I najmniej ważne w tym jest to, że najprawdopodobniej sprawa byłaby przegrana.





Walizka Julity Kożuszek

aktorki



Najchętniej pojechałabym w podróż bez niczego, ponieważ uważam, że mamy za dużo rzeczy. Tak jak niesamowity bezdomny mężczyzna z mojego rodzinnego Stargardu, który wyruszył do Santiago de Compostela drogą św. Jakuba, zabierając z sobą tylko intencje napotkanych ludzi. Ale w związku z tym, że sama jestem swoim menedżerem, produkuję i sprzedaję osobiście swoje koncerty, które często mają formę spektaklu, do walizki pakuję tylko najpotrzebniejsze przedmioty. Obecnie mam w swoim repertuarze około sześciu programów i pracuję nad kolejnym, o którym marzę od 10 lat – inspirowany prozą Sylwii Plath i wierszami z tomu „Ariel”. Moja aktywność artystyczna to nie tylko tworzenie autorskich spektakli. To także udział w filmach i serialach. Ostatnio zagrałam w „Zatoce szpiegów”, nowej wersji „Stawki większej niż życie”, gdzie nowa odsłona Hansa Klossa podbija następne pokolenia widzów.

STRÓJ KĄPIELOWY

Zawsze gdy na wyjeździe gdzieś nocuję, obowiązkowo szukam basenu. Pływanie pomaga mi oczyścić umysł po intensywnym dniu i się zrelaksować.



MISKA

Dla psa, bo wszędzie z nim jeżdżę. Gdy mam spektakl, Lassie cierpliwie na mnie czeka w garderobie. Z własnej miski jak z własnego kubka – lepiej smakuje.

LEKTURA

Książka Wiesława Myśliwskiego „W środku jesteśmy baśnią”. Autor powinien dostać Nagrodę Nobla. Swoim pisarstwem dotyka duszy ludzkiej i ratuje kulturę chłopską, z której wszyscy pochodzimy, a jej nie szanujemy.





ROK SZYMBORSKIEJ

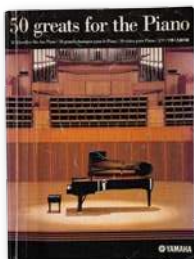
„Wiersze wszystkie” zainspirowały mnie do realizacji scenicznego projektu „Nic dwa razy się nie zdarza – kobiecym głosem z Szymborską”. I faktycznie każdy koncert jest inny, ponieważ deklamowane wiersze noblistki są przetykane śpiewaną

poezją współczesnych polskich poetów, których zgodnie ze swoim testamentem chciała popularyzować. Każdy spektakl jest dla kompozytorki Doroty Wasilewskiej inspiracją do skomponowania muzyki do kolejnego wiersza Szymborskiej, który pojawia się w następnym koncercie.

MUZYKA KLASYCZNA

Bach jest muzyką matematyczną, która bardzo porządkuje myśli.

Z kolei w samochodzie słucham ostatniego koncertu fortepianowego Czajkowskiego. Z muzyki polskiej uwielbiam Szymanowskiego, m.in. operę „Król Roger”.



ZAPASOWE BUTY

Zawsze zabieram zapasowe buty sceniczne, klasyczne czarne szpilki. To na wypadek złamania obcasa. Można nie mieć na scenie sukienki, ale buty muszą być perfekcyjne.



WACHLARZ

Jest częścią mojej przenośnej scenografii do projektu „Každy w życiu robi głupstwa, czyli zanuć, zatańcz, zaśpiewaj”. Jest to projekt promujący międzywojenną twórczość rodzimych poetów, w którym zachęcam widzów do czynnego udziału w koncercie.



SUKNIA

Z mojego spektaklu „Światła wielkiego miasta” z maestro fortepianu prof. Mariuszem Dubrawskim.

Suknia w stylu glamour, ponieważ śpiewam utwory z wybranych przeze mnie ulubionych filmów: „Pociąg”, „Bagdad Café”, „Utalentowany pan Ripley”, „Misja”, „Bo we mnie jest seks”. Wszystkie teksty napisał specjalnie dla mnie Jan Jakub Należyty.



KIJE GOLFOWE

Marzyłam o uprawianiu tego sportu od 20 lat, a gram w golfa od sześciu, od kiedy dyrektor teatru Rampa, śp. Andrzej Strzelecki, pokazał mi, jak gra. Gram w golfa, ponieważ uwielbiam wielką nieograniczoną przestrzeń, mogę zabrać psa, rywalizuję sama z sobą, skupiam się tylko na ułożeniu ciała i całkowicie rozpuszczam zbędne myśli.



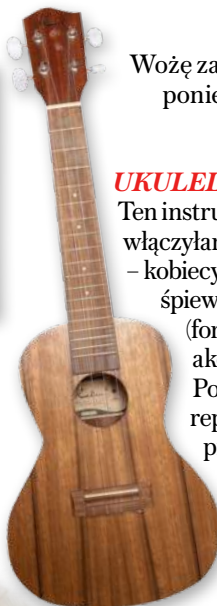
TERMOS

Wozę zawsze z sobą termos z gorącą wodą, ponieważ jako osoba pracująca głosem muszę pić bardzo dużo wody.



UKULELE

Ten instrument jest ze mną od trzech lat, ponieważ włączyłam go do projektu „Jeszcze Polska nie zginęła – kobiecym głosem o niepodległości”, w którym śpiewamy na trzy głosy – z Dorotą Wasilewską (fortepian), Aleksandrą Nykowską (gitara, akordeon) – piosenki niepodległościowe. Po ataku Rosji na Ukrainę do repertuaru dodałyśmy trzy piosenki w języku ukraińskim.



„GISELLE”

Piękny spektakl baletowy w Teatrze Wielkim w Warszawie. Była tematem mojej pracy magisterskiej na Uniwersytecie Muzycznym Fryderyka Chopina w Warszawie. Kocham balet klasyczny i operę.



Wysłuchał i zapisał Michał Korsun
Podziękowania dla Golf Park Józefów
z pomoc przy realizacji sesji

OGNIEM NA WPROST

Wielki rów Władimira



General – na szczęście rezerwy, ale z dyplomem (sic!) – Miroslaw Różański znowu mędrkuje o rozwoju sytuacji na froncie rusko-ukraińskim. Można zadać sobie pytanie, kto jeszcze udziela swoich lam byłemu wojskowemu, który uważał przed wojną powstające polskie formacje Wojsk Obrony Terytorialnej za kompletnie niepotrzebne, krytykował zdolności obronne paktu północnoatlantyckiego, wychwalał przyszłą armię Unii Europejskiej (do tej pory nic takiego nie powstało poza koncepcjami lansowanymi przez Emmanuela Macrona). Otóż są jeszcze tacy, dla których gen. Różański robi za autorytet. Widać, już zapomnieli, co pięć lat temu były Dowódca Generalny Rodzajów Sił Zbrojnych mówił o zapędach Kacapii. Jego zdaniem Moskwa „nie zaatakuję nas ani dziś, ani jutro. A może nawet nie nastąpi to również za pięć lat”. Rozwijając swoją złotą myśl, dodał, że „rosyjska gospodarka krwawi. Efekty sankcji gospodarczych najlepiej widać po budziecie na zbrojenia. Po raz pierwszy od czasów, kiedy do władzy doszedł Putin i jego ludzie, budżet na zbrojenia jest redukowany”. Teraz zaś „autorytet” od Hołowni znowu wieszczy przyszłość: „Kontrofensywy [na Ukrainie] w klasycznej formie nie będzie. [...] Określenie »kontrofensywa« jest używane trochę na wyrost. Wielkiego uderzenia ze strony Ukraińców nie będzie. Oni nie mogą sobie pozwolić na nadmierne straty”. To już nawet Krzysztof Jackowski jest ostrożniejszy w swoich przepowiedniach. Zawsze czymś się tam zaasekuruje. A gen. Różański, mimo że jego wiedza na temat przygotowań Ukraińców do oczekiwanej ofensywy jest z dużym prawdopodobieństwem znikoma, dalej wypowiada prawdy ostateczne ze 100-proc. pewnością. Ale jak ktoś lubi

spadać z wysokiego konia, to... powinien zostać kaskaderem, a nie specem od bezpieczeństwa partii politycznej, która ma aspiracje do rządzenia krajem.

Widać wizyta Xi Jinpinga w Moskwie zainspirowała Władimira P. i jego wojskowych inżynierów. Postanowili właśnie zbudować Wielki Mur Chiński. Na miarę swoich możliwości. Na Zaporozu. Jak pokazują zdjęcia satelitarne, raska wersja Wielkiego Muru Chińskiego jest odwrotna do tej już istniejącej od stuleci w Państwie Środka. Moskal poszedł w głąb ziemi. Nie tak głęboko jak wysoki jest mur i nie tak daleko. Kacapy szarpnęły się „tylko” na 70 km długości. Krótko mówiąc, Ruski wykopał 70-km rów. Zbyt głęboki na okop, zbyt wąski na rów przeciwpancerny. Za to najdłuższy na świecie. Wypełniło się rosyjskie pojęcie o czasoprzestrzeni: kopali stąd w cholerę. Że bez sensu? Historia państwa moskiewskiego zna nie jeden taki przypadek.

Mateusz Morawiecki podczas odwiedzin w Stanach Zjednoczonych zapowiedział, że Polska będzie starała się pozyskać pociski manewrujące JASSM-XR. To trzecia generacja pocisków JASSM, a XR jest najnowszym dodatkiem do rodziny AGM-158, czyli rakiet o cechach niskiej wykrywalności przez radar. Ich głównym przeznaczeniem jest przenikanie przez obronę powietrzną wroga i atakowanie dobrze chronionych lub szczególnie ważnych obiektów naziem-

nych. JASSM-XR od swoich poprzedników wyróżnia przede wszystkim zasięg. Szacuje się go nawet na 1,6-1,8 tys. km. Oznacza to, że wystrzelone z Białogostoku dotarłyby w kilka chwil do Moskwy. O! I Maryśka Zacharowa już ma temat do rozmowy z Miedwiediewem przy kolejnej półlitrowce.

W tym roku obchody Dnia Zwycięstwa będą w Kacapii znacznie uboższe niż w poprzednich latach. Niezależne moskiewskie media informują, że z parady 9 maja w br. rezygnują administracje obwodów graniczących z Ukrainą, m.in. Woroneża, Briańska i Rostowa nad Donem. Wedle doniesień portalu Meduza nie odbędzie się również defilada na zaanektowanym przez Rosjan Krymie. Są dwa powody, dlaczego tak się stanie. Po pierwsze, nie za bardzo jest już co pokazywać. Moskal stracił podczas tzw. operacji specjalnej tyle w miarę nowoczesnego sprzętu, że ledwo starczy na popisy pod Kremlem. Po drugie, istnieje poważne zagrożenie ukraińską dywersją. Białoruski publicysta Jurij Drakohrust zauważył, że Rosjanie doświadczyli już, iż wojna to maszyna, która działa w obie strony: „Najpierw samoloty i rakiety lecą w jedną stronę, a później w drugą”. Niby nic nowego, ale zawsze coś.

A na koniec pytanie: Jak się nazywa raska dywizja pancerna po powrocie z frontu na Ukrainie? Batalion piechoty lekkiej.
Andrzej Rafał Potocki

Udogodnienia dla krwiodawców

Krew ratuje życie. Transfuzja może się nie spodziewanie okazać potrzebna każdemu z nas. Według danych Ministerstwa Zdrowia w ciągu jednego roku wykonuje się w Polsce aż 1,7 mln transfuzji krwi. O tym, jak często krew jest niezbędna, świadczą amerykańskie statystyki – Czerwony Krzyż podaje, że w 2020 r. w Stanach Zjednoczonych co 2 sekundy ktoś potrzebuje krwi, a co 30 sekund ktoś potrzebuje płytek krwi.

Oddawana krew jest potrzebna chorym na nowotwory, anemię, pacjentom w trakcie operacji kardiologicznych, w procesie transplantologii, ofiarom wypadków, kobietom po cesarskich cięciach i skomplikowanych porodach. Osocze jest przeznaczone do użytku w procedurach medycznych, a także do produkcji niektórych leków. Z osocza można w szczególności uzyskać immunoglobulinę anty-D podawaną kobietom w ciąży, u których stwierdzono występowanie konfliktu serologicznego. Oddając krew, pomagamy sobie nawzajem, zabezpieczamy banki krwi oraz produkcję substancji krwipochodnych.

Krew lub jej składniki mogą oddawać osoby od 18. do 65. roku życia o wadze co najmniej 50 kg. Najbardziej pożądaną grupą krwi jest O RhD-, która może zostać przetoczona każdej osobie niezależnie od jej grupy krwi. Stan zdrowia krwiodawcy powinien odpowiadać niezbędnym wymaganiom określonym w odrębnych regulacjach. Wizyta dawcy w centrum krwiodawstwa zajmuje około godziny. Poszczególne składniki krwi mają różne terminy przechowywania. Koncentrat czerwonych krwinek traci ważność po upływie 42 dni, koncentrat krwinek płytkowych jest zdatny do przekazania pacjentom zaledwie 5-7 dni. Najdłużej może oczekiwać osocze, które w stanie zamrożonym nie traci swoich właściwości przez trzy lata. Banki krwi muszą zatem na bieżąco uzupełniać swoje zapasy.

W ostatnich latach liczba dawców krwi spadła wskutek starzenia się społeczeństw, obaw przed chorobami zakaźnymi i infekcjami, choć zdaniem specjalistów w trakcie oddawania krwi ryzyko zakażenia jest niewielkie. Spadek zasobów krwi jest spowodowany także niską świadomością społeczną odnośnie do znaczenia dawstwa. Zmniejszenie zapasów krwi nastąpiło zaś przede wszystkim wskutek pandemii COVID-19, podczas której pobór krwi został drastycznie ograniczony.

W Turcji dawca krwi dostaje wiadomość SMS-em, gdy jego krew ratuje komuś życie, a w jego imieniu jest sadzone jedno drzewo. W Polsce trzy lata temu Lasy Państwowe przekazywały krwiodawcom drzewka w ramach akcji „Choinka dla życia”. Honorowi dawcy krwi poza zwrotem kosztów podróży do centrum krwiodawstwa oraz posiłkiem regeneracyjnym są objęci uprawnieniem do ulgi podatkowej i dotychczas co do zasady mieli prawo do dnia wolnego w pracy w dniu oddania krwi, a także zwolnienia z pracy na czas okresowego badania lekarskiego. Przepisy ustawy o COVID-19 wprowadziły dodatkowy dzień wolny, przysługujący w dniu następnym po oddaniu krwi. Każdy samorząd może samodzielnie uchwalić ulgi dla krwiodawców na przejazd komunika-



**Marta
Kaczyńska-
Zielińska**

cją miejską. Zasłużonemu honorowemu dawcy krwi, czyli osobie, która oddała co najmniej 5 litrów krwi (w przypadku kobiet) lub 6 litrów krwi (w przypadku mężczyzn) przysługują ulgi na lekarstwa i możliwość obsłużenia poza kolejnością w przychodniach i innych placówkach leczenia ambulatoryjnego.

Nowe przepisy wprowadzają na stałe do polskiego porządku prawnego szersze udogodnienia dla osób, które wielokrotnie decydują się na darowanie innym swojej krwi. Od 20 kwietnia br. już honorowym dawcom krwi będą przysługiwały dwa dni wolnego: w dniu donacji oraz w dniu następnym. Dzień wolny, udzielony przez pracodawcę krwiodawcy zatrudnionemu na podstawie umowy o pracę, jest uwzględniany w stażu pracy jako okres składkowy.

Nowelizacja przepisów ustawy o publicznej służbie krwi została uchwalona wraz z przepisami ustawy o krajowej sieci onkologicznej. Dawcy, którzy kilka razy w roku odwiedzają centrum krwiodawstwa, zyskają nawet 48 wolnych dni. Dawcy płytek krwi mogą stać się uprawnionymi do 24 dni wolnych od pracy. Osocze można oddać maksymalnie 24 razy w ciągu roku, co uprawnia do uzyskania 48 dni wolnego.

REKLAMA



"Księga"

ks. Łukasz Turek i Paweł Kęska
sobota godz. 20.10 i niedziela godz. 9.00

Radio 106.2
Warszawa
niezłoty głos

65/0223/F

Polska i Europa stoją przed kluczowym wyborem

Wyprawa prezydenta Francji do Chin i jego deklaracje o potrzebie strategicznej autonomii od USA oraz wsparcie, które otrzymał w tej sprawie od Niemiec i szefa Rady Europejskiej mogą pomóc nam zrozumieć dwie rzeczy: niemiecko-francuski duet rządzący kontynentem wciąż nie wyciągnął lekcji z przeszłości, a siły proniemieckie w Polsce w przypadku zmiany władzy w naszym kraju mogą w jedną chwilę zmienić kierunek naszej polityki zagranicznej i na ołtarzu takiej zmiany złożyć wolność Ukrainy. Amerykanie mają tego świadomość.

Wizyta premiera Mateusza Morawieckiego w Stanach Zjednoczonych nie wywołałaby pewnie aż tak dużego zainteresowania międzynarodowego, gdyby nie ten właśnie kontekst dylematu, przed którym stoimy. Z jednej strony Warszawa, z drugiej Paryż i Niemcy. Stara i nowa Europa. I może nie byłoby w tym nic niezwykłego, gdyby nie coraz większa świadomość zwykłych Europejczyków co do tego, kto miał rację, a kto się mylił w ocenie Rosji. Wbrew próbom gumkowania przeszłości taką świadomość mają również Polacy,



Samuel Pereira

k którzy pamiętają, a inni dzięki wolnym mediom przypominają sobie erę „ich człowieka w Warszawie”, gdy ścigano za rusofobię, zaklinając rzeczywistość hasłami o tym, że Rosja się demokratyzuje.

Najlepiej wzrost świadomości Zachodu co do polskiego punktu widzenia widać w polityce amerykańskich demokratów. Mówimy o obozie politycznym światopoglądowo bliskim raczej Platformie Obywatelskiej, a w niektórych przypadkach nawet skrajnej lewicy, a jednak stawiającym na obecną ekipę rządzącą. Szokujące? Niekoniecznie, jeśli weźmiemy pod uwagę grę twardych interesów, w której ideologia schodzi na dalszy plan.

logia schodzi na dalszy plan. To w Polsce prezydent Biden chyba pierwszy raz w historii w ciągu tego samego roku był drugi raz. To polskiego premiera przyjęła wiceprezydent na pół roku przed wyborami. To nie są tylko gesty, ale to jest geopolityczna inwestycja, w której do wyboru jest sojusz z USA albo w bliskiej przyszłości kolejny reset. Chyba nikt nie ma złudzeń, że jeśli dojdzie do zmiany władzy w Polsce, to nikt się takim pomysłem Berlina nie postawi.

Autor jest szefem portalu tvp.info



Z tej konfrontacji wyszedłem z tarczą

Z aktorem Michałem Czerneckim
rozmawia Jolanta Gajda-Zadworna

Czuje się pan skołowany?

Michał Czernecki: Przede wszystkim czuję się szczęśliwy, że oddajemy państwu „Skołowanych”, komedię pozytywnie romantyczną.

Miał pan w niej specjalne wyzwanie?

O wiele łatwiejsze niż moja koleżanka Agnieszka Grochowska. Ona w poruszaniu się na wózku musiała być wiarygodna, a im bardziej grany przeze mnie Max jest niewiarygodny, tym większą zabawę mają widzowie i tym większych rumieńców nabiera ta historia.

Historia ciepło opowiedziana, z happyendem, a do tego z poważnym problemem w tle.

Staraliśmy się pokazać go nie tylko z taktem, by nikogo nie urazić, lecz także z wdziękiem. Wątek niepełnospraw-

ności głównej bohaterki staje się papierkiem lakmusowym dla cynizmu Maksa, ale jeśli choć przez chwilę sprowokuje też kogoś do głębszej refleksji, pozwoli spojrzeć na świat oczami filmowej Julii, to jesteśmy w dobrym miejscu.

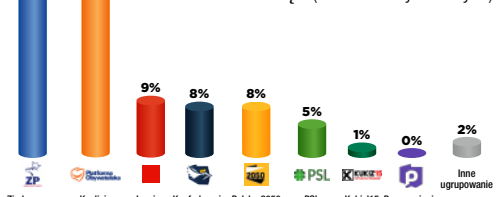
Wspomnieliśmy o aktorskich wyzwaniach: jak odnalazł się pan w „Emigracji XD”?

Znakomicie, bo to znakomity, że się tak wyrażę, „sos literacki”. Serial jest adaptacją książki Malcolma XD. Byłem jej wielbicielem na długo przed otrzymaniem propozycji zagrania pana Zbyszka i pana Wojtkę. Roli podwójnej, napisanej zresztą specjalnie dla mnie, bo w książce tych bohaterów nie ma. Tym bardziej czuję się zaszczycony. I sądząc po odbiorze widzów, wyszedłem z tej konfrontacji z tarczą.

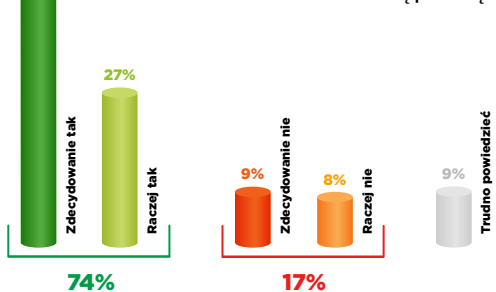


pracownia
Social Changes
dla **wPolityce.pl**

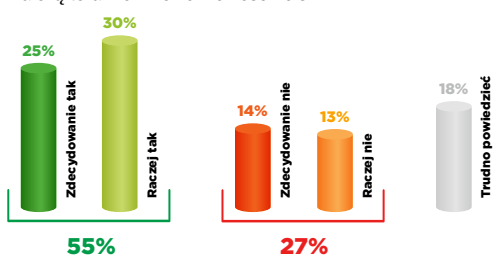
Na które ugrupowanie polityczne oddałaby Pani/ oddałby Pan głos, gdyby wybory do polskiego parlamentu odbywały się w najbliższą niedzielę? (bez niezdecydowanych)



Czy św. Jan Paweł II jest dla Pani/Pana ważną postacią?

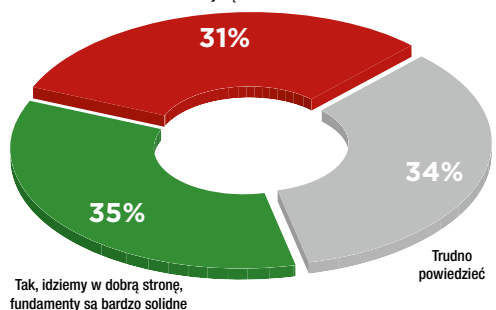


Czy zgadza się Pani/Pan z opinią, że ukraiński żołnierze walczą teraz również o wolność Polski?



Jak się Pani/Panu wydaje – czy Polsce i Ukrainie uda się wspólnie stworzyć trwałą zaporę dla Rosji?

Nie, to wciąż niepewny scenariusz, skończy się na słowach



Badania zrealizowane metodą CAWI (Computer Assisted Web Interview) na panelu internetowym. Badania przeprowadzone na ogólnopolskiej, reprezentatywnej (pod względem: płci, wieku, wielkości miejsca zamieszkania) próbie Polaków. W badaniu wzięło udział N=1052. Zakres czasowy badania 7-10 kwietnia 2023 r.

SIECI

ISSN 2544-2694
www.wSIECIprawdy.pl

E-MAIL: REDAKCJA@FRATRIA.PL; TEL.: (22) 616 36 00, (22) 255 93 32; UL. FINLANDZKA 10, 03-903 WARSZAWA

AUTORZY: ŁUKASZ ADAMSKI, GORAN ANDRIJANIĆ, PRZEMYŚŁAW BARSZCZ, MAREK BUDZIŚ, ADAM CIESIELSKI, PIOTR CYWILSKI, LESZEK DŁUGOŚ, KRZYSZTOF FEUSETTE, JOLANTA GAJDA-ZADWORNIA, GRZEGORZ GÓRNY, JERZY JACHOWICZ, STANISŁAW JANECKI, MARTA KACZYŃSKA-ZIELIŃSKA, MICHAŁ KARNOWSKI, KONRAD KOŁODZIEJSKI, CEZARY KOWALSKI, ANDRZEJ KRAUZE, JAROMIR KWIATKOWSKI,

WYDAWCA: FRATRIA SP. Z O.O.
PREZES: ROMUALD ORZEŁ
UL. LEGIONÓW 126-128,
81-472 GDYNIA
REDAKCJA@FRATRIA.PL, WWW.FRATRIA.PL



DYREKTOR WYDAWNICZY: MACIEJ WOŚKO
PRODUKCJA I DYSTRYBUCJA: MARIOLA BARCİKOWSKA,
MARIOLA.BARCİKOWSKA@FRATRIA.PL

DYREKTOR ARTYSTYCZNY:
MICHAŁ KORSUN, MICHAŁ.KORSUN@FRATRIA.PL

STUDIO GRAFICZNE: ANDRZEJ SKWARCZYŃSKI (KIEROWNIK),
ANDRZEJ.SKWARCZYŃSKI@FRATRIA.PL,
LIDIA SŁOWIKOWSKA-SMOŁIŃSKA, KATARZYNA ŁASKOWSKA
PROJEKT GRAFICZNY: MICHAŁ KORSUN
FOTOEDYCJA: ANNA ŁĄBĘCKA, ANIA ŁĄBĘCKA@FRATRIA.PL,
OBRÓBKA ZDJĘĆ: TOMASZ KIERAS

PRENUMERATA WYDANIA PAPIEROWEGO:
TEL. (22) 616 36 00 (GODZ. 9.00 – 17.00), (22) 255 93 32
PRENUMERATA@FRATRIA.PL
REGULAMIN ORAZ WARUNKI PRENUMERATY NA STRONIE
WWW.WSIECI.PRAWDY.PL

WPLAT ZA PRENUMERATĘ PROSIMY DOKONYWAĆ NA KONTO:
91 1240 5354 1111 0010 7713 6290
FRATRIA SP. Z O.O., UL. LEGIONÓW 126-128, 81-472 GDYNIA,
W TYTULE WPLATY WPISUJĄC PEŁNE DANE ADRESOWE DO
WYSŁĘKI ORAZ RODZAJ PRENUMERATY

PRENUMERATA REALIZOWANA PRZEZ RUCH S.A.:

ZAMÓWIENIA NA PRENUMERATĘ W WERSJI PAPIEROWEJ I NA
E-WYDANIA MOŻNA SKŁADAĆ BEZPOŚREDNIO NA STRONIE
WWW.PRENUMERATA.RUCH.COM.PL.

REDAKTOR NACZELNY: JACEK KARNOWSKI

ZASTĘPCY REDAKTORA NACZELNEGO: DOROTA ŁOSIEWICZ,
TOMASZ OZDOWY, MAREK PYŻA, MARCIN WIKŁO

JAKUB MACIEJEWSKI, RYSZARD MAKOWSKI, MAJA NARBUTT,
MARZENA NYKIEL, SAMUEL PEREIRA, JAN PIETRZAK,
JAN POSPIESZAŁSKI, ANDRZEJ RAFAŁ POTOCKI, WOJCIECH
RESZCZYŃSKI, JAN ROKITA, ALEKSANDRA RYBINSKA, WOJCIECH
STANISŁAWSKI, WIKTOR ŚWIELIK, ROBERT TEKIELI, MACIEJ
WALAŚCZYK, BRONISŁAW WILDSTEIN, PIOTR ZAREMBA,
DOMINIK ZDORT, ANDRZEJ ZYBERTOWICZ

EWENTUALNE PYTANIA PROSIMY KIEROWAĆ NA ADRES E-MAIL:
PRENUMERATA@RUCH.COM.PL LUB KONTAKTUJĄC SIĘ
Z CENTRUM OBSŁUGI KLIENTA „RUCH” POD NUMERAMI:
22 693 70 00 LUB 801 800 803 – CZYNNE W DNI ROBOCZE
W GODZINACH 7⁰⁰ – 17⁰⁰.

KOSZT POŁĄCZENIA WG TARYFY OPERATORA.

DRUK: WALSTEAD KRAKÓW SP. Z O.O.

DYREKTOR DS. ROZWOJU BIZNESU:
KATARZYNA MARCHEWKA – KATARZYNA.MARCHEWKA@FRATRIA.PL

BIURO REKLAMY:
REKLAMA@FRATRIA.PL, TEL. (22) 463 49 93
PAULINA KĄKOL – PAULINA.KAKOL@FRATRIA.PL
MARCIN DĄBROWSKI – MARCIN.DABROWSKI@FRATRIA.PL

KOLPORTAŻ: KOLPORTAZ@FRATRIA.PL

REDAKCJA ZASTRZEGA SOBIE PRAWO DO REDAGOWANIA
I SKRACANIA TEKSTÓW. COPYRIGHT © FRATRIA SP. Z O.O.
WSZYSTKIE PRAWA ZASTRZEŻONE
(WŁĄCZNIE Z TYTUŁACIEM NA JĘZYKI OBCE).
REDAKCJA NIE ZWRACA MATERIAŁÓW NIEZAMÓWIONYCH.
OGŁOSZENIA I REKLAMY NIE STANOWIĄ MATERIAŁU
POCHODZĄCEGO OD WYDAWCY.
BEZUMIOWNA SPRZEDAŻ NUMERÓW BIEŻĄCYCH I ARCHIWALNYCH
PO CENIE NIŻSZEJ OD USTALONEJ PRZEZ WYDAWCĘ JEST
ZABRONIONA, NIELEGALNA I GROZI ODPOWIEDZIALNOŚCIĄ KARNĄ.



FOT. NA OKŁADCE: MAREK PŁA, AUTOR GRAFICZNY: EAST NEWS, WYKUT RÓDNIŃSKI/APPEAST NEWS,
LEONID SHCHEGLOW/APPEAST NEWS, LEONID SHCHEGLOW/APPEAST NEWS, ANDRZEJ SIKORSKI/APPEAST NEWS,
JANUSZ ROSKON/ROSOKIN PRESS, SHUTTERSTOCK/AGAPOM/POWITUD, JAG_CZ, S.ISTUDIOS



Maja
Ostaszewska

O złych Polakach i dobrych obcych

Czy sztuczna fala migracyjna to atak hybrydowy? A może skoordynowana akcja Mińska i Moskwy? Prehudium wojny? Nie dla wszystkich. Gdy Agnieszka Holland bierze się za film o kryzysie na granicy polsko-białoruskiej, można być pewnym, że zobaczymy w nim cierpienie obcokrajowców i jak najgorszy obraz Polaków, a zwłaszcza polskiego państwa i Straży Granicznej. Sama to zresztą zapowiada. Kino „bardzo zaangażowane” gwarantuje też ekipa, którą zatrudniła



MAREK PYZA MARCIN WIKŁO

To miała być wielka tajemnica, ale ustawione w lesie pod Konstancinem setki metrów drutu żyłkowego Concertina nie uszły uwadze okolicznych mieszkańców. To m.in. tutaj Agnieszka Holland pracowała nad swoim najnowszym filmem

„Zielona granica”. „Akcja dzieje się mniej więcej przed rokiem, gdy zaczął się kryzys humanitarny na białoruskiej granicy. Bardzo mnie to poruszyło, bo uświadomiło mi, że ta sytuacja w sensie ludzkich wyborów gdzieś przypomina mi inne filmy, które robiłam, a które



Agnieszka
Holland

działy się w odległej historii” – mówiła reżyser w Radiu TOK FM.

NIENAWIŚĆ W LESIE

Mimo że twórcy i aktorzy podpisali restrykcyjne klauzule poufności, na

ich profilach w internecie można natrafić na odrobinę szczegółów dotyczących powstającego filmu. Wiemy, że „Zielona granica” ma opowiadać o losach azjatyckich uchodźców, którzy docierają do polskiej granicy. Dzięki współproducentowi Jarosławowi

Sedlackowi dowiadujemy się o kolejnych szczegółach scenariusza. „Dramatyczna historia syryjskiej rodziny uciekającej z ojczyzny przez Białoruś do Szwecji. Zostaje ona jednak oszukana przez przemytników i trafia na granicę polsko-białoruską, gdzie ogłoszono stan wyjątkowy, uniemożliwiający jakąkolwiek pomoc organizacji humanitarnych. Równoległe z losami syryjskiej rodziny śledzimy także losy afgańskiej nauczycielki Leili, która chce dołączyć do swojego brata w Stanach Zjednoczonych, polskiego strażnika granicznego Jana i jego ciężarnej żony Kasi, a także niedawno owdowiałej psycholog Ewy, która mieszka samotnie w domu przy granicy”.

Jest więc jasne, jaki to będzie obraz granicznego przesilenia. Nie będzie mowy o zagrożeniu integralności państwa i szalenie niebezpiecznej próbie, której zostało poddane. To będzie opowieść o nienawiści, którą w konsekwentnej pracy polskich służb widzą lewicowi aktywiści i sama Holland, nierzadko państwowy opór przed sterowanym napływem migrantów w sosie przedwojennego rasizmu i antysemityzmu. „Historia lat 30. XX w. i II wojny światowej się nie skończyła, gdzieś tam usnęła. Świat – a przynajmniej Europa – zostały przez nią zaszczerpane, ale ta szczepionka traci ważność. I znów wracamy do mrocznych lęków, schematów, wyzwań, z którymi będziemy musieli sobie poradzić jako Polacy, Europejczycy i obywatele świata” – mówiła Agnieszka Holland w TOK FM. Reżyser narzekała też, że informacji o produkcji nie udało się utrzymać w sekrecie i na planie pojawili się „różni tacy nieproszeni goście”, aż trzeba było wynająć ludzi do pilnowania scenografii, choć ustawiono ją w prywatnym lesie.

„Ochroniarze pilnują, żeby nikt nie zniszczył ogrodzenia, które jest scenografią do pięknego filmu o takich, którzy takie ogrodzenie bez skrępowań niszczyli. Taki paradoks” – napisał z przekąsem Maciej Wąsik, wiceszef MSWiA. Z zauważalną ekscytacją zareagowała europoseł KO Janina Ochojska: „Agnieszko, czyżbyś już pokazała panu ministrowi swój film? Mówi, że film jest piękny. Nie spodzie-

Fot. Paweł Włodarczyk/Eur. News, Wojtek Ratwanau / AFP / EastNews, Leonid Stichelew / BELTA / AFP / EastNews

wałabym się, że MSWiA tak się spodobalo – napisała na Twitterze. To żart, ale zamiary twórców należy traktować poważnie. „Insynuacje, które służą do atakowania Polski, Polaków i rządu – rozmowa z Agnieszką Holland to zły prognostyk zapowiadający jej film o granicy polsko-białoruskiej. Wygląda na to, że wpisze się on w ataki na Polskę” – ocenił radiowy występ Holland Stanisław Żaryn, pełnomocnik rządu ds. bezpieczeństwa przestrzeni informacyjnej RP.

ZA UDZIAŁ WZIĘLI

„Zielona granica” to produkcja polsko-francusko-belgijsko-czeska. 160 tys. euro zapewnił Czeski Fundusz Filmowy (odpowiednik polskiego PISF), to najwyższej dotowany film przez tę instytucję w 2022 r. w puli obrazów powstających w międzynarodowej koprodukcji. Czeskim koproducentem jest firma Marlene Film Production, która współpracowała już z Holland, m.in. przy filmach „Szarlatan” i „Kafka” (ten obraz miał powstać przed „Zieloną granicą”, lecz reżyser zmieniła plany). Dodatkowo nadzorowany przez Komisję Europejską fundusz Eurimages przekazał kolejne 380 tys. euro. Pełnego budżetu nie znamy, jak mówi reżyser, „finansujący z Polski na razie nie chcą reklamy”.

W zasadzie nikogo nie powinno dziwić, że jedną z głównych ról zagra Maja Ostaszewska. Aktorka jak mało kto jest merytorycznie, ale zwłaszcza ideologicznie przygotowana do pracy nad tym tematem. Od dwóch lat wręcz żyje wydarzeniami na granicy. Bywa tam wraz z innymi aktywistami, urządza pokazowe konferencje. Dowiadujemy się z nich o nieszczęściu ludzi, którym rzekomo polskie służby nie chcą pomóc. Zamieściła w mediach społecznościowych mnóstwo filmików, w których nie brakuje lez i pomstowania na Polskę. Na jednym z nich wraz z Janiną Ochojską oraz generałami w stanie spoczynku, Waldemarem Skrzypczakiem i Mirosławem Różańskim

(doradcą Szymona Hołowni), w dramatycznym tonie apelowała o humanitarne traktowanie uchodźców (choć to migranci, a nie uchodźcy) i pytała funkcjonariuszy Straży Granicznej, czy mają świadomość, jakiej sprawie służą: „Co to za rozkazy, które nie pozwalają nieść pomocy?”. W istocie był to apel o nieposłuszeństwo.

„Gazeta Wyborcza”, doceniając to zaangażowanie, przyznała jej statuetkę Superbohaterki Wysokich Obcasów. Aktorka cieszyła się: „Może znowu głośno wybrzmieć temat tego, że kryzys humanitarny mamy na dwóch granicach, bo ten na polsko-białoruskiej nadal się nie skończył. [...] Ludzie walczą o życie w lodowatym lesie, na bagnach”.

To będzie opowieść o nienawiści, którą w konsekwentnej pracy polskich służb widzą lewicowi aktywiści i sama Holland, nurzając państwowy opór przed sterowanym napływem migrantów w sosie przedwojennego rasizmu i antysemityzmu

19 marca Ostaszewska wstawiła na Facebooku fotografię z kampera ekipy realizacyjnej i pozdrowienia dla fanów. „Od tygodnia jestem na planie nowego, bardzo ważnego dla mnie filmu” – nie napisała jednak, że chodzi o „Zieloną granicę”. Gdy ktoś zwrócił jej uwagę, że używa „śmiesznego frazesu”, bo zapewne nie byłaby w stanie wskazać filmu dla siebie nieważnego, zareagował Antoni Komasa-Łazarkiewicz, kompozytor muzyki do obrazu Agnieszki Holland, prywatnie jej siostrzeniec: „[...] są filmy ważne i ważniejsze. Ten należy do tych drugich. Proszę mi uwierzyć na słowo, że Maja Ostaszewska wie, co pisze. Przekona się pan wkrótce”.

Znamy też kilka nazwisk z zagranicy, które na afiszu będą towarzyszyć Ostaszewskiej. To m.in. Aboubakr Bensaihi, belgijski aktor marokańskiego pochodzenia. W marcu pochwalił się na Instagramie zdjęciem z kampera w czasie przygotowań do zdjęć w Mrozach pod Siedlcami. Na pierwszym planie prezentuje swoją ucharakteryzowaną stopę – zniszczoną, siną, popękaną od gałęzi, po których jego bohater zapewne przedziera się boso, by umknąć przed bezduszną Strażą Graniczną.

Jedną z głównych ról, afgańskiej nauczycielki Leili, która przez Białoruś chce się dostać do Polski, zagra Iranek Behi Djanati Atai, wcześniej obsadzana raczej w niszowych produkcjach. Na ekranie zobaczymy też Joely Mbundu, początkującą francuską aktorkę, mającą dotychczas na koncie jedną rolę – w opowiadającym o kameruńskich imigrantach w Belgii filmie „Tori i Lokita”, który walczył o Złotą Palmę na ubiegłorocznym festiwalu w Cannes, ostatecznie zdobywając tam nagrodę specjalną.

Kto jeszcze pojawi się przed kamerą? Tego nie wiemy, ale Belgijka Kadija Leclere, odpowiadająca za casting do filmu, w styczniu poszukiwała do obsady m.in. dzieci (w wieku 7–10 lat) znających syryjski, afgański i arabski, a także 18-miesięcznego malucha. W grudniu zamieściła ogłoszenie o potrzebnym „dziadku” w wieku ok. 70 lat, mówiącym po arabsku i „czarnych, afrykańskich, arabskich nastolatkach”. Jak wynika z jej wpisów w mediach społecznościowych, Leclere – podobnie jak inni członkowie ekipy – jest zachwycona tematem podjętym przez Holland. Sama angażuje się w pomaganie migrantom, niedawno zachęcała obserwujących jej profil, by kocujących w namiotach w centrum Brukseli... zabierać do kina lub teatru.

AUTORZY NA MISJI

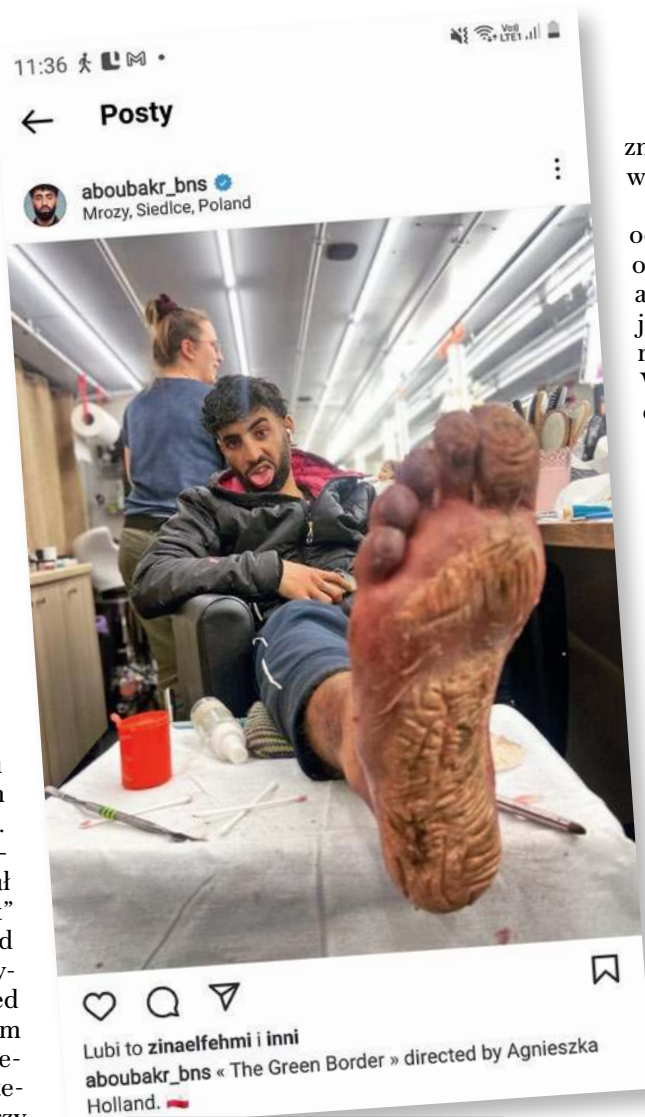
Scenariusz do filmu powstał już rok temu. Wydruk jego drugiej wersji nosi

na karcie tytułowej datę 24 lutego 2022 r. Holland pisała go wspólnie z Maciejem Pisukiem i Gabriellą Łazarkiewicz-Sieczko.

Ten pierwszy jest znany m.in. ze scenariuszy do filmów „Jesteś Bogiem” czy „Kantor. Nigdy tu już nie powrócę”. Dla Andrzeja Wajdy napisał próbną wersję scenariusza o Jacku Kuroni, lecz reżyser ostatecznie zrealizował wówczas „Katyn”. Pisuk to kolejny twórca oddany idei ośmiu gwiazdek. Na jego zdjęciu profilowym na Facebooku widzimy wysprejowane „J...ć PiS!” na tle podświetlonego na lawendowo Pałacu Kultury i Nauki. W sierpniu 2021 r. uczestniczył w strajku głodowym przed Sejmem w solidarności z uchodźcami. W czasie kampanii prezydenckiej w 2020 r. deklaracją „Rafał Trzaskowski – mój kandydat” ozdabiał swoje zdjęcia sprzed siedziby TVP, gdzie często wystawał z transparentem. Przed ostatnim Bożym Narodzeniem pisał: „Uwaga. Wprowadzam selekcję wśród znajomych. Kryterium jest proste: wszyscy, którzy życzyli mi w tym roku »wesołych świąt«, mają prze...ne. Uważam, że dziś, teraz, w Polsce życzyć komuś »wesołych świąt« to gruby nietakt, brak wyobraźni, bezmyślność albo dowód absolutnej bezdusznosci. [...] A ja życzę wszystkim państwu szybkiego końca tego koszmaru. *****”.

Gabriela Łazarkiewicz-Sieczko to prywatnie siostrzenica Holland. Też jest wrażliwa na los uchodźców na granicy. 1 listopada 2021 r. paliła na Powązkach Wojskowych znicze „pamięci umarłych z głodu, chłodu i pragnienia na granicy”.

Muzykę skomponował jej brat, wspomniany Antoni Komasa-Łazarkiewicz, który wielokrotnie pracował już przy filmach ciotki (i nie tylko). Jest bardzo zaangażowany w mediach społecznościowych w walkę polityczną. Dzieli się m.in. takimi przemyśleniami: „Andrzej Duda. Jedna z naj-



W filmie zagrać ma także Aboubakr Bensaihi, belgijski aktor marokańskiego pochodzenia. W marcu pochwalił się na Instagramie zdjęciem z kampera w czasie przygotowań do zdjęć w Mrozach pod Siedlcami

bardziej ohydnych postaci polskiej historii najnowszej”. Gdy pochylał się nad losem Omara, przebywającego w ośrodku dla imigrantów w Podkowie Leśnej, pisał: „Ważne. Wyrwijmy chłopaka ze szponów Straży Granicznej”. A tak komentuje sondaż wskazujący na wysokie poparcie dla Konfederacji wśród młodych mężczyzn: „Polscy faceci to (z niewielkimi wyjątkami) obrzydliwe stado sfrustrowanych mięczaków i mizoginów, a ich tępota i lenistwo jest przyczyną wszelkiego zła, jakie trawi ten kraj. Polkom żyć przede wszystkim udanych związków z obcokrajowcami”. Czy wtedy w „tym kraju” zapanuje dobro multikulti,

znane Łazarkiewiczowi z Berlina, w którym od 15 lat mieszka?

Za zdjęcia do „Zielonej granicy” odpowiada Tomasz Naumiuk, operator kilku filmów Holland, a także m.in. „Disco Polo”, „Być jak Kazimierz Deyna” oraz seriali „Wataha” czy „Odwilż”. W 2021 r. wspólnie z Holland i jej córką Kasią Adamik na prośbę inicjatywy Wolne Sądy przygotowali kilkuminutowy film – życzenia świąteczne poruszające temat migrantów na granicy. Czytamy udostępniane przez niego w mediach społecznościowych wpisy wolontariuszy z pogranicza. Dowiadujemy się z nich, że w ich slangu funkcjonariusze Straży Granicznej są nazywani „esgiekami”. Czy to przypadek, czy celowo ma budzić skojarzenia z SB? Czy takie określenia też wpleciono do scenariusza?

SKORUPKA ZA MŁODU

Kilka lat temu dziennikarka „Gazety Wyborczej” Krysztyna Naszkowska przeprowadziła serię głośnych wywiadów, które zebrała w książce „My, dzieci komunistów”. Jedną z jej bohaterek – obok takich osób jak np. Aleksandra Jasińska (córka Bieruta), Aleksander Smolar czy Piotr Fejgin – jest Agnieszka Holland. O swoim ojcu Henryku mówi: „[...] zaczął komunizować szalenie wcześnie, właściwie niemalże jako dziecko. To mi opowiadała Helena Leńska, która była z nim w organizacji syjonistycznej Ha-Szomer Ha-Cair. Mówiła mi, że Henio (Hersz) był ich przywódcą intelektualnym i duchowym, a miał ledwie 12 lat. I w pewnym momencie ich zdradził, tak to odebrali, bo przeszedł do komunistów. Wstąpił najpierw do Rewolucyjnego Związku Niezależnej Młodzieży Szkolnej, a w 1935 r. do Komunistycznego Związku Młodzieży Polskiej”.

Matką Agnieszki Holland jest dziennikarka Irena Rybczyńska-Holland: „Mama nie była Żydówką, przed wojną jako nastolatka lewicowała. W czasie

wojny działała w AK, walczyła w powstaniu warszawskim. Bardzo źle oceniała decyzję o wybuchu powstania, uważała ją za zbrodniczą, mówiła mi tak, kiedy byłam jeszcze dzieckiem". Po wojnie pracowała w Naczelnym Komitecie Wykonawczym Stronnictwa Ludowego (komunistycznej partii chłopskiej), studiując jednocześnie dziennikarstwo i filozofię na UW, m.in. uczęszczała na seminaria do prof. Władysława Tatarkiewicza. Była w gronie ośmiu studentów, członków PZPR, którzy w marcu 1950 r. wystąpili z atakującym go listem otwartym, protestując przeciwko „dopuszczaniu na prowadzonym przez niego seminarium do czysto politycznych wystąpień o charakterze wyraźnie wrogim budującej socjalizm Polsce”. List przyczynił się do odsunięcia Tatarkiewicza od prowadzenia zajęć na uczelni.

W kolejnym fragmencie książki Naszkowskiej Agnieszka Holland mówi: „Drugi mąż mamy, dziennikarz i publicysta Stanisław Brodzki, też był żydowskim komunistą, nawet znacznie bardziej *homo politicus* niż mój ojciec. Brodzki do 1957 r. kierował działem kulturalnym »Trybuny Ludu«, a potem pracował w tygodniku »Świat« i w »Polskich Perspektywach«”. Jest więc jasne, jaką ideologią była otoczona od dzieciństwa. Reżyser mówi wprost, że czasy stalinizmu były okropne, ale komuny stara się ogólnie nie oceniać. Dlaczego? Otóż, jak twierdzi, nie przyglądała się temu systemowi, bo wydawał jej się niezbyt interesujący. Nie zrobiła więc o tej tematyce żadnego filmu.

Dziś w polityce już siedzi po uszy i ocenia obecną władzę nawet o to niepytana. Rok temu, tuż po agresji Rosji na Ukrainę, portal legalnakultura.pl zagadnął ją w temacie nadziei dla napadniętego kraju, a ta natychmiast skrzyła na krajowe podwórko: „Jeżeli chodzi o sytuację polityczną w tej chwili, to nie mam nadziei. To wszystko idzie w bardzo złą stronę. [...] Mam nadzieję, że te zmiany w obliczu śmiertelnego zagrożenia będą trwałe, choć czort ich wie. Taki Zio-

bro ze swoim Kowalskim nie zmieniają agenturalnej narracji”.

INNY NA GRANICY

W tym samym wywiadzie z marca 2022 r. padły pierwsze zapowiedzi realizacji filmu o wydarzeniach na polsko-białoruskiej granicy. Dziś, gdy film już powstaje, reżyser jeszcze chętniej dywaguje nad rzekomymi polskimi wadami, do których zdają się ograniczać jej refleksje związane z hybrydowym atakiem na polską granicę.

Wróćmy do jej radiowego wywiadu. Prowadzący Piotr Maślak (uznany niedawno przez sąd winnym zniesławienia funkcjonariuszy SG) w pewnym momencie pyta: „Nie boi się pani ataku ze strony władzy, obozu rządzą-

„Zielona granica” to produkcja polsko-francusko-belgijsko-czeska. 160 tys. euro zapewnił Czeski Fundusz Filmowy (odpowiednik polskiego PISF), kolejne 380 tys. euro nadzorowany przez Komisję Europejską fundusz Eurimages

cego? Nawiązuje pani przed chwilą do lat 30. XX w., to śliski i trudny temat w Polsce politycznie”. Naprawdę nie sposób pojąć, co dziennikarz miał na myśli. Ale Holland poszła w swoją stronę. „W Polsce wszystkie tematy są trudne politycznie, bo żyjemy w czasach, gdzie władza się lęka tej części obywateli, którzy niekoniecznie podzielają jej światopogląd albo sposób na zarządzanie światem. Stosuje metody miękko autorytarne, a w perspektywie ma narzędzia, by przestały być miękko autorytarne. Dlatego trzeba mówić o tym, a czasem i krzyczeć, kiedy nie jest jeszcze za późno”. Podkreślmy: będzie krzyczeć dlatego, że władze po-

wstrzymały wrogą i czytelną operację destabilizacyjną zaplanowaną przez despotów ze Wschodu.

Co jest celem Agnieszki Holland? Czy chodzi jej tylko o otoczenie opieką szukających wygodniejszego życia przybyszów z odległych regionów świata? Nie, chce iść dużo dalej i zmienić świat. Nasz świat. Będzie nam wmawiać lęk przed uchodźcami i rasizm, z którego następnie spróbuje nas wyleczyć. „Żyjemy w pewnej społecznej, moralnej schizofrenii. To mi się wydaje bardzo ciekawym i ważnym tematem. Rasizm jest zjawiskiem, które nie jest czysto polskie. Ale w Polsce on jest odarty z maski, kostiumu i być może dlatego można go wyraźniej zobaczyć i może też można wyraźniej go leczyć w jakiejś dłuższej perspektywie. [...] gdy śledzę zachowania i komentarze internetowe moich rodaków czy Amerykanów, to widzę, że jest to problem, z którym nie umiem się zmierzyć. I myślę, że stoi za tym jeszcze jakiś głębszy lęk przede wszystkim przed utratą przywilejów – wyczuwa się, że nie uda nam się zachować w nieskończoność naszej wyjątkowej pozycji w świecie, na planecie, ponieważ katastrofa klimatyczna i to, co się dzieje na politycznym Południu, spowoduje, że ludzie tam mieszkający będą musieli dążyć na Północ. I bardzo tego nie chcemy, bo chcemy, żeby nam było dalej ciepło, wygodnie, żebyśmy mogli konsumować”.

A zatem przygotujcie się, drodzy pacjenci dr Holland, na terapię szokową. Nie macie prawa żyć w cieple i spokoju. I nie będziecie żyli. Urządzi wam tu multikulturową mieszkankę wybuchową – może nawet dosłownie, gdy przedmieścia Warszawy lub Krakowa będą płonąć niczym te w Sztokholmie, Paryżu czy Brukseli.

Reżyser stawia się w roli demiurga, władnego na swoją modłę kształtować społeczeństwa cywilizacji zachodniej. Sięga po ton mentora, a wręcz terapeuty narodowego, europejskiego, światowego. Kim jest Agnieszka Holland, by uzurpować sobie prawo do bycia sumieniem Polski, której trady-

cyjne wartości tak mierzą? Skąd to przekonanie o jakiejś wyjątkowej roli nadanej samej sobie?

Trzeba postawić jej jeszcze jeden zarzut, może nawet najpoważniejszy – oderwane od faktów zrównanie sytuacji uciekających spod rosyjskich bomb uchodźców ukraińskich ze sztucznie wykreowaną w Mińsku i Moskwie falą migracyjną ludzi, którzy przybyli do Europy na własne życzenie i zanim ruszyli na polską granicę, często długi czas spędzali w Rosji, wciąż nie wiadomo, w jakim celu. To fałszywe, na wskroś nieuczciwe, a wręcz obrzydliwe w stosunku do Ukraińców.

„Narracja rządu okazała się skuteczna. Wmówiono ludziom, że ci konkretni ludzie, o ciemniejszym na ogół kolorze skóry, niż mamy my czy niż mają nasi ukraińscy sąsiedzi i przyjaciele, to jest dostateczny sposób, żeby uwierzyć, że nie są oni ludźmi, zdehumanizować ich i przedstawiać jako przede wszystkim broń Łukaszenki. Ale również wyobraziłam sobie, że jakiś rząd w Europie może przyjąć narrację podobną wobec uchodźców z Ukrainy. Może powiedzieć, że Putin wywołał wojnę, żeby zalać Europę milionami uchodźców z Ukrainy i destabilizować gospodarki tych krajów. [...] Jeśli chodzi o uchodźców z białoruskiej granicy, potrzebna jest jakaś kontrnarracja” – mówi Holland.

Widać tu, jakim błędem jest myśle-

W zasadzie nikogo nie powinno dziwić, że jedną z głównych ról zagra Maja Ostaszewska. Aktorka jak mało kto jest ideologicznie przygotowana do pracy nad tym tematem. Od dwóch lat wręcz żyje wydarzeniami na granicy

nie artystów z intelektualistami. Ich sława i talent do operowania obrazem czy słowem nie musi iść w parze z rozumnym postrzeganiem rzeczywistości. Ile złej woli trzeba mieć, by porównać ludzi uciekających do sąsiedniego kraju przed autentyczną wojną o skali niewidzianej od ośmiu dekad z przybyszami z odległych państw (to ważne, bo prawo międzynarodowe, na które i Holland powołuje się w podpisywanych przez siebie petycjach, stanowi, że ochrona międzynarodowa należy się tylko w pierwszym kraju nieogarniętym konfliktem, do którego przybywa uchodźca), w których albo żadna wojna się nie toczy, albo w najgorszym razie życie jest nader uciążliwe? Nie wolno stawiać znaku równości między szukającymi legalnego wjazdu do Polski Ukraińcami a obywatelami

Kamerunu, Konga, Jemenu czy Afganistanu, którzy niszcząc zapory graniczne i fizycznie atakując polskich funkcjonariuszy, próbują się wedrzeć na nasze terytorium.

Nawet liczne nagrody od kolegów ze środowiska filmowego i status artystycznego autorytetu nie uprawniają do stosowania takich manipulacji, powtórzmy: szalbierskich wobec prawdziwych uchodźców z Ukrainy. A może służą one tylko jednemu – uporczywemu doszukiwaniu się w Polakach rasizmu?

O „Zielonej granicy” na pewno będzie głośno, choć raczej nie przed wyborami. Ciężko byłoby skończyć produkcję w tak krótkim czasie, a i sama reżyser uważa, że nie byłoby to rozsądne. Agnieszka Holland jest jedną z najbardziej rozpoznawalnych osobistości w historii polskiego kina, była nominowana do Oscara (za film „Europa, Europa”), od ponad dwóch lat pełni funkcję przewodniczącej Europejskiej Akademii Filmowej. Oczernianie swojego kraju i swoich rodaków przez kogoś o takiej pozycji może mieć potężną siłę rażenia. Ale czy zmieni postawę Polaków, którzy – jak wynika z badań – darzą szacunkiem żołnierzy i funkcjonariuszy Straży Granicznej? Wątpliwe. Na pewno w obliczu tego filmowego ciosu w plecy obrońców naszych granic hasło „murem za polskim mundurem” będzie wciąż aktualne. 

GO W SPORCIE?

OGŁĄDAJ **WE WTORKI O 12.35**
W TELEWIZJI **W POLSCE PL**

Sponsor programu



Cudowny plan Tuska

Czy przewodniczący Platformy Obywatelskiej znowu ucieknie do Brukseli? Raczej nie



STANISŁAW JANECKI

Nie trzeba zastępować Donalda Tuska jako kandydata na przyszłego premiera ani obecnie, ani w ostatniej fazie kampanii wyborczej, np. we wrześniu 2023 r. Nie musi być żadnego konfliktu między byłym premierem a obsadzonym w roli lidera opozycji i przyszłego szefa rządu Rafałem Trzaskowskim. Tusk nie jest przeszkodą w ubieganiu się o najwyższe stanowiska w Polsce i w Platformie Obywatelskiej przez polityków od niego młodszych, a nawet dużo młodszych. Nie trzeba się przejmować tym, czy i co powinno się zrobić z Donaldem Tuskiem, np. w związku z jego negatywnym bagażem oraz liderowaniem w sondażach nieufności (w badaniu CBOS z marca 2023 r. brak zaufania do niego zadeklarowało 58 proc. ankietowanych, co oznaczało wzrost o 2 pp. w stosunku do lutego 2023 r.).

Wszystkie te problemy rozwiązuje nowy cudowny plan, który Donald Tusk

ma przedstawić pozostałym partiom opozycyjnym oraz działaczom własnego ugrupowania. Ten plan można nazwać bajką o Donaldzie Pożądanym, tyle że ta bajka ma stać się rzeczywistością. Określenie „bajka” wynika z tego, że choć plan jest prosty, jego realizacja wymaga spełnienia kilku ryzykownych założeń. Walka o wyborcze zwycięstwo opozycji ma być jednak tak ważna i wcale niełatwa (w sondażu United Surveys dla „Dziennika Gazety Prawnej” i RMF FM z początku marca 2023 r. 52 proc. badanych było przekonanych, że jesienne wybory wygra Prawo i Sprawiedliwość, podczas gdy zwycięstwo Koalicji Obywatelskiej obstawiało 27 proc.), że tradycyjne środki i metody mogą zawieść. Stąd bierze się wymyślanie cudownych planów i rozwiązań, a ten „bajkowy” z Donaldem Tuskiem ma być nie tylko bardzo sprytny, lecz także skuteczny. I można by go zrealizować w kilku wariantach zależnie od rozwoju sytuacji.

BAJKOWY SCENARIUSZ

Jeden z wariantów tego cudownego scenariusza zakłada, że zostanie on przedstawiony jako uzgodniony z ważnymi urzędnikami unijnych instytucji oraz

z przywódcami najważniejszych państw UE. A nawet gdyby faktycznie tak nie było albo wtajemniczonych zostałoby zaledwie kilka osób, to im tak bardzo ma zależeć na odsunięciu od władzy Prawa i Sprawiedliwości, że nie będą niczego dementować, a co najwyżej tajemniczo odmawiać komentarza. W tym wariantcie Donalda Tuska nie trzeba by zastępować Rafałem Trzaskowskim na żadnym etapie kampanii wyborczej, gdyż obecny przewodniczący PO nikomu i niczego by nie blokował. Dlaczego? Bo cel główny jest jeden: Tusk ma wygrać z opozycją wybory jako kandydat na przyszłego premiera. I gdyby wygrał wybory, faktycznie objąłby stanowisko szefa rządu. Ale na krótko. W wersji optymistycznej, czyli bajkowej, „zwycięzca” po jakimś czasie sam się usuwa, a właściwie awansuje w strukturach europejskich. Problemem jest to, że wcale tak być nie musi. I z powodu charakteru Tuska, i z tego względu, że posiadanie realnej władzy upaja, więc dobrowolna rezygnacja wcale nie musi być taka prosta, a nawet może się nie dokonać.

Bycie kandydatem na premiera, a potem szefem rządu ma być tylko taktycznym posunięciem, które umożliwi Donaldowi Tuskowi objęcie stanowiska

przewodniczącego Komisji Europejskiej. W ten sposób były szef Rady Europejskiej miałby udowodnić, że wciąż jest nie tylko politykiem sprawczym i zdolnym poprowadzić do zwycięstwa, lecz także odpowiednim do kierowania Komisją Europejską w trudnych i nadzwyczajnych czasach. W tym scenariuszu bez wygrania wyborów i objęcia funkcji szefa rządu Tusk nie miałby szans nawet na rozważanie przejścia schedy po Ursuli von der Leyen.

Oczywiście oficjalnie w instytucjach UE oraz w poszczególnych stolicach nie ma planu uczynienia Tuska przewodniczącym Komisji Europejskiej. Gdyby jednak machina ruszyła i zapowiadało się „odzyskanie” Polski, bajkowy scenariusz mógłby szybko stać się oficjalnym planem, a przynajmniej miałby sporo zwolenników. Nie chodzi jednak o to, czy plan faktycznie istnieje, lecz o opowiadanie o nim, bo to wzmacnia samego Tuska i zwiększa jego szanse na jakąś formę integracji opozycji oraz na oczekiwany wynik tejże opozycji w wyborach parlamentarnych.

„ODZYSKANIE” POLSKI

Ważną częścią bajki o Donaldzie Pożądanym jest to, żeby przywódcy państw oraz wysocy urzędnicy unijnych instytucji nie kwestionowali istnienia scenariusza „odzyskania” Polski, bo to by osłabiało, a wręcz ośmieszało samego Tuska i szanse opozycji. W takiej sytuacji różni politycy wypowiadaliby się w ten sposób, że wszystko jest możliwe i różne warianty są rozważane. A Donald Tusk jest tak doświadczonym politykiem, że właściwie mógłby objąć każde stanowisko. Scenariusz z Tuskiem idącym do Brukseli ma uspokoić pozostałe partie opozycyjne oraz tonować nastroje wewnątrz Platformy i Koalicji Obywatelskiej. Wszystko samo by się ułożyło i nie trzeba by żadnych wewnętrznych wojen, a tym bardziej politycznego ojcobójstwa, żeby doprowadzić do zmiany personalnej i pokoleniowej, a jednocześnie odzyskać władzę. Rafał Trzaskowski ma wreszcie dojrzeć do bycia liderem i kandydatem na premiera, bo taka będzie logika wydarzeń, gdyby Tusk miał znowu przenieść się do Brukseli. I to byłaby dla Trzaskowskiego nagroda za cierpliwość.

W bajce o Donaldzie Pożądanym, czyli scenariuszu ogrania wszystkich, chodzi o to, żeby zneutralizować wszystkie negatywne procesy, które zaszły po stronie opozycji po powrocie Tuska do polskiej polityki (na początku lipca 2021 r.), oraz te, które wciąż zachodzą wewnątrz PO i w związku z nieudanym pomysłem jednej listy. Ten scenariusz ma zmylić przeciwników i obezwładnić liderów innych partii opozycyjnych. Plan z Donaldem Tuskiem, który prowadzi do zwycięstwa, a potem się usuwa (awansuje), ma mieć tę zaletę, że wszyscy w nim wygrywają. Odpalony w najgorętszym okresie kampanii parlamentarnej, choć pomyślany jako wielka iluzja, czyli w jakimś sensie wielkie oszustwo, może

Plan ma podnosić wartość Tuska jako polityka, którego mimo dawnych zasług nawet część wyborców opozycji nie docenia albo nie chce jako szefa przyszłego rządu. Ale jeśli byłby to tylko przystanek przed objęciem najbardziej decyzyjnego i wpływowego stanowiska w UE, obiekcje i sprzeciw stałyby się nieważne

mieć jednak moc zamrażania problemów, których nie udawałoby się rozwiązywać.

Plan ma podnosić wartość Tuska jako polityka, którego mimo dawnych zasług nawet część wyborców opozycji nie docenia albo nie chce jako szefa przyszłego rządu. Ale jeśli byłby to tylko przystanek przed objęciem najbardziej decyzyjnego i wpływowego stanowiska w UE, obiekcje i sprzeciw stałyby się nieważne. Zresztą niezależnie od rozwoju wypadków warto popierać Tuska jako lidera opozycji i Koalicji Obywatelskiej, bo nawet gdyby został szefem rządu krótko (maksymalnie rok), zdoła wszystko tak poustawić, że oddając władzę w ręce następcy, stworzy

znakomity grunt do rozwiązania wszystkich problemów z Komisją Europejską, TSUE i innymi unijnymi instytucjami.

Scenariusz z Donaldem Tuskiem wygrywającym wybory, a potem odchodzącym do Brukseli byłby przedstawiany jako niezbędny element zmiany władzy w Polsce oraz równie niezbędny w poukładaniu relacji z Komisją Europejską i innymi instytucjami UE. To ma zapewnić temu planowi wiarygodność. Wszystko jedno, czy i w jakim stopniu plan jest fikcją, ważne, by ta fikcja doprowadziła do uzyskania optymalnego efektu wyborczego. A znalezienie uzasadnienia dla zmiany planów, a nawet ich wysadzenia w powietrze jest proste, gdy efekt zostanie osiągnięty.

JAK Z „KILER-ÓW 2-ÓCH”

Donald Tusk i opozycja mają za wszelką cenę wygrać wybory w Polsce, a potem się zobaczy, jak wiarygodnie (albo i nie, ale tym nikt się nie przejmie) wytłumaczyć, dlaczego z tego scenariusza trzeba było zrezygnować lub go zmodyfikować. Plan (bajka) ma być skutecznym politycznym dopalaczem. Oczywiście w wersji Tuska, która byłaby potem tłumaczona we własnej partii oraz innym liderom opozycji, że obecny szef PO wcale nie planował przenosin do Brukseli. Już po wyborach i ewentualnej wygranej opozycji oraz po namaszczeniu Tuska na premiera jakoś wyjaśniono by zmianę planów, czyli pozostanie w kraju (to odwrótność sytuacji z 2014 r., gdy Tusk miał zostać w Polsce, a wyjechał do Brukseli), np. rozwojem sytuacji międzynarodowej albo skalą problemów wewnętrznych.

Tyle tylko, że najsłabszym i najmniej wiarygodnym ogniwem tego planu jest sam Donald Tusk. Gdyby istniała szansa objęcia funkcji przewodniczącego Komisji Europejskiej, Tusk zrobiłby wszystko, żeby nim zostać, poruszyłby wszystkie sprężyny i złożył wszelkie obietnice tym, którzy o tym decydują. I znowu uciekłby do Brukseli, zostawiając kolegów z ręką w nocnym naczyniu. A wtedy cały misterny plan poszedłby tam, gdzie w filmie „Kiler-ów 2-óch”. Scenariusz sukcesu okazałby się przepisem na klęskę, ale to nie byłoby już zmartwienie Donalda Tuska. On by znowu wygrał.

Najpierw Zelenski podczas wizyty w Polsce dał sygnał Morawieckiemu, iż Ukraina będzie gotowa przystopować swój eksport rolny, idący dotąd swobodnie przez polską granicę. Polski premier mówił o tym publicznie po swoich spotkaniach z ukraińskim gościem. Kilka dni później nowy polski minister rolnictwa Robert Telus uzgodnił ze swoim odpowiednikiem – Mykołą Sol skim – rzecz dość niebywałą, zważywszy na „normalne” relacje między państwami, broniącymi zwykle swoich ekonomicznych interesów.

UKRAINA USTĘPUJE

Wobec oczywistego faktu, iż Polska z racji członkostwa w Unii nie dysponuje suwerennymi instrumentami powstrzymania napływu ukraińskich zbóż i żywności, Sol ski przystał na to, iż w interesie polskich rolników, a wbrew interesowi ukraińskich zrobi to Ukraina. Trudno wyobrazić sobie, by tak uprzejmie ustępliwa postawa wobec sąsiada mogła mieć miejsce, gdyby nie krytyczna sytuacja wojenna państwa ukraińskiego i świadomość kijowskiej elity władzy, iż utrzymanie nadzwyczajnej polskiej sympatii dla walczącej Ukrainy jest kapitałem politycznie ważniejszym niż interes ukraińskiego sektora rolniczego.

Na pospiesznie zorganizowanym spotkaniu w granicznym Dorohusku Sol ski obiecał Telusowi, iż każdy udokumentowany przypadek rozładunku w Polsce transportu z ukraińskim zbożem będzie skutkować dla firmy, która się tego dopuści, administracyjnym zakazem udziału w eksporcie. Tak ma być aż do tegorocznych zniw, by był czas na rozładowanie polskich magazynów zbożowych. W chwili, gdy piszę te słowa, nie jest publicznie znany żaden polsko-ukraiński dokument, który by precyzował to zobowiązanie Ukrainy. Ale tak właśnie, dość precyzyjnie, Telus

Eksplodacja zbożowej miny

Tylko ustepliwości władz w Kijowie zarwdzięczamy to, że jak na razie zamieszanie wokół importu zbóż nie przekształciło się w polityczny kryzys polsko-ukraiński



JAN ROKITA

relacionował publicznie swoje uzgodnienia z Sol skim (np. w wywiadzie dla radiowej Trójki).

Już na pierwszy rzut oka widać, że jest to zobowiązanie niemożliwe do weryfikacji przez Polskę – chyba tylko służby wywiadowcze mogłyby dociec, czy administracja ukraińska faktycznie nakłada zapowiadane sankcje na ukraińskich handlowców i przewoźników łamiących dorohuskie uzgodnienia. Bo że będą one łamane przez tamtejszy biznes, to nie może budzić wątpliwości. Na polsko-ukraińskiej granicy interesy biznesowe zawsze miały przewagę zarówno nad prawem, jak i polityką.

Polska konieczność polegania wyłącznie na dobrej woli Ukraińców i ich strachu przed zepsuciem sobie tak potrzebnej w czasie wojny sympatii

Polaków bierze się z całkowitej jak dotąd nieskuteczności oddziaływania na decyzje unijne. We wspomnianym radiowym wywiadzie Telus skarżył się, iż nawet na rzecz tak oczywistą jak zgoda Komisji Europejskiej na 700-mln pomoc interwencyjną polskiego budżetu dla sektora rolnego trzeba było czekać aż siedem tygodni. I to w warunkach, w których kryzys cenowy, a w jego efekcie i kryzys polityczny na tle importu zbóż pogłębiał się już niemal z dnia na dzień.

Nie sposób w gruncie rzeczy ocenić, na ile jest to wynik niewydolnej biurokratycznej maszyny decyzyjnej Brukseli, na ile zaś celowe korzystanie z okazji, by przed wyborami choć troszkę zaostrzyć kłopoty PiS z polskim lobby rolniczym. W każdym razie obecna



Fot. Krzysztof Rudzki/Euro News



7 kwietnia ministrowie rolnictwa Polski - Robert Telus oraz Ukrainy - Mykoła Solski rozmawiali na przejściu granicznym w Dorohusku o kryzysie zbożowym. W spotkaniu uczestniczył również wiceminister rolnictwa Rafał Romanowski (pierwszy z lewej)

władza powinna już się była nauczyć, że liczenie na szybkie objawy życzliwości Brukseli w razie poważniejszych oparów byłoby sporą naiwnością.

CENA WOJNY

To jeden aspekt sprawy, ale jest też drugi, ściśle związany z toczącą się wojną i polityczną strategią wobec Ukrainy. Kiedy w kwietniu 2022 r. Komisja Europejska wystąpiła z projektem zniesienia cel i kontyngentów w unijnym handlu z Ukrainą, była to reakcja na płynące (m.in. z Polski) żądania okazania pomocy napadniętemu krajowi, nawet jeśli trzeba będzie za to płacić własną cenę. Taka była logika sankcji nakładanych na Rosję, za co solidnie zapłaciła europejska gospodarka.

Taka sama była logika decyzji o odcięciu rosyjskich surowców energetycznych, co najciężej znieśli Niemcy. I taka też logika stała za jednostronnym otwarciem jednolitego rynku europejskiego dla towarów ukraińskich. Od samego początku było jasne, że cenę za tę akurat decyzję w pierwszej kolejności zapłaci polskie rolnictwo, bo tu ukraińska konkurencja jest najsilniejsza.

W profesjonalnej analizie (opublikowanej ostatnio na portalu wPolityce.pl) Marek Budzisz kawa na ławę wykazał, iż o przewagach konkurencyjnych ukraińskiego sektora rolnego nad polskim wiedziano w Polsce doskonale jeszcze grubo przed wybuchem wojny na Wschodzie. Wojna tylko powiększyła owe przewagi, przyspieszając napływ miliardowych zachodnich kapitałów

przejmujących ukraińskie wielkie farmy rolnicze, które wpadły w wojenne kłopoty. To właśnie presja owego płynącego do ukraińskiego rolnictwa kapitału, a nie bynajmniej nagła groźba eksplozji głodu w Afryce sprawiła, że jesienią ub.r. pół świata zajmowało się wymuszaniem na Moskwie gwarancji bezpieczeństwa dla ukraińskiego eksportu zbożowego. I choć niechętnie, z powtarzającymi się incydentami zbrojnymi agresywny Putin na to przystał, dzięki czemu eksport ukraińskich produktów rolnych spadł podczas wojny tylko minimalnie w stosunku do skali destrukcji całej ukraińskiej gospodarki (jesienią 2022 r. Kijów szacował ów spadek na 10 proc.).

O tym, że PiS musi wpaść przed wyborami na minę ukraińskiego zboża, został poinformowany na czas przez

swoich doradców Donald Tusk. Więc już w czerwcu 2022 r., zaraz po decyzji Parlamentu Europejskiego i Rady UE o zniesieniu ceł i kontyngentów dla Ukrainy, wybrał się w polityczną podróż do dolnośląskich producentów rolnych, gdzie grzmiał, iż za chwilę PiS „skrzywdzi ludzi ciężko pracujących”, albowiem „część tych zbóż (ukraińskich) będzie sprzedawana w Polsce po wyraźnie niższych cenach”. Prestrogi Tuska były oczywiście zasadne, tym bardziej więc zostały natychmiast podjęte przez rosyjską propagandę. Powołując się na Tuska, RIA Nowosti dała materiał na temat zagrożenia, jakie zboże ukraińskie niesie teraz dla polskich rolników. Charakterystyczna była ówczesna reakcja polskiej propagandy rządowej. Zarówno ówczesny rzecznik PiS Fogiel, jak i czołowy propagandzista Rachoi obwieścili, iż kolejny raz Tusk gra z Rosją przeciw Ukrainie. „No i zupełnym przypadkiem, po raz nie wiedzieć który, jest to akurat działanie zbieżne z celami rosyjskiej machiny wojennej” – ironizował wówczas Rachoi. Po czasie widać, że wiedza i inteligencja przydają się nawet w uprawianiu propagandy.

Unijny komisarz Janusz Wojciechowski uspokajał jakiś czas później, iż import zboża ukraińskiego nie zagraża rynkowi europejskiemu. Z kolei polski resort rolnictwa pod władzą wicepremiera Kowalczyka zapewniał, że jakby jednak co, to przecież w przyjęte przez Unię rozporządzenie został wpisany artykuł czwarty, pozwalający na przywrócenie ceł na określone towary, jeśli by „powstały poważne trudności dla unijnych producentów”. Na tej właśnie podstawie Kowalczyk czynił bezowocne zabiegi o powrót unijnych ceł na zboża. Bezowocność tych zabiegów także nie trudno było przewidzieć, zważywszy, że (jak to podkreślał Wojciechowski) rynek rolny zachodniej części Unii na razie nie został dotknięty poważniejszymi kłopotami z powodu ukraińskiego eksportu. A poza tym rządy państw Unii w dość krytycznej sytuacji wojennej dla państwa ukraińskiego nie zamierzają rezygnować z podjętych dotąd form wspierania Ukrainy.

Deklaracje nowego ministra Tulusa wskazują na to, że zamierza on podążyć w tej mierze szlakiem wytyczonym przez Kowalczyka i domagać się nieprzedłużania wolnego handlu z Ukrainą ponad obowiązujący dotąd termin czerwca 2023 r. Tymczasem Komisja Europejska już ogłosiła, że chce przedłużyć ów termin o dalszy rok. Za chwilę zatem może powstać w Europie nieprzyjemne dla Polski polityczne *qui pro quo*. Oto Warszawa wbrew większości krajów unijnych będzie czynić zabiegi o to, by walcząca Ukraina była przez Europę traktowana trochę gorzej

Okazuje się, że Polska jest pierwszym krajem, w którym praktyczne otwieranie się Unii Europejskiej na Ukrainę wywołuje poważny wewnętrzny kryzys, z dymisją członka rządu włącznie

niż do tej pory. I by Bruksela nie miała skrupułów, by wałnąć w ukraińskie interesy ekonomiczne. Nie tylko liczni nienawistnicy wobec PiS, lecz także polityczni wrogowie Polski, mogą mieć z tego niezłą uciechę.

To, co dotąd jest najbardziej optymistyczne w tym kryzysie, to pojednawcza i uступliwa postawa władz Ukrainy. Widać, że Kijów chce pomóc nam wyjść z impasu, w który sami się zapędziliśmy przez daleko posunięty brak wyobraźni. Oczywiście kryzys, który musiał nastąpić, był przez długi czas ignorowany, tak jakby miał mu zapobiec jakiś cud. Również polski, unijny komisarz ds. rolnictwa jak zwykle okazał się nieprzydatny dla polskich interesów.

CENA ROZSZERZENIA UNII

Ale obecny kryzys to tylko początek kolosalnego problemu politycznego, przed którym naprawdę stoi Polska. Ów problem to hipotetyczne – z entu-

zjazmem w Polsce wspierane – przystąpienie Ukrainy do UE. Do tej pory na europejskich antypodach tego ambigenego politycznego projektu sytuowały się Francja i Polska. Macron nigdy nie krył, iż z perspektywy Paryża taka rzecz może się zdarzyć za kilkadziesiąt lat. Duda i Morawiecki domagali się nie jeden raz akcesji niemal natychmiastowej. Pośrodku tych sprzecznych pozycji Warszawy i Paryża zwykli się sytuować Niemcy, wedle deklaracji Scholza gotowi na szybkie przyjęcie Ukrainy, choć pod pewnymi politycznymi warunkami (m.in. ograniczenia jednomyślności).

Teraz jednak okazuje się, że Polska jest pierwszym krajem, w którym praktyczne otwieranie się Unii na Ukrainę wywołuje poważny wewnętrzny kryzys, z dymisją członka rządu włącznie. I nie ma w tym nic dziwnego, gdyż rozszerzanie UE niesie zawsze największe ryzyko, a zarazem potencjalnie największe korzyści dla dotychczasowych państw granicznych. Tak właśnie było z Niemcami, gdy w 2004 r. przystępowała Polska, a w Berlinie nie zdecydowano się jednak mimo mocnego lobbingu za polską akcesją podjąć drastyczne kroki przeciw napływowi polskich pracowników. Dziś my stoimy wobec podobnych dylematów.

Ze zbożowego kryzysu nie należy – broń Boże – wyciągać wniosku o konieczności zmiany ugruntowanej już przez lata polskiej narodowej pozycji co do dalszego rozszerzenia Unii na wschód. Przeciwnie. Trzeba tylko jak najszybciej rozpocząć na serio debatę nad tym, jakie warunki ekonomiczne musimy postawić przyszłej ukraińskiej akcesji. A także nad tym, jak chcemy dalej prowadzić polską politykę rolną, by wielkotowarowe, nasycone zachodnim kapitałem i gospodarujące na najlepszym w Europie czarnoziemie ukraińskie rolnictwo nie wykończyło w przyszłości całkiem polskich producentów. W polityce zdarzają się takie wielkie problemy, których nie rozwiązuje się za pomocą politycznej propagandy. Na szczęście zdobyty w ciągu ostatniego roku polsko-ukraiński kapitał wzajemnego zaufania znacznie ułatwia nam podjęcie prawdziwej dyskusji. 



Chcesz pokoju, szykuj się do wojny

W warunkach wojny na Ukrainie wydatki na obronę stale rosną, ale trzeba się z tym pogodzić. Alternatywą dla tych kosztów mógłby bowiem być los pomordowanych mieszkańców Buczy i Irpienia. Inaczej mówiąc, płacimy za prawo do życia w pokoju



KONRAD KOŁODZIEJSKI

W sondażu opublikowanym tydzień temu na łamach tygodnika „Sieci” pracownia Social Changes zapytała ankietowanych, jaką armię powinna mieć Polska. Jedynie 32 proc. z nich odpowiedziało, że wystarczy nam armia, która umożliwi obronę do chwili, gdy nadejdzie odsiecz ze strony sojuszników. Za to aż 68 proc. badanych uważa, że musimy mieć ar-

mię, która będzie w stanie samodzielnie odeprzeć atak wroga.

Ten sondaż pokazuje nam kilka rzeczy. Przede wszystkim nie lekceważymy wojny na Ukrainie, która wywołuje w nas niepokój. Jednak ten niepokój – i to jest kolejne spostrzeżenie – nie paraliżuje nas ani nie zamienia w defetystów gotowych pójść na daleko idące ustępstwa, ażeby tylko zyskać poczucie złudnego bezpieczeństwa. Obrona kraju jest dla nas – przynajmniej w sferze deklaratywnej – oczywistą odpowiedzialnością na potencjalną agresję.

I wreszcie ostatnia, chyba najważniejsza, konkluzja. Jest nią przekonanie, że w razie kłopotów powinniśmy liczyć przede wszystkim na siebie. Wiadać przy tym wyraźnie, że potrafimy

wyciągać wnioski z dotychczasowego przebiegu wojny na Ukrainie oraz z własnej historii.

OTRZEŻWIENIE

Wojna otrzeźwiła nas i pozbawiła wielu dotychczasowych złudzeń. Ukraina nie zdołałaby powstrzymać agresji, gdyby w ciągu pierwszych tygodni wojny nie była w stanie samodzielnie odeprzeć moskiewskiej nawały. Jednocześnie wojna pokazała, że w polityce poszczególnych członków NATO są skrywane, choć istotne różnice w podejściu do agresora. O ile najbardziej zagrożone państwa naszego regionu nawoływały do zdecydowanej odpowiedzi, o tyle inne – przede wszystkim

Niemcy i Francja – zareagowały kunktatorstwem i chwiejnością w nadziei na dogadanie się z Moskwą, nawet jeśli miałyby się to stać kosztem Ukrainy. Wielu Polakom od razu przywołało to skojarzenia z przeszłością, gdy europejskie potęgi niejednokrotnie kupczyły bezpieczeństwem Polski.

Takie postępowanie wzbudza obawy co do wiarygodności niektórych naszych sojuszników i podważa zaufanie wewnątrz NATO. Nie mamy pewności, czy w przypadku agresji nie skończy się – tak jak we wrześniu 1939 r. – na pustych gestach, tym bardziej że słynny art. 5 traktatu północnoatlantyckiego, który jest stosowany na wypadek napaści, mówi o zobowiązaniu stron do podjęcia działań, które uznają one za konieczne, by pomóc napadniętemu sojusznikowi. Wymienione w artykule użycie siły zbrojnej jest jedynie jedną z możliwych opcji.

Obserwując politykę Niemiec czy Francji wobec Moskwy oraz stosunek społeczeństw tych państw do agresji na Ukrainie, można mieć więc uzasadnione obawy co do tego, czy byłyby one gotowe pospieszyć ze zbrojną odsieczą Polsce i państwom naszego regionu. Przerabialiśmy już podobny scenariusz w 1939 r., gdy nasi ówcześni sojusznicy, owszem, wypowiedzieli wojnę III Rzeszy, ale nie ruszyli, by nam pomóc. Nic więc dziwnego, że teraz brakuje nam pełnej wiary w ich gotowość do poświęceń na rzecz Europy Wschodniej. Zwłaszcza że długotrwały pokój i dobrobyt zdemobilizowały militarnie i mentalnie sporą część Zachodu.

Oczywiście nie oznacza to wszystko, że NATO jest niewiele warte. Szczęśliwie sojusz nie opiera się wyłącznie na defetystach z Berlina, Paryża i wielu innych europejskich stolic. O jego sile i witalności ciągle decydują Stany Zjednoczone, na które Polacy spoglądają ze znacznie większą wiarą. Tyle tylko, że Amerykanie są dość daleko od Polski i mają kłopoty nie tylko z Rosją, lecz także z Chinami. To właśnie dlatego mamy poczucie, że nie powinniśmy opierać swojego bezpieczeństwa wyłącznie na cudzych deklaracjach.

INWESTYCJA W BEZPIECZEŃSTWO

Co istotne, taka polityka wiary we własne siły coraz bardziej dziś popłaca. Była już mowa o Ukrainie, która otrzymała szerszą pomoc dopiero wtedy, gdy Zachód uwierzył w siłę ukraińskiej armii.

To doświadczenie ukraińskie mocno dziś wpływa na sposób myślenia zachodnich, zwłaszcza amerykańskich strategów. Na łamach „The Wall Street Journal” ukazał się w zeszłym tygodniu artykuł Johna Boltona, dyplomaty i przez pewien czas doradcy Donalda Trumpa.

Obserwując politykę Niemiec czy Francji wobec Rosji, można mieć uzasadnione obawy co do tego, czy byłyby one gotowe pospieszyć ze zbrojną odsieczą Polsce i państwom naszego regionu

Bolton pisze m.in., że Stany Zjednoczone powinny stawiać przede wszystkim na tych sojuszników, którzy wzmacniają siłę Ameryki, a więc aktywnych i dobrze uzbrojonych, zdolnych do samodzielnego odparcia napaści. Bo tylko im warto pomagać. Nie ma tu miejsca dla defetystów i dekowników za darmo korzystających z amerykańskiego parasola militarnego. W tym myśleniu, które – jak się zdaje – jest w dużym stopniu podzielane również przez demokratyczną ekipę Joe Bidena, budująca silną armię Polska staje się dla Ameryki wartościowym partnerem wartym ochrony.

Liczebność amerykańskich wojsk w Polsce, szacowana dziś na ponad 10 tys. żołnierzy, nie jest może oszałamiająca, ale warto zwrócić uwagę na trzy rzeczy. Po pierwsze, amerykańscy żołnierze w Polsce są, co jeszcze kilka lat temu wydawało się nie do pomyślenia. Po drugie, w Poznaniu powstało wysunięte dowództwo V Korpusu Wojsk

Łądowych USA, które jest pierwszą stałą bazą sił amerykańskich na naszym terytorium. I wreszcie po trzecie, w wielkopolskim Powidzu otwarto na początku kwietnia bazę serwisową i skład uzbrojenia amerykańskiej armii, w którym znajdzie się kilka tysięcy czołgów i pojazdów bojowych. Dzięki temu, że uzbrojenie będzie na miejscu, czas amerykańskiej reakcji na zagrożenie skróci się od półtora miesiąca do zaledwie kilku dni. Konieczne będzie jedynie przerzucenie do Polski załóg.

Amerykańskie wsparcie nabiera więc namacalnego charakteru, co można wiązać nie tylko z zaostrzeniem sytuacji w Europie, lecz także z budowaniem sojuszniczej wiarygodności przez Polskę. Tak też należy odczytywać prowadzoną przez obecny rząd politykę obronną, która zakłada, że w br. wydamy na wojsko ponad 130 mld zł. To ok. 4 proc. PKB, a więc dwukrotnie więcej niż minimum 2 proc. ustalone podczas szczytu NATO w Walii w 2014 r. W ub.r. – z wydatkami wynoszącymi 2,45 proc. PKB – znaleźliśmy się w gronie zaledwie dziewięciu członków NATO, którzy wywiązali się z podjętych zobowiązań.

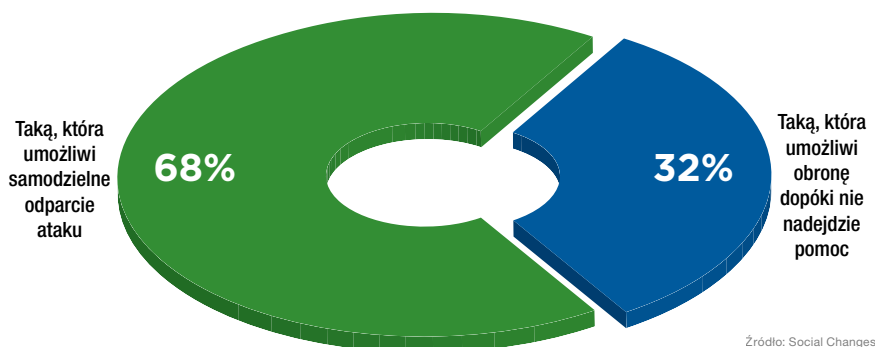
W warunkach wojny na Ukrainie utrzymanie armii staje się coraz droższe, ale nie ma innego wyjścia. Alternatywą dla tych kosztów mógłby bowiem być los pomordowanych mieszkańców Buczy i Irpienia. Inaczej mówiąc, płacimy za prawo do życia w pokoju.

ZAPORA OGNIOWA

Moskiewska agresja na Ukrainę po-przewracała do góry nogami wiele dotychczasowych planów obronnych. Wcześniej zakładano, że główna linia obrony przed napaścią ze Wschodu zostanie oparta na linii Wisły. Tam mieliśmy czekać na wsparcie sojuszników.

Dziś wiemy znacznie więcej. Po pierwsze, jasne jest, że taka strategia może się skończyć rzezią ludności cywilnej na obszarach okupowanych przez Moskwę, czego świadkami byliśmy na Ukrainie. Po drugie, nie należy się spodziewać, że pomoc sojuszników będzie kompletna i natychmiastowa. Gdyby nie obecność Amerykanów, to być może musielibyśmy na nią czekać bardzo długo i nie byłoby pewne, czy zdołamy do tego czasu wy-

Jaką armię powinna mieć Polska?



trwać. To również doświadczenie Ukrainy, która przetrwała pierwszą falę ataku tylko dzięki własnej armii. Dlatego plany obronne należy tworzyć z uwzględnieniem tego, co dzieje się na Ukrainie, a to nakazuje nam przyjęcie zupełnie innej strategii, w której nie ma mowy o dopuszczeniu wroga na nasze terytorium. Do tego jest nam potrzebna silna zaporą ogniową złożoną z artylerii raketowej i czołgów. Taką zaporę ma zapewnić zakup 506 amerykańskich wyrzutni HIMARS, które mogą wystrzeliwać rakiety o zasięgu do 300 km, oraz 218 południowokoreańskich K239 Chunmu (zasięg w zależności od rakiety do 290 km).

Pierwsze z 20 wyrzutni HIMARS, które zamówiliśmy w 2019 r., dotrą do Polski już wkrótce, na kolejne 486 będzie trzeba jednak poczekać kilka lat. To właśnie dlatego zakupiliśmy jeszcze wyrzutnie z Korei, które można pozyskać szybciej. We wrześniu 18 południowokoreańskich K239 Chunmu znajdzie się na uzbrojeniu 18. Dywizji Zmechanizowanej, a pozostałe mają być dostarczone do Polski partiami do 2027 r.

Czołgi, które wielu teoretyków sztuki wojennej przedwcześnie skazało na wymarcie, również udowodniły, że ciągle są niezastąpione na europejskich nizinach. Zwłaszcza że potencjalny przeciwnik opiera swoje siły lądowe właśnie na broni pancernej i artylerii. Polska, która przekazała większość swoich czołgów T-72 i PT-91 Twardy armii ukraińskiej, uzupełnia teraz braki dostawami znacznie nowocześniejszego uzbrojenia. Chodzi przede wszystkim o ciężkie czołgi Abrams. Premier Morawiecki, który w zeszłym tygodniu odwiedził zakłady w Alabamie, gdzie wytwarza się czołgi Abrams, po-

twierdził, że pierwsze wozy trafią do Polski w czerwcu. Będzie to partia 14 zmodernizowanych czołgów z zapasów marines. Łącznie kupiliśmy 116 takich maszyn. Stany Zjednoczone dostarczą nam także 250 Abramsów w najnowszej wersji, których dostawy mają zakończyć się w 2026 r.

To jeszcze nie wszystko, jeśli chodzi o broń pancerną, bo na uzbrojenie wchodzi w tej chwili południowokoreański czołg K2 – lepszy, słabiej opancerzony, ale za to silnie zautomatyzowany z armatą o dużym zasięgu, co pozwala na lepszą ochronę przed ogniem nieprzyjaciela. Takich czołgów ma być 1000, z czego co najmniej połowa zostanie wyprodukowanych u nas – w poznańskich Wojskowych Zakładach Motoryzacyjnych.

Do broni pancernej trzeba doliczyć kolejne armatohaubyce Krab i ich koreańskie odpowiedniki K9, zakupione po to, by przyspieszyć modernizację armii. Miesiąc temu rząd podpisał też umowę na dostawę 1,4 tys. najnowszych wozów bojowych piechoty Borsuk produkcji Huty Stalowa Wola.

TAKIEJ BRONI NIE MIELİSMY

Choć wzmocnienie armii lądowej jest – jak wynika to z ukraińskiego doświadczenia – priorytetem, to zakupy dotyczą również innych rodzajów broni. W przyszłym roku polscy piloci zasiądą za sterami nowoczesnych samolotów piątej generacji – F-35. Szkolenia zaplanowano pierwotnie na dwa lata, a więc maszyny mogłyby przylecieć do Polski w 2026 r., ale w obecnej sytuacji może uda się ten termin przyspieszyć. Niewykluczone, że nowe samoloty podobnie jak starsze F-16 zostaną uzbrojone w naj-

nowsze pociski JASSM-XR o zasięgu aż 1,8 tys. km, które wkrótce wejdą do produkcji w zakładach Lockheed Martin.

Polska nigdy dotąd nie miała broni o takim zasięgu rażenia. I nie chodzi tu tylko o to, że – jak piszą w wielu mediach – dzięki tym pociskom moglibyśmy uderzyć w Moskwę, ale o to, że samoloty mogłyby razić cele w przypadku ataku na polską granicę z bardzo bezpiecznego dystansu, właściwie poza zasięgiem wroga.

Do tych zakupów dochodzą jeszcze południowokoreańskie samoloty FA-50, które już w tym roku pojawiają się w bazie w Mińsku Mazowieckim, a także śmigłowce morskie AW101 Merlin oraz wielozadaniowe AW149. Szykujemy się do rozmów w sprawie dostaw szturmowych maszyn Apache oraz dronów MQ-9B Reaper. Inne drony – słynne tureckie Bayraktar TB2 – dotarły już do bazy w Mirosławcu, gdzie rozpoczęły się szkolenia na nowym sprzęcie.

Od paru lat trwa odbudowa obrony przeciwlotniczej, począwszy od systemu średniego zasięgu Wisła (baterii Patriot), kończąc na Pilicy Plus o krótkim zasięgu. Zmienia się także na morzu, na którym wchodzi do służby niszczyciele min typu Kormoran II. Trzy z nich już pływają, rozpoczęto właśnie produkcję kolejnego.

Mimo tych inwestycji ciągle jest wiele do zrobienia. Potrzebujemy lepszego rozpoznania, które jest konieczne nie tylko po to, by przejrzeć zamiary wroga, lecz także po to, by ustalić odległe cele dla własnej artylerii i pocisków. Trzeba ciągle wzmacniać obronę przeciwlotniczą i morską. Trzeba wreszcie znaleźć i wyszkolić dziesiątki tysięcy żołnierzy, którzy to wszystko obsłużą.

Być może ten wysiłek byłby dziś mniejszy, gdyby 10 lat temu w ramach narzuconego resetu z Rosją rząd Tuska nie rozbroił polskiej armii na wschodzie kraju. Dziś konieczne jest – i to w przyspieszonym tempie – odtwarzanie naszych zdolności obronnych, a nikt przecież nie wie, ile mamy na to czasu. Możemy mieć jedynie nadzieję, że szybka odbudowa armii oraz amerykańskie wsparcie zniechęcą Moskwę do dalszej agresji, o ile oczywiście nie dojdzie wcześniej do jakiejś nieprzewidzianej zmiany polityki po wyborach w Polsce.

Ostatecznie to my wygramy tę wojnę



Jeśli przy zasadach, wartościach, przy wierze wytrwa w sposób twardy 20–30 proc. młodzieży, która będzie rozumiała, o co chodzi, to my ostatecznie tę wojnę wygramy. Oni mogą wygrywać mniejsze bitwy, ale całe starcie przegrają. Stawką jest istnienie narodu jako takiego, jako wspólnoty

*Jacek Karnowski rozmawia z **prof. Mieczysławem Rybą**, historykiem i politologiem, nauczycielem akademickim z Katolickiego Uniwersytetu Lubelskiego Jana Pawła II*

Jak wygląda krajobraz po paru tygodniach od głośnego ataku telewizji TVN na św. Jana Pawła II? Najpierw duży szok społeczny, u wielu niedowierzanie, że ktoś mógł tak postąpić, i wreszcie wspaniała odpowiedź milionów Polaków. Czy można już wyciągać jakieś szersze wnioski?

Mieczysław Ryba: Sprawa ma wiele wymiarów. Z jednej strony są zbliżające się wybory, toczy się walka polityczna, z drugiej – kwestie strategiczne, kulturowo-cywilizacyjne.

Obie te sprawy są dla liberalnej lewicy – przyjmijmy to określenie – równie ważne.

Tak. Jeśli spojrzymy na skutki wyborcze, to widać wyraźnie, że największym stratnym na całej awanturze o Jana Pawła II jest Platforma Obywatelska, czyli ta część obozu, która sytuuje się bliżej centrum, a nie na skrajnościach. Takie zderzenie pomaga Lewicy, która w tym momencie jest w stanie podnieść radykalnie antyklerykalne hasła.

A w skali długodystansowej?

Trzeba wrócić do tzw. strajku kobiet. Wówczas środowiska katolickie nie dały adekwatnej odpowiedzi na tamte marsze, dominował jednak marazm.

Może raczej szok i przerażenie tym, co się dzieje, co się wydarza?

Oczywiście, to przerażenie było widoczne także w odniesieniu do regulacji pandemicznych, które wówczas obowiązywały. Ale to też niedobrze, bo druga strona podeptała wszystkie zasady dotyczące unikania zgroma-

dzeń, trzymania dystansu, noszenia maseczek itp. W istocie pokazała, że sprawy ideowe są ważniejsze niż kuczowa troska o zdrowie. A jeśli mówimy o katolikach, o Kościele, o sprawach ostatecznych, to ta odpowiedź nie była już tak radykalna.

Katolicy powinni wówczas także wyjść na ulice?

Nie musiało się to wiązać z tak jawnym deptaniem obostrzeń, które zaprezentowała Lewica, ale coś można było zrobić. Tymczasem odpowiedź na czarne marsze była mizerna. Zabrakło jasnej diagnozy, że tym razem nie są to tylko jakieś niekorzystne procesy. Że to nie jest domniemany dialog ze światem liberalno-lewicowym, ale że jest to po prostu wielka wojna kulturowa. Wojna, której waga jest wręcz niewyobrażalna w dłuższym kontekście historycznym. Stawką jest istnienie narodu jako takiego, jako wspólnoty.

Strona lewicowa z ówczesnej bierności środowisk katolickich wyciągnęła błędne wnioski?

Tak uważam. Przy braku adekwatnej odpowiedzi uznała, że już przyszedł ten czas, gdy można wydać centralną bitwę, która wszystko rozstrzygnie. Że można obalić najważniejszy autorytet, a więc papieża Polaka. Bez jego obalenia – i oni to dobrze wiedzą – nie da się dokończyć rewolucji kulturowej w Polsce. Nie da się jej skutecznie przeprowadzić.

Przynajmniej nie tak szybko, jak na to liczą?

Tu nie chodzi o to, że bez obalenia św. Jana Pawła II ten proces nie będzie postępował. Chodzi o to – i oni to widzą w perspektywie historycznej – że jeśli przy zasadach, wartościach, przy wierze wytrwa w sposób twardy 20–30 proc. młodzieży, która będzie rozumiała, o co chodzi, to my ostatecznie tę wojnę wygramy. Oni mogą wygrywać mniejsze bitwy, ale całe starcie przegrają.

Zostanie narodowe DNA, zostanie źródło?

Właśnie tak. Tak samo jak było za czasów komunizmu. Znowu przyjdzie jakiś nowy Wyszyński i zrobi coś na wzór Wielkiej Nowenny, obudzi i pociągnie za sobą resztę społeczeństwa. Przecież to wszystko, co nam proponują, już bankrutuje w krajach zachodnich. Jest już oczywiste, że rewolucja seksualna prowadzi do nihilizmu, do niewyobrażalnych cierpień ludzkich, a zielona

Lewica uznała, że można obalić najważniejszy autorytet, a więc papieża Polaka. Bez jego obalenia – i oni to dobrze wiedzą – nie da się dokończyć rewolucji kulturowej w Polsce. Nie da się jej skutecznie przeprowadzić

rewolucja kończy się zderzeniem z kolejnymi absurdami. Jeśli więc będzie do czego wrócić, jeśli ocaleje silny kościół katolicki, to oni tę wojnę przegrają.

I dlatego tak się spieszą?

Wiedzą, że aby zniszczyć ten kościół, trzeba obalić pomnik Jana Pawła II, i to przede wszystkim w sferze jego nauczania. Bo święci – a szerzej ludzie w ogóle – żyją nie tylko tu i teraz. Nawet gdy umierają, to ich nauczanie nadal działa. Jan Paweł II dalej naucza, i to nie o kremówkach, do którego to banału też próbowano go sprowadzić. On naucza w sprawach najważniejszych: że Bóg jest, że człowiek został stworzony przez Pana Boga, po co żyje. Mamy też nauczanie społeczne, moralne, o ludzkiej płciowości, o porządku natury, a więc o podległości świata człowiekowi. Także o patriotyzmie jako ważnej cnotce społecznej, co z kolei unieważnia multikultura-

lizm. We wszystkich tych aspektach nauczanie Jana Pawła II jest sprzeczne z rewolucją.

Może nie muszą go obalać, wystarczy, że wyciszą, zepchną gdzieś do kąta, właśnie zbanalizują?

Ale on naucza nadal. Są szkoły i uczelnie jego imienia, księża przywołują jego słowa na kazaniach, wracają jego homilie w mediach. Nawet pomniki i nazwy ulic mają znaczenie. Jeśli poderwie się ten autorytet, to będzie można dokończyć rewolucję. Jednak nie tym razem. Te wielkie marsze były odpowiedzią adekwatną. Wybrano zły moment.

Dlaczego się pomylili? Może żyją w pewnych bańkach i nie widzą pozostałej części społeczeństwa? Nie znają Polski?

Zwiodł ich, jak mówiłem, tzw. strajk kobiet. To też był atak na wiarę, a przynajmniej na zasady z niej wynikające. Mówiąc językiem Jana Pawła II, to była manifestacja cywilizacji śmierci. Takich manifestacji, otwarcie wzywających do zabijania, jeszcze w Polsce nie było.

Tam były akty wręcz szatańskiej celebracji tego strasznego procederu.

Tak było, i to ich zwiodło. Pobieżna diagnoza sugerowała im, że przynajmniej młodzież mają całkowicie po swojej stronie, a reszta to bierni katolicy, naiwnie sądzący, że lewica chce dialogu, nierozumiejący jej celów, nabierający się na różne sztuczki. W czasie czarnych marszów przekonywano, że chodzi o obronę kobiet. Teraz, w czasie uderzenia w papieża Polaka, też nie mówiono otwarcie, że walczymy z Janem Pawłem II. Przekonywano, że chodzi o walkę z pedofilią, z patologią. W sumie bierność katolików zdiagnozowano jako potężną słabość.

Niestuszenie?

W pewnej mierze ta diagnoza była słuszna. Największym zagrożeniem dla Kościoła nie są jego otwarci wrogowie. Największym zagrożeniem są jego własna bierność i naiwność. Branie za dobrą monetę propagandy

przeciwnika. Nierozumienie, że tu nie chodzi o żadną pedofilię, o jakieś oczyszczenie, ale o wojnę kulturową, gdzie wszystko jest w istocie zerojedynkowe: albo my, albo oni. Albo nastanie nowa religia rewolucji kulturowej, albo my obronimy nasze wartości. To zresztą mówią ideolodzy tej rewolucji, poczynając od Antonio Gramsciego. Oni przyznają, że socjalizm jest w istocie religią. Materialistyczną, à rebours, ale jednak. W jednej przestrzeni nie mogą funkcjonować i chrześcijaństwo, i rewolucja. I ta bierność, również pasterzy, czasem wybierających święty spokój zamiast aktywności. A przecież ta walka rozgrywa się wszędzie.

Ceną za porażkę bywa śmierć, bardzo dosłownie. Co prawda ta rewolucja jak każda inna ukrywa swoje ofiary, ale dziś można je już dostrzec nawet gołym okiem wokół siebie.

Oczywiście. Wystarczy spojrzeć na cierpienia, których doznaje wiele rodzin w momencie, gdy dociera do nich moda na zmianę płci. To widać już w naszym otoczeniu.

To jest krzyżowanie rodziców za życia.

Tak, to są wielkie cierpienia. Nawet trudno to sobie wyobrazić. I w takich chwilach wielu pasterzy wybiera milczenie. A przecież jeśli rozumiemy, jakie są cele drugiej strony, to działamy odwrotnie: przystępujemy do strategicznego starcia. W szkole, w domu, w mediach. Wszędzie. Bo rozumiemy, że walka kulturowa jest wojną o duszę. W tym sensie atak na Jana Pawła II, którego wielu z nas jeszcze dobrze pamięta, obudził wielu Polaków. Daj Boże, że skutecznie obudził też duszpasterzy.

Uczestnicząc w marszu w obronie św. Jana Pawła II w Warszawie, zastanawiałem się: czy to tylko akt protestu, czy też może rodzi się jakaś nowa wspólnota, jakaś nowa postawa solidarności? Tak jak w 1979 r. papieska pielgrzymka pozwoliła Po-

lakom policzyć się, tak i teraz postać papieża Polaka sprawiła, że zobaczyliśmy, iż jest nas wielu. A więc pytanie brzmi: czy był to tylko odruch, czy też coś więcej?

Na to pytanie dziś nie odpowiemy. Ale coś ważnego się zdarzyło, i to na poziomie dużych grup społecznych. W Lublinie takiej demonstracji, jak ta w obronie Jana Pawła II, to nie pa-

Jeśli rozumiemy, jakie są cele drugiej strony, to działamy odwrotnie: przystępujemy do strategicznego starcia. W szkole, w domu, w mediach. Wszędzie. Bo rozumiemy, że walka kulturowa jest wojną o duszę

miętam. Ale jest też pytanie o liderów, o racjonalne ogarnięcie tego zjawiska, nakreślenie pewnego planu. Kluczowe jest bowiem zrozumienie tego, o co toczy się batalia. Mam nadzieję, że nafta doszła wreszcie do knota, czyli że katolicy zrozumie, że celem nie jest dialog, ale wyeliminowanie Kościoła.

To może być moment zwrotny?

Jeśli taka refleksja nastanie, jeśli pojawi się w kręgach przywódczych Kościoła polskiego, a także wśród świeckich, głębokie zrozumienie, że toczą się zmagania, których stawkę można porównać jedynie do tego, co działo się w latach 50. ub.w., to mimo że rewolucja ogarnęła cały Zachód, że padła Irlandia, Hiszpania, nie mówiąc już o Francji, to jest nadzieja. Bo zasadniczo katolicyzm polski jest skazany na zwycięstwo. Zasadniczo tak jest. Będą ofiary, cierpienia, ale ten nihilizm nie jest w stanie wygrać. System, który próbuje nam się narzucić, tak

jak każdy totalitaryzm ma niedługi okres ważności.

Komunizm trwał jednak, przynajmniej w Rosji, 70 lat, a później zmutował się i dalej niszczył świat.

Ideologie totalitarne – co podkreślał Jan Paweł II – po pewnym czasie umierają, wypalają się i na końcu trwają już tylko w oparciu o przemoc.

To może być lat kilkanaście albo kilkadziesiąt, ale w końcu to następuje. Bo te ideologie zawierają w sobie gigantyczną dawkę fałszu na temat człowieka. Mówiąc wprost: tak się żyć po prostu nie da. Często mówię młodzieży: jeśli dobrze wybieriecie, za kilkanaście lat będą was pytali, jak to zrobiliście, że życie tak szczęśliwie.

To prawda, druga strona nie ma niczego istotnego do zaproponowania, jej odpowiedź na pytanie: „Jak żyć?”, jest receptą na nieszczęście.

Tak. Ale wracając do marszy papieskich. To jest odpowiedź narodu.

Naród gdzieś podskórnie widzi, co się dzieje, i reaguje. Ale do tego trzeba dodać nowego prymasa Wyszyńskiego albo w jednej osobie, albo w wielu osobach, który przeprowadzi nas przez czarną noc neokomunizmu. I nie możemy tłumaczyć się warunkami. Zobaczmy, z czym mierzył się Prymas Tysiąclecia: stalinizm, więzienie, prześladowania, dookoła nas zaizolowane społeczeństwa sowieckie, a na Zachodzie od lat 60. – rewolucja kulturowa. A on w tym czasie robi kontrrewolucję katolicką. I wygrywa! I trzeba iść tą drogą.

Ale jak to zrobić?

Prymas Wyszyński za pomocą wielkich narodowych rekolekcji wyrwał Polaków z materialistycznych szponów ideologii marksistowskiej. Jan Paweł II w perspektywie polskiej kontynuował te rekolekcje i wprowadził nas w czasę nowej rewolucji. I dlatego przetrwaliśmy, mimo że cały Zachód padł. Obrona Jana Pawła II to jest więc obrona jego nauczania. Ale teraz muszą się pojawić ludzie, którzy będą w stanie poprowadzić ten

naród, który wyszedł na ulice, przez tę czarną noc. To wszystko musi się „wydziać”, to nie skończy się dziś lub jutro. Ale jeśli uda się utrzymać podstawę, jeśli ocalimy 20–30 proc. społeczeństwa, to będziemy skazani na zwycięstwo.

Czyli w odpowiedzi na pytanie: „Co robić?”, odpowiada pan: trwać, bo stawka tego trwania jest ogromna?

Trwanie to jedno, ale do tego trzeba dołożyć uzbrajanie się intelektualne oraz ćwiczenie siły woli. Rozum i wola. Musimy wiedzieć, co to znaczy społeczeństwo katolickie. Co to znaczy polskość. Ważne są wspólnoty, wzmacnianie się nawzajem. Kiedy da się wygrać batalię o to, czy w danej klasie będą tęczowe piątki, czy też nie, jeśli sprzeciwia się zaledwie kilkoro rodziców? Wtedy, gdy ci rodzice są bardzo świadomi, gdy działają razem. Wówczas nawet dwie czy też trzy osoby są w stanie zatrzymać rewolucję. A przeciwnik dobrze diagnozuje sytuację. Dlaczego tak mocno zaatakowano prof. Wojciecha Roszkowskiego, człowieka, którego wszyscy uznawali za autorytet?

No właśnie, dlaczego?

Bo uznano, że w swoim podręczniku odsłonił mechanizmy lewicowej manipulacji. A gdy manipulacja jest widoczna, to przestaje być skuteczna. Wydano więc rozkaz, by go zabić, oczywiście cywilnie. I nikt nie miał litości. Taki sam rozkaz wydano wobec Jana Pawła II. Na marginesie: ten podręcznik jednak jest, można do niego wracać.

Nie ma innej drogi niż walka?

Zachodnie Kościoły próbowały. Cofały się, rezygnowały z nauczania, ulegały złudzeniom. Dziś już wiemy, dokąd to prowadzi: do klęski. Musimy uczyć się na błędach innych, jeżeli nie chcemy skończyć tak samo. Dla nas wzorem muszą być kard. Wyszyński i papież Jan Paweł II. Nawet jeśli będziemy mniejszością, ale silną, relatywnie dużą, to nie przegramy, lecz wygramy.

Gdy naród wyszedł na ulice, druga strona wstrzymała swoją kampanię, przynajmniej w najważniejszych mediach. Czy to tylko pauza, czy coś więcej?

Teraz będzie etap stopniowego sączenia tego jadu na tysiące sposobów. Robiono to przecież i wcześniej, przed głównym uderzeniem. Będzie silne promowanie tezy „Kościół to pedofilia”. Nawet niektórzy kapłani temu ulegają, eksponując ten problem. Tymczasem w doświadczeniu ludzi

Do Prymasa Tysiąclecia
musimy dziś wracać: on
rozumiał, z czym się mierzy.
My też musimy to rozumieć.
To jest podstawowa sprawa

bliskich Kościołowi to wygląda inaczej. Znało się księży lepszych, gorszych, z wadami, a także bohaterów, ale z problemem pedofilii się nie zetknąłem. Pytałem o to wielu ludzi i odpowiadają tak samo. Jest to problem, z którym trzeba walczyć, ale jest on skrajnie przeakcentowany. Przy skali dobra, które świadczy duchowieństwo, jest to w sumie mało istotne. Księża są przy narodzinach, śmierci, chorobie, rozdzielają sakramenty, edukują, wychowują. To jest niewyobrażalne dobro, bez którego – jak mówił Feliks Koneczny – żylibyśmy jak zwierzęta.

Będzie więc codzienne wbijanie miliona gwoździ w milion desek. Jak przerwać to sączenie?

Nie możemy żyć w swoim sosie, w ciepłych pieleszach, zamknięci, bierni. Nie może być tak, że gdy przychodzi moment próby, wspólnoty katolickie zastanawiają się, czy bronić katedry, czy też nie. Albo zwycięstwo, albo los Irlandii.

Obronę św. Jana Pawła II podjęły też środowiska polityczne, w tym Prawo i Sprawiedliwość. W odpowiedzi usłyszeliśmy, że PiS zapisuje papieża w swoje szeregi. Czy to słuszny zarzut? Czy politycy powinni stać z boku?

To nie PiS rozpoczął tę wojnę, ale druga strona. Ale tak już jest, że wszystko, co dzieje się w przestrzeni duchowej, ma też swój wymiar polityczny. Czy tzw. strajki kobiet, zdjęcia Donalda Tuska z panią Lempart nie miały kontekstu politycznego?

Miały. Wszystko się przenika, nie da się polityki całkowicie oddzielić od procesów społecznych. Jaki będzie model szkoły? Czy będzie promocja ideologii transseksualizmu w szkołach? Czy będą tzw. małżeństwa homoseksualne? To są sprawy także polityczne. Dziś PO zrozumiało, że na uderzeniu w Jana Pawła II może potężnie stracić. Dlatego chce blokować PiS zarzutem upartyjniania papieża. Ale to zarzut nieprawdziwy. Była uchwała sejmowa, ale marsze były już działaniem oddolnym.

Czasy są decydujące, w jakiejś mierze ostateczne. W polskim Kościele nie brakuje dzielnych, mądrych księży, odważnych biskupów, bardzo ostro atakowanych, ale brakuje jednak czytelnego przywództwa. Podniesienie roli biskupów diecezjalnych i osłabienie znaczenia prymasa oraz przewodniczącego Konferencji Episkopatu Polski sprawa, że każda diecezja sama mierzy się z cywilizacyjną nawałą. Co z tym można zrobić?

Refleksja w tej sferze jest potrzebna. Ale warto też podkreślić, że byli i są ważne punkty odniesienia. Dla katolików tradycyjnych takim miejscem jest z pewnością Radio Maryja, które tworzy wspólnotę w duchu prymasa Wyszyńskiego, uczy ostrożności wobec tego, co przychodzi do nas z Zachodu. Do Prymasa Tysiąclecia musimy dziś wracać: on rozumiał, z czym się mierzy. My też musimy to rozumieć. To jest podstawowa sprawa.

Do wyborów pozostało sześć miesięcy, ale rozstrzygnięcia są już właściwie znane. Opozycja wyborów nie wygra. Co najwyżej PiS może je przegrać, zadając sobie rany czy też zabijając się własną pięścią. Nie istnieje nic, co PO i wciągane siłą na jej listę ugrupowania byłyby w stanie wiarygodnie obiecać, a tym bardziej zrobić. Z badań sondażowych Pollster wynika, że 73 proc. wyborców nie wierzy, iż Donald Tusk po wyborach dotrzymałby danego słowa. A z tych przeprowadzonych przez Social Changes dla portalu wPolityce.pl – że 55 proc. Polaków uważa, iż Donald Tusk „z zasady mija się z prawdą”. Tym bardziej też nic nie załatwi przed wyborami. Szef Platformy np. wielokrotnie opowiadał, jak to powodowany troską o ojczyznę jeździł do Brukseli i po znajomości – jako człek w Europie bywały i ustosunkowany – załatwiał KPO, a kochanych pieniędzy nadal nie ma. Trzeba przyznać, że jest więc jednak coś, co łączy opozycję i rządzących.

Jakiś jednak jakimś cudem unijne fundusze szantazu znajdują przed wyborami, to i tak nikt nie uwierzy, że to dzięki domniemanemu liderowi opozycji. Można sobie wyobrazić, że Ursula von der Leyen będzie na tyle arogancka, że chcąc pomóc opozycji, obwieści, iż Tusk przekonał, by jednak przesłać pieniążki Polsce cierpiącej pod jarzmem PiS. Nic to nie da, a jedynie jeszcze bardziej obnaży zepsute oblicze Brukseli. Z badań elektoratów przeprowadzonych przez Sławomira Sierakowskiego i prof. Przemysława Sadurę wynika, że spośród tych, którzy w 2019 r. głosowali na Zjednoczoną Prawicę, a teraz odwrócili się od niej, zaledwie 2 proc. zrobiło to z powodu sporu z Unią o KPO.

Opozycja zmarnowała siedem lat i nie ma powodu wierzyć, iż coś sensownego zrobi w sześć miesięcy. Sierakowski i Sadura wskazują, że nie ma ona potencjału pozyskania elektoratu ZP, ale jedynie zmobilizowania tych, którzy deklarują niechęć do uczestnictwa w wyborach. Tusk wierzy, że wygrywa się je emocjami, więc jego działanie sprowadza się do nieustannego huśtania nimi. A że nie potrafi zaoferować nic pozytywnego, to może tylko stymulować uczucia negatywne. Sierakowski i Sadura opisują elektorat PO jako pogrążony w złości, gniewie, frustracji. Jest więc jeden pomysł – trzeba pobudzić gniewnych tak, żeby nawet z łóżka szpitalnego doczłgali się na wybory. Trzeba więc dopieć do żywego i stąd pomysł wykorzystania tragedii posłanki PO i ataku na Jana Pawła II. W poprzednim numerze „Sieci” sprawę samobójczej śmierci chłopca opisał tak

Opozycja nie zna Polaków

Atak na papieża, zamiast zniechęcić wyborców prawicy, zmobilizował ich. I udowodnił, że totalna opozycja nie nadaje się do rządzenia



DARIUSZ MATUSZAK

delikatnie, jak się tylko da, Marek Pyza, więc nie będę do niej wracał.

JAK PIŁAT I PLUTON

Wykorzystanie esbeckich insynuacji pod adresem św. Jana Pawła II i abp. Adama Sapiehy miało na celu nie tylko mobilizowanie własnych wyborców, lecz także zniechęcanie prawicowych. Te urojone uzyski PO ilustruje postać Stefana Niesiołowskiego, który po skandalu z prostytutkami zniknął, a teraz wychynał z nory zapomnienia. Byłemu posłowi wielu partii, w tym Zjednoczenia Chrześcijańsko-Narodowego, podetknięto mikrofony, udostępniono łamy „Gazety Wyborczej”, a ten zaczął opowiadać o usuwaniu symboli św. Jana Pawła II z przestrzeni publicznej. W gruncie rzeczy chodzi o wymazywanie go z naszej świadomości. Podobnie odezwały się pobudzone posłanki o nienormatywnej orientacji intelektualnej, czyli Scheuring-Wielgus – która lansowała oszusta podającego się za ofiarę księdza pedofila – i sojuszniczka Tuska z KO Jachira. Kluby KO – Platformy z przystawkami – i niedoszłego duchownego Hołowni, czyli Polska 2050, w sprawie uchwały o obronie imienia św. Jana Pawła II zachowały się jak Piłat – umyły ręce, czyli nie głosowały.

Jedna tylko na 134 posłów KO znalazła się sprawiedliwa – Joanna Fabisiak, która poparła uchwałę.

Wynik głosowania pokazuje, że atak na papieża był skoordynowaną akcją, że rozkazy płynęły, dyscypliny pilnowano. Budka pogroził Joannie Fabisiak, dając do zrozumienia, że może nie znajdzie się dla niej miejsce na listach wyborczych. A więc w tak delikatnej sprawie dotyczącej wrażliwości, wiary, a także poglądów na historię, walkę z komunizmem, nawet najpiękniejszych wspomnień osobistych, posłowie PO i Hołowni zachowali się jak jeden pluton. To amok, aberracja emocjonalna i intelektualna, rodzaj zimnego, beznamiętnego fanatyzmu. I lichi strach przed tym, jak szefostwo zareaguje. Wszystko zanurzone w czarnych emocjach.

Trzeba przyznać, że PO osiągnęła skutek – emocje rozbujały, ale nie tak, jak opozycyjni stratedzy sobie umyślili. Akcja wywołała reakcję, czego efektem była mobilizacja tych, dla których papież był nie tylko wielkim kapłanem i duchowym przewodnikiem, lecz także autorytetem intelektualnym, wspinał się postacią polskiej historii. W marszach papieskich w całej Polsce odliczyli się także ci, którzy mają dość zohydzenia wszystkiego, co nas łączy, niszczenia tego, co nas konstytuuje,



stanowi o tożsamości. Wielu zdało sobie sprawę, że nie chodzi tylko o kwestie związane z wyborami i poparcie dla tej czy innej partii, o obronę wielkiej postaci, ale naszej cywilizacji rozumianej jako polskość, naszej kultury. Zrozumiano, że jest nam szkodliwy świat bez naszych wartości, bez tego, co nam drogie. Dała też znać o sobie zwykła przyzwoitość. Lud stanął w obronie tego, który nie może się już bronić. Tę mobilizację zobaczyliśmy też w kościołach. Z całej Polski płynęły doniesienia o znów pełnych świątyniach.

Intuicje i obserwacje potwierdzają badania opinii publicznej. Z przeprowadzonych przez Instytut Badań Pollster dla „Super Expressu” wynika, że 67 proc. Polaków poparło sejmową uchwałę o obronie dobrego imienia papieża. To znacznie więcej niż wynosi suma poparcia dla ugrupowań, które w Sejmie były za. 70 proc. ankietyowanych powiedziało, że św. Jan Paweł II jest dla nich autorytetem. To pokazuje potencjał ugrupowań prawicowych czy tych, które utożsamiają się z chrześcijańskimi wartościami. Tu przed największym problemem znów staje PSL, który musi sobie odpowiedzieć na pytanie, czy ważniejsza jest własna tożsamość, wartości chrześcijańskie, czy wyborczy sojusz z ugrupowaniem Hoiowni, które nawet boi się bronić papieża.

Komentując wyniki badań Pollstera, prof. Jerzy Flis powiedział, że ci, którzy wzywają do obalenia pomników św. Jana Pawła, wypychają się na margines. Właśnie tam opozycja się znajduje i jest w panice. Od miesięcy tylko miesza we własnym kotle, a od tego głosów jej nie przybywa. Wzrost, czy spadek poparcia dla poszczególnych ugrupowań wynika jedynie z przesunięć wewnątrz samej opozycji, a nie pozyskiwania wyborców Zjednoczonej Prawicy czy tych, którzy się wahają. Poparcie dla niej spada, dla ZP się umacnia. Nie chodzi nawet o to, że spektakularnie rośnie, ale że się ubija, utwardza. Ciężko skruszyć czy zniechęcić taki elektorat.

ZDZIWIENIE OPOZYCJI

Atak na papieża pokazuje jeszcze jedną charakterystyczną rzecz, o której się nie mówi, a która nie pojawia się w analizach. Otóż opozycja totalna nie nadaje się do rządzenia. Ona nie zna własnego kraju, nie ma błędnego pojęcia, kim są Polacy, jakie wartości wyznają, co jest dla nich ważne, z czym się utożsamiają. PO i reszta nie wie, komu miałyby służyć, komu przewodzić. Dla niej Polacy to albo jacyś plastikowi, puści jak dzbanki Europejczycy, neofici postępu i Zachodu, albo jakaś tam elektoralna masa, którą się manipuluje. Opozycja nie spodziewała się takiej reakcji Polaków, takiej mobilizacji w obronie papieża, a w konsekwencji przeciwko sobie. Bo ich nie zna, nie rozumie.

A jeśli przewidywała opór i mimo to weszła w awanturę o papieża, to znaczy, że też do rządzenia się nie nadaje. Osobiście nie wierzę w to, by opozycja totalna była całkowicie pozbawiona tożsamości, charakteru, kręgosłupa. Tam się nic nie robi bez oglądania się na uzysk sondażowy. To już lewica jest prawdziwsza i nikogo nie dziwi jej głosowanie w sprawie papieskiej uchwały. Szczere.

ZABIERZ BABCIĘ NA MECZ

Są znaki, które czasami więcej mówią więcej niż analizy i sondaże. Za takie uznaję transparenty kibiców w obronie papieża, które się pojawiły na meczach. One są odpowiedzią środowiska, które zawsze staje w obronie polskości, naszej historii, tradycji, ale nie słynie z udziału w wyborach. Jeśli jednak zostanie przekonane, to kibice wraz z rodzinami mogą się okazać tą siłą, która zdecyduje o wyniku. Jedni chcieliby zabrać babci dowód, inni mogą ją zabrać na mecz i na wybory.

Powrót z piekła

Bloger naukowy Łukasz Sakowski opublikował relację o tym, jak jako 13-latek został nakłoniony do zmiany płci, a po latach postanowił naprawić ten błąd. Ta historia powinna być przestrogą dla młodych ludzi, którzy beztrząsco decydują się na tranżycję



GORAN ANDRIJANIĆ

Gdy byłem bardzo młody, zostałem zmanipulowany i nakłoniony do zmiany płci przez blisko 40-letniego transseksualistę – to słowa, którymi bloger Łukasz Sakowski rozpoczyna swoją spowiedź o błędnie popełnionym przez niego, gdy był zdeorientowanym nastolatkiem pod wpływem innej osoby. Spowiedź ta jest i o tym, jak naprawił ten błąd i wrócił do swojej męskiej płci.

Sakowski, z wykształcenia biolog, prowadzi popularnego bloga „To tylko teoria” (ma 200 tys. obserwujących na Facebooku) i porusza w nim tematy naukowe, o których pisze w przystępny dla każdego sposób.

Pisał też o zmianie płci, krytykując narzucanie jej młodym ludziom i podkreślając, że powinna być zabroniona dla nieletnich. Niewiele osób wiedziało, że jego poglądy na temat szkodliwości tranżycji wynikały z jego własnych negatywnych doświadczeń. Dzisiaj bloger zrobił – jak sam mówi – swego rodzaju coming out.

„W wieku 22 lat wróciłem do swojej prawdziwej, męskiej płci, z którą się urodziłem. I również dlatego interesuje mnie temat tranżycji płci u dzieci, bo sam padłem tego ofiarą jako młody gej” – wyjaśnił Sakowski we wstępie do tekstu, który opublikował na swoim blogu. Artykuł pod tytułem „Moja historia cofnięcia zmiany płci. Tranżycja i detranżycja” wywołał gorące dyskusje.



Sakowski opisuje w nim, jak walczył jako nastolatek z brakiem samoakceptacji, co było również spowodowane odczuwaniem przez niego pociągami do osób tej samej płci. Przepelniony poczuciem niepewności i zagubienia, zainteresował się tematem zmiany płci. „Szukając w internecie, natrafiłem na forum dla osób trans. Podłapałem kontakt z jednym z jego użytkowników – około 40-letnią wówczas osobą transseksualną typu m/k (dokonującą zmiany z męczyzny na kobietę). Nazwę ją na potrzeby tego tekstu Ewą. Z moimi problemami dotyczącymi

tożsamości, orientacji, emocji, szkoły i innymi zwracałem się właśnie do Ewy... Już w pierwszym etapie naszej internetowej znajomości nakłoniła mnie, abym używał żeńskich form zamiast męskich. Z czasem doszły do tego próby przekonania mnie, że powinienem ubierać dziewczęce rzeczy, stosować makijaż i malować paznokcie”.

Wkrótce Ewa namówiła go do stosowania blokera męskiego hormonu – testosteronu. „Ewa zaoferowała, że będzie wysyłać mi lek o nazwie Androcure. Jest to wydawany na receptę octan cypoteronu o działaniu antyandrogennym (hamuje

testosteron)... Po niecałym roku, od-
kład rozpocząłem zażywanie blokerów
dojrzwienia – gdy miałem jakieś 15 lat
– Ewa zaczęła przysyłać mi również lek
estrogenowy, dostępny tylko na receptę
i w tym przypadku wszystko w tajemnicy
przed moją rodziną. Można powiedzieć,
że wystartowałem wówczas już z pełną
hormonalną terapią zmiany płci: nie
tylko blokowałem swój testosteron, ale
też przyjmowałem pochodną estradiolu
w tabletkach” – relacjonuje Sakowski.

Te terapie pozostawiają liczne konse-
kwencje dla jego zdrowia fizycznego
i psychicznego, ale on sam zda sobie z tego
sprawę dopiero później. Jako nastolatek
czuł jednak, że postępuje słusznie.

„Jakby wtedy ktoś mnie zapytał, czy
jestem szczęśliwy, że zmieniam płeć, nie
tylko potwierdziłbym, ale wręcz bym
o tym zapewniał. Im trudniejsze było
dla mnie bycie (trans)kobietą, tym
bardziej to wypierałem i uzasad-
niałem sam przed sobą sensowność
dalszego brnięcia w ten obłęd. Ewa,
a także publikowane przez transsek-
sualnych aktywistów fałszywe infor-
macje w internecie, wraz z nadawa-
niem im pozorów rzetelnej wiedzy
przez zideologizowanych seksuo-
logów, psychologów i psychiatrów,
zakorzeniały we mnie myśl, że to, co
się dzieje, musi być właściwe”.

Nie pomogło też to, że zespół
medyczny w Poznaniu, diagnozując
15-letniego Sakowskiego, wydał opinię,
że nie jest on osobą transseksualną i nie
może być skierowany na operację zmiany
płci. Mimo to młody mężczyzna zaprze-
czył tej diagnozie, przeszedł całe liceum,
próbując funkcjonować jak dziewczyna.
Jednocześnie – jak opisał – stracił kon-
takt z rówieśnikami i zaczął odczuwać
lęk przed innymi. Wszystko nadrabiał
internetową przyjaźnią z Ewą i innymi
osobami o podobnej orientacji.

W internecie znalazł też informacje
o psycholog z Poznania, która ma „skłon-
ność do transseksualistów”. Ona i jej
bliscy współpracownicy przekazali mu
dokumenty medyczne, z którymi Sakow-
ski miał później ubiegać się o zmianę płci.
Przy tym żaden z ekspertów go nie zbadał.

Do tego czasu miał już problemy psy-
chiczne i fizyczne (depresja, uszkodzona
wątroba, osteoporoza) z powodu stoso-
wanych blokerów, ale żaden z lekarzy nie

zwracał na to uwagi. „Pamiętam, że jej po-
dejście było niezwykle lekkomyślne” – pi-
sze Sakowski o spotkaniu z seksuologką.
„Jej główna uwaga dotyczyła tego, że »wy-
glądam super«, a moje obawy o wątrobę
całkowicie zbyła stwierdzeniem, że »są
ważniejsze sprawy, którymi trzeba się za-
jąć«. Dla tych lekarzy i psychologów, dzia-
lających w nurcie afirmacji zamiast real-
nej pomocy, ważniejsze było zrobienie ze
mnie transseksualisty niż moje zdrowie
psychiczne i fizyczne, które w tamtym
okresie były w coraz gorszym stanie”.

W czasie studiów Sakowski miał po-
ważne wątpliwości co do drogi, którą
wybrał. Prawnie zmienił płeć, ale na-
dal odczuwał głębokie niezadowolenie:
„Kiedy rozpoczyne studia, wygląda-
łem już – przynajmniej jeśli nie zwracać
uwagi na szczegóły – jak młoda kobieta.
Nie miałem zarostu, moje rysy twarzy

**Zespół medyczny w Poznaniu,
diagnozując 15-letniego
Sakowskiego, wydał opinię,
że nie jest osobą transseksualną**

były w miarę możliwości delikatne, włosy
długie, sylwetka kobieca. Ze względu na
przyjmowanie blokerów i hormonów
urósł mi biust, ukształtowało się wcięcie
w talii, a miednica była szeroka. Pójście na
uniwersytet potraktowałem trochę jako
rozpoczęcie czegoś nowego, mając też już
żeńskie dane osobowe i żeński PESEL.
Jednak bardzo szybko okazało się, że stare
problemy nie zniknęły”.

Sakowski miał już zaplanowaną opera-
cję orchidektomii (usunięcia jąder). Od-
łożył to jednak, przy stanowczej krytyce
Ewy. Blogger pisze, że coś w nim głęboko
sprzeciwiało się dalszym przemianom.

„Do zabiegu ostatecznie nie doszło.
Uratowałem się dzięki własnemu rozsąd-
kowi, głębokiemu i coraz silniej uświad-
omionemu poczuciu, że cała idea zmiany
płci to absurdalny i patologiczny pomysł,
a także dzięki wiedzy biologicznej (studio-
wałem już wówczas biologię) i zdystanso-
waniu się od Ewy”.

W 2014 r., w 21. roku swojego życia,
Sakowski zdecydował się na powrót do
swojej męskiej płci. Powiedział rodzicom,
że transycja była dużym błędem i zerwał
kontakt z Ewą.

Musiał przejść operację usunięcia
piersi. „Moja klatka piersiowa do dzisiaj
jest przez to trochę zniekształcona, a bli-
zny po operacji bolesne. Przykład ten do-
brze obrazuje, jak groźna dla zdrowia jest
zmiana płci – bo chociaż nie przeszed-
łem żadnej poważnej operacji z zakresu
zmiany płci, to i tak, aby chociaż częściowo
cofnąć skutki brania blokerów dojrzwie-
nia i hormonów żeńskich, musiałem mieć
poważny zabieg chirurgiczny”.

Mężczyzna, który przeszedł transycję,
stał się wrogiem tej procedury. „Komu-
nikaty niektórych organizacji, takich
jak Światowa Organizacja Zdrowia, po-
zytywnie oceniają procedurę zmiany
płci. Opierają się w tym jednak na
błędnych badaniach, bez wnikania
w ich słabą metodologię, a w efekcie
nieadekwatne do rzeczywistości
wyniki. Aktywiści transseksualni
głoszą, że istnieje pozytywny kon-
sensus naukowy, że zmiana płci jest
korzystna dla zdrowia. Jest to jedy-
nie narracja na temat faktów, które
są przez zwolenników idei nieodwra-
calnej dysforii płciowej i transseksu-
alizmu podawane bardzo wybiórczo,
manipulując i w sposób niepełny”.

Sakowski zwraca uwagę, że polscy
transseksualiści atakują go jako zdrajcę
i wie, że przez swój tekst będzie miał prob-
lemy. Píše też, jak mimo to musiał go na-
pisać. „Napisałem ten tekst, ponieważ leży
mi na sercu dobro młodych ludzi, którzy
są dziś zagubieni co do swojej tożsamości,
nie lubią swojego ciała lub kwestionują
swoją orientację seksualną i są kierowani
przez transseksualnych działaczy oraz nie-
uczciwych psychologów czy psychiatrów
w stronę medycznych modyfikacji ciała”.

Jego wyznanie z pewnością odbije się
echem w Polsce. Przecież chodzi o dzien-
nikarza naukowego, homoseksualistę,
którego nie da się w żaden sposób powią-
zać z prawicą. A mimo to ostro krytykuje
zmianę płci i zwraca uwagę, że nawet na
Zachodzie coraz głośniejsz ostrzegają przed
szkodliwością tego zabiegu.

Czy głos Sakowskiego będzie słyszalny
w dyskusji na ten temat w Polsce? To się
okaże.



Fot. Andrzej Skwarczyński

Marzę o podróży do wolnej Ukrainy

O amerykańskich prezydentach zwykło się mówić, że Air Force One to latający Gabinet Owalny, ale polski Boeing 737 to też latający gabinet prezydenta. Głowa państwa często pracuje w przestworzach

Z Zakliną Skowrońską, dziennikarką i reporterką TVP Info, autorką książki „Kadencja w przestworzach. Kulisy prezydenckich podróży”, rozmawia Dorota Łosiewicz

Trzeba przyznać, że w ciekawych czasach przyszło ci podróżować wspólnie z prezydentem.

Zaklina Skowrońska: To był czas, gdy świat zatrzęsł się w posadach, historia przyspieszyła, a ja nagle stałam się tego bezpośrednim świadkiem. Od maja 2021 r. do grudnia 2022 r. relacjonowałam dla widzów telewizji 46 wizyt zagranicznych prezydenta. Miałam poczucie, że jako Polska piszemy swoją ważną historię. I stąd pomysł książki. Zainspirowała mnie też publikacja Marcina Wikły „Operacja Duda 2020. Kulisy kampanii”. Zażartuję, że on towarzyszył prezydentowi na łódzie, w „dudabusie”, ja towarzyszę w powietrzu.

Jak to się zaczęło?

Moja pierwsza podróż to maj 2021 r. i wizyta w Turcji i Gruzji. To była też pierwsza podróż Andrzeja Dudy po pandemii, na którą Kancelaria Prezydenta RP zabrała dziennikarzy z różnych redakcji. Po przezwyciężeniu w wizytach zmieniał się też dziennikarski skład towarzyszący oficjalnym

delegacjom i udało mi się w nim znaleźć. To było niesamowite przeżycie, przywilej wejścia w dosyć wąskie grono na pokład biało-czerwonego samolotu i możliwość zobaczenia i zrozumienia więcej.

Trzeba przyznać, że Gruzja z perspektywy prezydenta Dudy to wyjątkowe miejsce.

Tym bardziej że 13 lat po historycznych słowach Lecha Kaczyńskiego, które wszyscy pamiętamy, równie głośno był oklaskiwany prezydent Duda. Mówił wtedy: „Jak głosił mój wielki rodak, św. Jan Paweł II – wolność jest człowiekowi dana, a także zadana i dlatego musimy ją pielęgnować i chronić z pełną odpowiedzialnością. Myślę, że to samo zawsze dotyczy państw i narodów. Niestety, są państwa, które myślą i działają zupełnie inaczej – które swoją wolność definiują przez dominację i pozbawianie siłą wolności innych”. Andrzej Duda wypowiedział te słowa na pl. Wolności w Tbilisi, ledwie kilka metrów od miejsca, w którym Lech Kaczyński przepowiadał: „Dziś Gruzja, jutro Ukraina, a później może i czas na mój kraj”. Wyjątkowy i symboliczny był też moment, gdy prezydent pojawił się na linii rozgraniczenia Gruzji z regionem cchinwalskim, nazywanym przez Rosjan Osetią Południową. To tam została ostrzelana limuzyna z prezydentem Lechem Kaczyńskim. Andrzej Duda był ubrany w kamizelkę kuloodporną. Mówił, że tu najlepiej widać, jak wygląda rosyjski

imperializm i że każdy odpowiedzialny polityk powinien tu przyjechać i zobaczyć, jak wygląda on w praktyce. To był maj 2021 r. W lutym 2022 r. już cały świat przekonał się, jak wygląda rosyjski imperializm. A dla prezydenta Dudy była to wyjątkowa podróż śladami jego politycznego mentora, który próbował ostrzec świat przed tym, co się wydarzy.

Gruzja chyba niezwykle ceni pamięć Lecha Kaczyńskiego?

Podchodzili do nas Gruzini i mówili, że Lech Kaczyński jest ich bohaterem, bo powstrzymał rosyjską agresję. To był pierwszy moment, gdy pokazaliśmy, jak bardzo potrafimy być solidarni. Byliśmy na ul. Lecha Kaczyńskiego. Takiej ulicy nie doczekała się Warszawa, a w Gruzji miejsc poświęconych śp. prezydentowi jest znacznie więcej. Są murale, skwery, pomniki. Dziś z perspektywy Ukrainy i Ukraińców Andrzej Duda jest postacią o podobnie dużym znaczeniu, co dla Gruzynów Lech Kaczyński.

To ty relacjonowałaś pierwsze nieoficjalne spotkanie prezydentów Dudy i Bidena – to, które złośliwi komentowali jako „spotkanie korytarzowe”. Jak to było?

Już lecąc z prezydentem na szczyt NATO do Brukseli, mieliśmy informację, że do takiego nieoficjalnego spotkania może dojść. Pracowali nad tym polscy i amerykańscy dyplomaci. Trzeba pamiętać, że przy tego rodzaju szczytach dziennikarze mają często ten problem, że przebywają w centrum prasowym, gdzie pracują, a od delegacji są odcięci. Na kilka minut przed moim wejściem na żywo w centrum zapanało poruszenie. Na ogromnym telebimie pojawił się prezydent Joe Biden, który do „family photo” wszedł w towarzystwie prezydenta Andrzeja Dudy. Pierwsza myśl była taka, że przed chwilą doszło do ich spotkania. Miałam kilkadziesiąt sekund, żeby to potwierdzić. Udało się, podaliśmy tę informację na antenie, nim stała się oficjalna. W takich chwilach po-

Fot. Materiały prasowe



ziom adrenaliny sięga zenitu. Opozycja żartowała z „korytarzowego spotkania” do chwili, aż Biały Dom podał komunikat, że to strona amerykańska zabiegała o spotkanie i jaki był jego przebieg.

Jaki był najważniejszy news, który przekazałaś?

Dla mnie najważniejsza była historia z ewakuacją rodziny ambasadora Afganistanu w Polsce z przejmowanego przez talibów Kabulu. Dostałam od informatorów wiadomość, że trzeba ich natychmiast ewakuować, ponieważ może grozić im niebezpieczeństwo ze strony nowych władz. Na polecenie prezydenta zajęło się tym Biuro Bezpieczeństwa Narodowego, które współpracując z innymi instytucjami, koordynowało operację. Kilka dni czekaliśmy na informację, czy udało się dotrzeć do rodziny, przerzucić ich na drugą stronę muru oddzielającego kontrolowane przez międzynarodowe wojska, w tym polskie, lotnisko od terenu zajętego przez talibów. Embargo na informację było do momentu, gdy rodzina

będzie bezpieczna na terytorium Polski. W końcu w sierpniowy wieczór pojechaliśmy na wojskowe lotnisko, przyleciała CASA z rodziną ambasadora, odetchnęliśmy z ulgą, przygotowaliśmy relację. I wtedy okazało się, że w Afganistanie została jeszcze jedna siostra ambasadora. Całą noc czekaliśmy, czy ją także uda się wydostać. I tym samym będziemy mogli powiedzieć na antenie

o całej misji. To była lekcja dziennikarskiej odpowiedzialności i cierpliwości.

Jak reporter przygotowuje się do kolejnych podróży?

Do momentu, w którym stajemy przed kamerą i opowiadamy widzom o zagranicznej wizycie, wiedzie długa droga. Do każdej wizyty trzeba się przygotować przede wszystkim merytorycznie. Czytam o danym państwie, o jego sytuacji politycznej, kontekście wizyty. Zwykle przed wylotem współpracownicy prezydenta odpowiedzialni za bezpieczeństwo i politykę zagraniczną spotykają się z dziennikarzami. Opowiadają, czego będzie dotyczyła wizyta, co jest szczególnie ważne dla prezydenta, zapoznają nas z przesłaniem i misją podróży. Obok przygotowań merytorycznych konieczne jest przygotowanie organizacyjne. M.in. szczepienia, testy na COVID-19, często są jeszcze dodatkowe wymogi. Wizyta w Nigerii, Wybrzeżu Kości Słoniowej i Senegalu wymagała kilku miesięcy przygotowań. Konieczne były dodatkowe szczepienia, np. na żółtą febrę. Czasem są potrzebne wizy. O takie rzeczy dba Biuro Obsługi Organizacyjnej Prezydenta. Do tego dochodzi czasem długotrwały proces akredytacyjny, jak np. przy okazji szczytu NATO. Tygodnie dyplomatycznej ofensywy prezydenta w sprawie Ukrainy były z kolei tak intensywne, że nieraz nie zdążyłam rozpakować walizki, a już był kolejny lot. Jest to więc życie na walizkach, do którego trzeba przywyknąć. Ale świadomość, że jest się w miejscach, do których mają dostęp nieliczni, wynagradza trudy.

A czy prezydent przygotowuje się do wizyt w samolocie?



O amerykańskich prezydentach zwykło się mówić, że Air Force One to latający Gabinet Ovalny, ale polski Boeing 737 to też latający gabinet prezydenta. Głowa państwa często pracuje w przestworzach. To czas na ostatnie szlify nad przemówieniem. Z współpracownikami prezydent omawia szczegóły wizyty, rozmawia z tłumaczami, osobami odpowiedzialnymi za merytorykę. Andrzej Duda często na pokład samolotu zaprasza gości, np. podczas lotu do Rzymu – olimpijczyków. Wówczas rozmawia z nimi. W przestworzach są także prowadzone ważne rozmowy telefoniczne. Podczas lotu do Afryki prezydent łączył się z prezydentem USA. Gdy wracał z Pekinu, rozmawiał z szefową Komisji Europejskiej w sprawie KPO i tzw. kamieni miliowych. To jest więc czas intensywniej pracy i wtedy, paradoksalnie, prezydent jest najmniej dostępny dla dziennikarzy. Chociaż zdarzają się momenty, że do nas przychodzi i na pokładzie odbywają się briefingi. To ma swój urok, bo takie rozmowy mają wtedy więcej luzu niż w oficjalnych okolicznościach.

Co się dzieje, zanim samolot wystartuje?

Zanim pasażer numer jeden wsiedzie na pokład samolotu, odbywa się procedura związana z bezpieczeństwem. Na lotnisku jesteśmy odpowiednio wcześniej. Gdy po sprawdzeniu wszyscy zajmą już miejsca na pokładzie, podejżdża prezydent w kolumnie i odbywa się krótka ceremonia pożegnania. Podczas wylotu z kraju – przez jednego z ministrów Kancelarii Prezydenta RP. A w drodze powrotnej – przez miejscowych oficjeli i protokol. Czasem prezydent macha w stronę kamer, co jest takim zwyczajowym gestem dla towarzyszących mu mediów. Po ponad 60 wizytach mogę powiedzieć, że każdemu wylotowi i oczekiwaniu w wojskowym porcie lotniczym towarzyszą emocje, bo to już za chwilę.

Czy zdarzyło ci się podczas tzw. live'a, że nie wiedziałś, co mówić, bo było to już kolejne wejście z kolei i zabrakło pomysłów?

Jeszcze nie. Jest na pewno wielkim plusem zajmowania się konkretną dzie-

dziną, czyli w tym przypadku obsługą podróży pana prezydenta. Po prostu wie się wiele. I przy okazji kolejnych wejść na żywo szybko można przywołać wcześniejsze podróże, konteksty, wypowiedzi. Nie trzeba się do tego przygotowywać, bo po prostu się w tym uczestniczyło. Najdłuższy live w moim życiu miał miejsce podczas oczekiwania na płycie lotniska w Rzeszowie na Air Force One z prezydentem Bidenem na pokładzie. Miałam opowiadać do momentu, aż samolot wylądował. A relacja rozpoczęła się, gdy samolot był widoczny na niebie. Wydawało się, że nie potrwa to długo. Tymczasem live trwał 22 minuty. Zdąży-

Na kilka minut przed moim wejściem na żywo w centrum zapanowało poruszenie. Na ogromnym telebimie pojawił się prezydent Joe Biden, który do „family photo” wszedł w towarzystwie prezydenta Andrzeja Dudy. Pierwsza myśl była taka, że przed chwilą doszło do ich spotkania

łam opowiedzieć o wszystkich wizytach prezydenta Bidena, o wszystkich kontaktach na linii Warszawa–Waszyngton w ostatnim czasie. Cytowałam orędzie prezydenta, wystąpienia prezydenta Zełenskiego. W takich momentach sięga się po swój zasób, po wiedzę, doświadczenie.

Jaki jest niezbędny reporter?

Z prozaicznych rzeczy to słuchawki, naładowany powerbank, ładowarki do telefonów i komputera, matujące kosmetyki, lakiery do włosów. Koniecznie butelka wody. Duża torebka, która to wszystko pomieści. Choć jej zawartość sprawia niekiedy problemy, gdy przy funkcjonariuszach SOP trzeba próbować napojów czy używać perfum, by przejść kontrolę.

Balaś się kiedyś podczas pracy?

W styczniu podczas podróży do Lwowa. To była wizyta, podczas której prezydenci ogłosili powstanie czołgowej koalicji dla Ukrainy. Gdy jechaliśmy w obstawie wojska, w kamizelkach kuloodpornych, hełmach, miałam ciarki. Ale podczas tej wizyty przeżyłam też jedno z większych wzruszeń. Prezydent spotkał się w centrum Lwowa z Polonią, a następnie nieoczekiwanie odstąpił od planu i wyszedł do zgromadzonych spontanicznie na ulicach tysiący ukraińskich obywateli. Prezydenta spotkały wielkie owacje oraz okrzyki: „Andrzej Duda!”, „Dziękujemy, Polsko!”. Później na konferencji prasowej prezydent tłumaczył, że były to podziękowania dla wszystkich Polaków złożone na jego ręce.

Pierwsza dama wspiera prezydenta?

Oczywiście, że wspiera, chociaż nie w klasyczny, polityczny sposób. Agata Kornhauser-Duda ma najczęściej swój własny program podczas podróży. Prezydentowa poświęca się przede wszystkim działalności charytatywnej. Pierwsza dama nie działa w świetle kamer. Wiele osób ma do niej o to pretensję. Jednak ona w tym, co robi, jest skuteczna. Wkłada ogromną pracę w pomoc humanitarną, ale nie chce, by o tym mówiono czy pisano, a bardzo wiele potrafi zrobić.

Marzy ci się jakaś konkretna podróż z prezydentem?

Wspaniale byłoby jeszcze raz polecieć do Kijowa. Wolnego Kijowa. Kiedy byliśmy tam w sierpniu 2021 r. z okazji Święta Niepodległości, widmo wojny już gdzieś majaczyło na horyzoncie, ale Kijów był słoneczny, radosny. Ludzie wolni i dumni. Andrzej Duda siedział wówczas obok Wołodymyra Zełenskiego, który miał na sobie garnitur. Odbierali defiladę, gdzie maszerowali także polscy żołnierze, a na niebie przeleciały nasze F-16. Wcześniej dziennikarska delegacja została uraczona szampanem podanym do śniadania, a na każdej nóżce kieliszka była ukraińska flaga. Ukraińcy żyli wolnością, delektowali się nią. To było ostatnie Święto Niepodległości przed wojną. Marzę o takiej defiladzie po wojnie wygranej przez Ukrainę.

Wyciek tajnych dokumentów

Fot. Shutterstock

W całej aferze związanej z wyciekiem tajnych dokumentów najciekawsze jest to, jak sytuację na świecie postrzegają analitycy amerykańskiego wywiadu.

Co wynika z ujawnionych raportów, prezentacji i notatek? Choćby to, że zaangażowanie Zachodu i Ameryki w pomoc Ukrainie jest bardzo ostrożne i nie zapewnia obrońcom potrzebnego uzbrojenia



MAREK BUDZISZ

Cala sprawa wybuchła 6 kwietnia, kiedy Helene Cooper i Eric Schmitt, dziennikarze „The New York Times”, specjalizujący się w kwestiach bezpieczeństwa, laureaci Nagród Pulitzera, napisali, że w internecie pojawiły się tajne dokumenty amerykańskiego wywiadu. Niektóre z nich – jak relacjonowano – zostały zmienione i różnią się od oryginalnych.

Wówczas jeszcze nie wiadomo – co już dziś jest jasne – że mamy do czynienia z największym od czasów Edwarda Snowdena i Chelsea Manning wyciekiem tajnych i poufnych informacji. Dane za-

warte w setkach ujawnionych raportów, depech, prezentacji i notatek wywołały burzę. W sprawie ujawnionych informacji i ocen wypowiedzieli się już prezydenci Korei Południowej, Egiptu, głos zabrał premier Izraela, a władze Serbii i Zjednoczonych Emiratów Arabskich wydały specjalne dementi. Do niektórych wątków odniósł się przebywający w Stanach Zjednoczonych premier Mateusz Morawiecki, a szef Pentagonu Lloyd Austin i kierujący Departamentem Stanu Antony Blinken zorganizowali poświęconą wyciekowi specjalną konferencję prasową. Obydwa dzwonili też do swoich ukraińskich odpowiedników, starając się – jak relacjonują media – ratować to, co jeszcze jest do uratowania.

W Stanach Zjednoczonych mówi się o poważnych stratach służb specjalnych i wywiadu w związku z przeciekiem, ale w rosyjskich kanałach na platformie Telegram można spotkać się z poglądem, iż w gruncie rzeczy jest to przygotowana

w najdrobniejszych szczegółach i zaplanowana operacja wywiadu, której celem jest oszukanie Rosjan co do możliwości i zamiarów strony ukraińskiej przed oczekiwaną ofensywą.

INTERNETOWA RODZINA

Z czym zatem mamy do czynienia i jaki obraz sytuacji wyłania się z ujawnionych do tej pory informacji?

Dziennikarze „The Washington Post” ujawnili cały mechanizm wycieku tajnych dokumentów do obrotu publicznego. Zidentyfikowali oni 25-osobową grupę, internetową rodzinę, którą na początku pandemii założył mężczyzna opisywany jako OG na internetowej platformie Discord, popularnej wśród miłośników gier komputerowych. Po rozmowach z kilkoma młodymi ludźmi należącymi do tego hermetycznego środowiska opisali to, co działo się od 2020 r., czyli od momentu, kiedy zawiązało się to

środowisko o wyraźnie prawicowym obliczu opisywane jako zrzeszenie miłośników gier komputerowych i broni.

OG, pracujący – jak sam mówił – w jednej z amerykańskich baz wojskowych, na początku przepisywał informacje zawarte w tajnych raportach i prezentacjach, dzieląc się nimi z uczestnikami swojego kręgu, a dopiero później zaczął fotografować i kolportować wyniesione materiały. Eksperci, którzy je oceniali, potwierdzają, że niektóre ujawnione kartki były wcześniej złożone, co wskazywałoby, że zostały wyniesione, inne mają ślady pinesek czy taśmy klejącej, tak jakby zostały zdjęte z tablicy po prezentacji. OG nie jest sygnalistą, jak argumentują eksperci ds. służb specjalnych pytani przez dziennikarzy, nie ujawniał tajnych informacji, bo uważał – jak było w przypadku Manning – że rząd nadużywa swoich uprawnień. Najprawdopodobniej nie jest też jak Snowden rosyjskim agentem. Tutaj raczej chodziło o zaimponowanie członkom jego internetowej rodziny, wyrobienie u nich przekonania, że należą do elitarnej społeczności ludzi lepiej poinformowanych w tym, co się dzieje, i mających wgląd za kulisy światowych wydarzeń. „Czułem się, jakbym był na szczycie Mount Everestu” – powiedział dziennikowi jeden z członków grupy. „Czułem, że do pewnego stopnia jestem ponad wszystkimi innymi i że... wiedziałem rzeczy, których oni nie wiedzieli”.

W marcu jeden z uczestników rozrastającej się grupy, wśród której – jak wynika z relacji – około połowa to cudzoziemcy, w tym z Europy Wschodniej, zaczął publikować dokumenty na publicznie dostępnych forach internetowych i ten brak „operacyjnej ostrożności”, jak powiedział „The Washington Post” jeden z rozmówców, spowodował wybuch skandalu.

TRUDNA SYTUACJA UKRAINY

Mechanizmy wycieku poufnych informacji są zawsze w gruncie rzeczy podobne. Zaczyna się od człowieka, który z różnych powodów decyduje się na ujawnienie takich danych. Nieraz jest to sygnalista, nieraz człowiek budujący jak OG swoją rodzinę wtajemniczonych, a in-

nym razem przeciek organizują służby specjalne zainteresowane ujawnieniem niektórych informacji.

W całej sprawie znacznie ciekawsze jest to, jaki obraz wyłania się z ujawnionych raportów, prezentacji i notatek. Jak sytuację na świecie postrzegają analitycy amerykańskiego wywiadu?

Zacznijmy od Ukrainy, bo najwięcej w tych dokumentach jest informacji na temat sytuacji na froncie, strat obydwu stron, potrzeb armii ukraińskiej i zaangażowania sojuszników. Jak napisał David Ignatius, znany amerykański dziennikarz i pisarz specjalizujący się w tematyce służb specjalnych, obraz, który się z nich wyła-

Analitycy amerykańskiego wywiadu najbardziej obawiają się ukraińskiego ataku na Kreml. Jak oceniają, taki krok doprowadziłby do skokowej eskalacji wojny ze strony Rosji, a to jest wariant wydarzeń, którego w Waszyngtonie z wszystkich sił starają się uniknąć

nia, jest bardziej ponury od dominujących ocen na temat tego, kto wygrywa wojnę. Andrij Jusow, przedstawiciel Głównego Zarządu Wywiadu Ministerstwa Obrony Ukrainy, oświadczył, że ujawnione dane na temat stanu armii i przygotowywanej przez Kijów ofensywy są spreparowane przez rosyjski wywiad i najprawdopodobniej mamy do czynienia z wielką operacją dezinformacyjną. Jednak „The Washington Post” alarmuje, że z powodu ujawnionych informacji Kijów mógł nawet podjąć decyzję o przesunięciu na późniejszy termin spodziewanej ofensywy. Za taką interpretacją przemawiają słowa Denysa Szmyhala, ukraińskiego premiera, który mówił w rozmowie z portalem The Hill, że ofensywa może rozpocząć się latem, a w czasie spotkania z szefem Pentagonu oficjalnie poprosił Stany Zjed-

noczone o pilne dostarczenie myśliwców F-16, rakiet dalekiego zasięgu i większej liczby czołgów.

David Ignatius napisał na łamach „The Washington Post”, że „surowe liczby dotyczące niedoboru obrony przeciwlotniczej zapisane w dokumencie z 23 lutego są przerażające”. Chodzi o to, że w świetle ujawnionych informacji ukraińskiej obronie przeciwlotniczej kończy się zapas rakiet. Cały system jest zbudowany w oparciu o wyrzutnie SA-10s i SA-11s, pochodzące jeszcze z czasów sowieckich, które dziś odpowiadają za 89 proc. chronionej przestrzeni powietrznej. W świetle informacji amerykańskiego wywiadu

zgromadzonych zapasów ma wystarczyć do końca marca w przypadku tych pierwszych systemów i do 10 maja, jeśli chodzi o pozostałe. A co potem? Rosjanie zdobędą dominację w powietrzu i masowymi bombardowaniami na wzór tych, których dokonywali w Syrii, będą osłabiać zarówno morale sił zbrojnych, jak i niszczyć gospodarkę, nie mówiąc już o gotowości zwykłych Ukraińców do kontynuowania walki.

Ale znacznie bardziej niepokojące informacje dotyczą postawy Zachodu, również Stanów Zjednoczonych, wobec toczącej się wojny. Po pierwsze, jak zauważa Ignatius, wysiłki w celu zwiększenia dostaw dla Ukrainy są ogólnie nieskuteczne, Ameryka nie przekształciła się do tej pory w „arsenał demokracji”.

Potwierdzają to zresztą inne ujawnione dokumenty relacjonujące przechwyconą – co samo w sobie wywołało dyplomatyczny skandal – rozmowę dwóch doradców ds. bezpieczeństwa prezydenta Korei Południowej. Naradzają się oni, co zrobić, jeśli prezydent Stanów Zjednoczonych zadzwoni do Yoon Suk-yeola po to, by nakłonić go do sprzedaży pilnie potrzebnych Ukrainie 330 tys. sztuk pocisków artyleryjskich. Seul tradycyjnie nie dostarcza broni państwom uczestniczącym w wojnie, ale doradcy koreańskiego prezydenta obawiają się, że jeśli telefon od Bidena zadzwoni, to Korea Południowa może ustąpić, wysyłając oficjalnie dostawy do Polski i mając pewność, że trafią one tam, gdzie trzeba. Co ciekawe, premier Morawiecki przebywający w USA potwierdził w wywiadzie prasowym, że

rozmowy z Seulem w sprawie dostaw amunicji mają miejsce. Ale – jak zaznaczył – nie sądzi, by dostawy były możliwe bez interwencji Stanów Zjednoczonych, bo Korea Południowa boi się rosyjskiej i chińskiej reakcji. Problem polega jednak na tym, że Biden nie zadzwonił w tej sprawie do Seulu, a jego administracja jest – taki obraz wylania się z ujawnionych dokumentów – bardziej ostrożna w skali zaangażowania i pomocy dla Ukrainy, niż do tej pory sądzono.

Z jednego z opublikowanych dokumentów wynika, że Brytyjczycy i Francuzi wysłali samoloty zwiadu elektronicznego pilotowane przez ludzi nad Morze Czarne, a Amerykanie posługują się wyłącznie bezzałogowcami. Obawiając się rosyjskiej eskalacji, Waszyngton dobrowolnie narzuca sobie samoograniczenia. W ten sposób David Ignatius interpretuje podjętą przez Pentagon decyzję, o której też można przeczytać w materiałach z wycieków, by nie zbliżać się do wybrzeża Krymu na odległość bliższą niż 50 mil, podczas gdy dwustronne, amerykańsko-rosyjskie umowy mówią o dystansie 12 mil jako strefie zakazu dla lotów zwiadowczych. Rosjanie to nastawienie zdecydowanie wykorzystują, prowokując incydenty, z których jeden, z września ub.r., niemal nie doprowadził do zestrzelenia przez nich – jak potwierdził Ben Waller – brytyjskiego RC-135 z 30-osobową załogą na pokładzie.

Inny ujawniony dokument dotyczy analizy nieprzewidywanych scenariuszy, które mogłyby wpłynąć na przebieg wojny. Mowa jest w nim o zabójstwie Zełenskigo, śmierci Putina czy zmianach na szczytach kierownictwa rosyjskich sił zbrojnych. Ale to, czego analitycy amerykańskiego wywiadu zdają się najbardziej obawiać, to ukraiński atak na Kreml. Jak oceniają, taki krok doprowadziłby do skokowej eskalacji wojny ze strony Rosji, a to jest wariant wydarzeń, którego w Waszyngtonie z wszystkich sił starają się uniknąć.

Kolejny dokument prezentuje diagnozę sytuacji i ocenę szans na triumf którejś ze stron. Wynika z niego, że ani strona ukraińska, ani rosyjska nie mają zdaniem amerykańskich służb specjalnych szans na osiągnięcie przekonującego zwycięstwa, więc najbardziej prawdopodobny scenariusz wydarzeń to przedłużająca się wojna na wyniszczenie, która może trwać jeszcze przez kolejny rok.

Obraz, który wylania się z ujawnionych dokumentów, nie nastraja optymistycznie. Amerykanie są zaangażowani we wspieranie wysiłku wojennego Ukrainy, dostarczają dane, które umożliwiają nawet lokalizację i rażenie celów, ale nie wskazują na to, by w grę wchodziło skokowe zwiększenie wsparcia Waszyngtonu dla Kijowa. Co prawda, jak napisał brytyjski „The Guardian”, jeden z ujawnionych slajdów sugeruje obecność niewielkiego kontyngentu wojskowego z Francji, Wielkiej Brytanii, ze Stanów Zjednoczonych i z Łotwy na Ukrainie, ale nie wskazuje na to, by ktokolwiek myślał o wzroście zaangażowania. Zresztą Sébastien Lecornu, francuski minister obrony, stanowczo zaprzeczył, rozma- wiając z „Le Monde”, tym doniesieniem.

WOJNA INFORMACYJNA

To stawia na porządku dziennym kolejną kwestię. A mianowicie – czy powinniśmy wierzyć ujawnionym informacjom? Lloyd Austin, występując na konferencji prasowej, mówił, że zostały one poddane obróbce i to, co opublikowano, różni się od oryginałów. Z pewnością Rosjanie zmienili slajdy, na których analitycy amerykańskiego wywiadu oceniali ich straty w ludziach. Spreparowane zawyżają liczbę ofiar po stronie ukraińskiej, redukując straty rosyjskie. Jurij Ignat, rzecznik ukraińskich sił powietrznych, powiedział, komentując przeciek amerykańskich dokumentów, że w obecnej wojnie jej wymiar psychologiczny i informacyjny jest może nawet ważniejszy od działań na froncie. Jeden z izraelskich dzienników wręcz wyśmiał umiejętności analityczne amerykańskiego wywiadu, bo w jednym z ujawnionych dokumentów była zawarta teza, iż Mosad namawiał przedstawicieli sił zbrojnych do większego zaangażowania w mające miejsce w Izraelu protesty antyrządowe. Inna z informacji, jakoby Egipt planował w tajemnicy wyprodukować i dostarczyć Rosjanom 40 tys. rakiet, też nie budzi zaufania, bo w tym przypadku zdolności egipskiego przemysłu nie wskazują na to, by tego rodzaju plan był realny. Wzburzenie zapanowało też w Serbii, bo z jednego z raportów wynika, iż to państwo, znane ze swojej pro-rosyjskiej postawy, ma zamiar wspierać sprzętem wojskowym i amunicją Ukrainę.

Z raportu nie wynika co prawda, czy jest to wynik świadomej polityki prezydenta Vučića, rządu, czy może wszechobecnej korupcji. Ten poziom ogólności i brak precyzji analitycznej też spotkał się z krytyką i uwagami, iż specje z CIA mają problem z prawidłową interpretacją przechwyconych informacji.

Ale w całej sprawie jest jeszcze drugie dno i być może mamy do czynienia z bardziej złożoną operacją. Otóż jak informuje dziennik „The Wall Street Journal”, do większości ujawnionych dokumentów miało dostęp duże grono osób, co może potwierdzać tezę, że źródłem był zatrudniony w jednej z baz amerykańskich pracowników cywilny, anonimowy OG. Ale agencji wyodrębnili również ok. 60 dokumentów, do których dostęp miała ograniczona liczebnie grupa najwyższych rangą urzędników CIA i Pentagonu z Centrum Działań Operacyjnych wywiadu i personelu biura Szefa Połączonych Sztabów. Wszystkie one dotyczą sytuacji na Ukrainie i wokół tego kraju, a fakt ich ujawnienia wskazywałby, że tak wysoko uplasowany „sygnalista” może chcieć wpłynąć na przebieg wojny, programując skalę zaangażowania Stanów Zjednoczonych.

Afera zaczyna się dopiero rozkręcać, ale już wiadomo, że wizerunkowe starty Amerykanów będą znaczące, tym bardziej w gronie sojuszników, dla których stało się jasne, że są podsłuchiwanie, a ich korespondencja przechwytywana. Wszystko to w zastanawiający sposób zbiega się z chińską ofensywą dyplomatyczną i oczekiwaniami wielu państw, w tym sojuszników Ameryki, by Pekin zaangażował się w proces pokojowy na Ukrainie. 

Agenci federalni aresztowali w czwartek, 13 kwietnia 21-lletniego Jacka Teixeirę, służącego w bazie Cape Cod w Massachusetts. Jest on podejrzewany o największy od lat wyciek tajnych dokumentów, które skopiował i upublicznił. Zdaniem mediów jest on zwolennikiem posiadania broni, patriotą i zagorzałym katolikiem znanym ze swoich libertariańskich przekonań. Dokumenty miał skopiować i ujawnić po to, by zaimponować swoim przyjaciółom na jednej z platform gamingowych.

Wieści o końcu rosyjskiej armii są przesadzone



Spotkałem kapitana ukraińskiej armii o pseudonimie Profesor już w pierwszych miesiącach wojny, ale dopiero teraz udało mi się namówić go do udzielenia wywiadu. Młody oficer z wielkim doświadczeniem reaguje inaczej na optymistyczne opinie o załamaniu się armii Putina i podaje przykłady mocnych stron agresora. Jego zdaniem zwycięstwo Ukrainy nadejdzie, ale nie będzie łatwe

Czy możemy wyjawiać czytelnikom, gdzie się znajdujemy?

Profesor: Jesteśmy na ostatnim skrawku obwodu ługańskiego, którego bronimy przed rosyjskim agresorem. Jako żołnierze Gwardii Narodowej zajmujemy się zwiadem i obroną konkretnej miejscowości. Nasza brygada stoi w sektorze broniącym pozycji frontowych, a my pomagamy znaleźć i zniszczyć wroga.

W mediach przeważnie mówi się o słabościach rosyjskiej armii, ale z perspektywy frontu wygląda to nieco inaczej, prawda?

Jej silną stroną od zawsze były łączność i zagłuszanie, w skrócie REP i RER. Rosjanie mają pewne przewagi w sygnale radiowym, dysponują dobrymi krótkofalówkami, przekaźnikami sygnałów. Oznacza to, że są zawsze dobrze poinformowani o przyfrontowych ruchach swoich i naszych wojsk, mają dobrą komunikację, np. między oddziałem artylerii a siłami powietrznymi i dronami. Bardzo dobrze wiedzą, gdzie znajdują się nasze pozycje, dobrze tymi swoimi dronami operują w powietrzu. Rosyjskie bezzałogowe statki powietrzne Orlan to bardzo sprawny sprzęt, jedna z mocniejszych stron armii wroga.

Na czym polega ta przewaga Orlanów nad innym sprzętem?

To bezzałogowiec typu kopter [samolot z wirnikami, śmigłami – przyp. red.], który zajmuje się rozpoznaniem dalekiego zasięgu. Czyli ma zainstalowaną dobrą kamerę, ma dobre parametry, lepiej sobie radzi z wiatrem niż nasze drony, no i lata na silnikach benzynowych, a nie na bateriach, które dość krótko są w stanie zasilać urządzenie. Orlany mają połączenie nie

Fot. Jakub Augustyn Maciejewski

z ziemią, ale z innymi obiektami o podobnej wysokości. Obrazowo można to porównać do sztafety: sygnał idzie od Orlana do Orlana, a my z ziemi nie jesteśmy w stanie tego zakłócić. Co więcej, one wykrywają nasze sygnały, skanują otoczenie, np. krótkofalówki. Wystrzelują również urządzenia radarowe zajmujące się wykrywaniem wszystkich odbiorników elektronicznych, radiotelefonów i tym podobnych. Kiedy więc świat patrzy na to jak na stare sowieckie metody zarządzania armią, my odczuwamy ich skuteczność i dobre skoordynowanie.

Dużo tego mają?

Orlanów mają dużo. Do tego posługują się Łancetami, innymi dronami, które z kolei zajmują się bezpośrednim uderzeniem w znaleziony cel i jego niszczeniem. I tu też widać tę sprawność koordynacji – Orlan znajduje cel, a Łancet w niego uderza, to jest dla nas bardzo niebezpieczne. Obsługa takiego systemu, licząca 3–5 osób, siedzi w pojeździe typu Kamaz [model rosyjskiej ciężarówki – przyp. red.], obserwuje sytuację i uruchamia poszczególne elementy swojej powietrznej floty. W praktyce zajmuje się głównie niszczeniem naszej artylerii, także polskich Krabów. Jeśli widziałeś tutaj w Donbasie zniszczonego Kraba, to pewnie właśnie był namierzony przez Orlana i zniszczony Łancetem.

Z analiz zachodnich ekspertów wynika, że jednak po ponad roku wojny Rosjanom zaczyna brakować sprzętu, np. pocisków. Zgadzasz się z tym?

Zapewne w sensie strategicznym, globalnym mają tego mniej. Owszem, w porównaniu z początkiem wojny intensywność ostrzałów spadła. Jeśli wcześniej uderzało w jakiś frontowy sektor 2 tys. pocisków, to teraz jest ich ok. 700. My jednak bardzo mocno odczuwamy i tę liczbę. Mówię tu o Donbasie, ale nie wiem, jak to wygląda na całym froncie otaczającym Ukrainę z trzech stron. W dodatku teraz Rosjanie są bardziej precyzyjni, wcześniej strzelali masą, nieco na oślep, teraz zamiast takiego ostrzału artyleryjskiego jest więcej uderzeń z powietrza. Nie bardzo więc pocieszają mnie te analizy, o których wspominasz. W dodatku – jak wspominałem w wątku o ich łączności – teraz te ostrzały są lepiej zintegrowane z atakami piechoty, pojazdami opancerzonymi i atakami czołgów.

Nie brzmi to optymistycznie.

Sytuacja jest trudna, rosyjscy oficerowie jednak przez rok też nauczyli się walczyć w tej wojnie, bardziej oszczędzają swoje zasoby, zdobyli doświadczenie. My wciąż zakładamy, że im pocisków nie brakuje i walczyli tak, by uwzględnić ich moce ilościowe. Np. nie zauważyłem żadnego deficytu w czołgach, w liczebności wojsk, w siłach powietrznych, w śmigłowcach Ka-52 i wielu innych urządzeniach, które codziennie nad nami latają. Ostrzelują nas w każdy boży dzień, lepiej osłaniają

swoją ciężką sprzęt, wieści o końcu rosyjskich sił są przesadzone, zresztą sam widziałeś zapisy z kamery naszych dronów, które latają nad ich pozycjami.

W oczy rzuciły mi się zwłaszcza niesamowicie gęste, rozbudowane i złożone systemy okopów, ziemianek, a nawet podziemnych tuneli.

Inżynieria wojskowa to kolejna mocna strona Rosjan, ciągle prądo przodu. My nie mamy takich ludzi, którzy by kopali okopy w dzień, w nocy, w deszcz, zimą, a oni przywożą zeków, czyli więźniów, kryminalistów, i wykorzystują ich jak niewolników do morderczej pracy. Ale to przynosi efekty, ich okopy rozrastają się i podchodzą do nas. Najpierw kopie jedna osoba, potem poszerza tunel, wchodzi następni, wykopują coś pod ziemią i chowają się głębiej, tak że ich nie widać. Trudno w coś takiego trafić pociskiem. I kopią całodobowo – np. jeden kopie od wieczora do godz. 2.00 w nocy, a potem przyjeżdża sprzęt, który robi tunel pod ziemią. I tak cały czas. Koszty tej inżynierii są ogromne. To koszty finansowe, w sprzęcie, w ludziach, bo ci kopacze są bez broni, mają łopaty i są pierwszym celem, mięsem armatnim. Żadna normalna armia nie mogłaby sobie na to pozwolić, a Rosjanie nie liczą się z kosztami i przez to trudno jest zatrzymać ten pelzający w ziemi front.

Silną stroną Rosjan od zawsze była łączność i zagłuszanie. Oznacza to, że są zwykle dobrze poinformowani o przyfrontowych ruchach swoich i naszych wojsk, mają dobrą komunikację, np. między oddziałem artylerii a siłami powietrznymi i dronami

Sam jestem tym zdziwiony. Jak ostatnio odwiedzaliśmy jedną z waszych pozycji, to Rosjanie mieli okopy 150 m dalej, dziś mówisz, że są 20 m od waszych najbardziej wysuniętych stanowisk. Łatwo nie jest. Ale też nie panikujemy, chciałem po prostu nakreślić pewne mocne strony agresora. Za nami stoi Zachód, odczuwamy to. Dostajemy od was broń, Polsce to

w ogóle jesteśmy winni szczególnie podziękowania. I jest jeszcze jedna rzecz, której nie da się przecenić – to nasze morale, nasza motywacja. To nie są slogany, że my walczyliśmy o naszą ojczyznę, o naszą ziemię, o wolność i nasze rodziny – to naprawdę dodaje sił. A oni o co walczą? O miasta, które najpierw rujnują? O ludzi, których wywożą w głąb Rosji? O pralki i lodówki? Grabieżca ma inną psychikę niż obrońca swojego kraju.

Ostatnio prezydent Zelenski otrzymał z rąk prezydenta Dudy Order Orła Białego. My nie mamy dla ciebie może czegoś takiego, ale chciałbym podarować ci naszywkę z polskim orłem i z napisem „Polska”. Bo walczyście też za nas.

Dziękuję. Myślę, że zwycięstwo przyjdzie szybko.

Szkoda że nie możemy mówić o waszych zasługach, opisać waszej drogi bojowej, twojej i Tankisty.

Jesteśmy po prostu ukraińskimi patriotami i żołnierzami. Już to niech twoim czytelnikom nieco wyjaśni.

Rozmawiał Jakub Augustyn Maciejewski



Papierowy tygrys



ALEKSANDRA RYBIŃSKA

Wizyta prezydenta Francji w Chinach miała za cel – jak zadeklarował przed wyjazdem Emmanuela Macrona Pałac Elizejski – odnowienie strategicznych relacji Paryża z Pekinem oraz podkreślenie dzięki obecności szefowej Komisji Europejskiej Ursuli von der Leyen jedności Europejczyków w obliczu mnożących się kryzysów – przede wszystkim brutalnej agresji Rosji na Ukrainę. Do mediacji w tym konflikcie Macron chciał namówić chińskiego przywódcę.

Wyszło jednak jak zwykle, czyli byliśmy świadkami kolejnej odsłony „macroningu”. Tak rosyjscy publi-

Wyprawa Emmanuela Macrona do Pekinu miała stworzyć iluzję potęgi – Francji i Europy – ich niezależności od USA. Ale tak faktycznie nie jest i raczej nie będzie

cyści i eksperci nazwali w minionym roku starania Paryża, by stać się głównym pośrednikiem między Rosją a Ukrainą. Ciągłe telefony Macrona do Władimira Putina rozbawiły rosyjskich propagandystów do tego stopnia, że poświęcali im całe programy telewizyjne. „Oznacza to, że ciągle dzwonimy bez powodu” – żartował m.in. rosyjski politolog z MGIMO Henry Sardarian w programie „Russian Media Monitor”. Po Putinie prezydent Francji postanowił najwyraźniej oczarować Xi Jinpinga. Od razu pojawiła się nowa definicja „macroningu”: „celowe zwiększanie zależności od Chin, pouczając jednocześnie europejskich partnerów o ich naiwności oraz konieczności zwiększenia autonomii strategicznej Europy”.

WYJĄTEK FRANCUSKI

Tak więc Macron udał się do Xi Jinpinga w towarzystwie 60 przedstawicieli biznesu oraz szefowej Komisji Europejskiej Ursuli von der Leyen. Unia Europejska jako (trzecie) supermocarstwo, a gospodarz Pałacu Elizejskiego w roli jego nieformalnego lidera. Chiński przywódca od razu przekuł bańkę tej iluzji i wyciągnął czerwony dywan dla francuskiego prezydenta, traktując jednocześnie – jak zauważył portal Politico – von der Leyen jak nieproszonego gościa. Kogoś, kto nie jest ani dyplomatą, ani szefem państwa. Nie dał się także wciągnąć w grę Macrona o zakończenie konfliktu na Ukrainie i nie zobowiązał się do mediacji. To było oczywiście łatwe do przewidzenia. Chiny do dziś nie potępiły rosyjskiej agresji. Prze-



znad Sekwany

ciwnie, Xi niedawno był w Moskwie w celu pogłębienia partnerstwa z Rosją. Mało tego. Pekin finansuje agresję Putina przez zwiększony handel z Rosją, który obejmuje produkty podwójnego zastosowania (mogą być wykorzystywane zarówno do celów cywilnych, jak i wojskowych), takie jak chipy i drony.

Ale nie ma tego złego, co by na dobre nie wyszło. Macron podpisał oszałamiającą liczbę umów dotyczących dużych projektów budowlanych, w tym elektrowni jądrowych i zakładu odsalania wody, jednocześnie sprzedając więcej samolotów, kosmetyków, produktów finansowych i wieprzowiny do Chin. No i Pekin poparł autonomię strategiczną Europy, koncepcję wymyśloną nad Sekwaną, która po rosyjskiej agresji na Ukrainę zarosła trochę kurzem, ale teraz mogłaby odżyć – z Pekinem na miejscu Moskwy.

Xi Jinping wręcz otwarcie wezwał Paryż do wyjścia z amerykańskiej orbity. Wcześniej podobne słowa chiński przywódca skierował do Pedro Sáncheza, premiera Hiszpanii, gdy ten pod koniec marca gościł w Państwie Środka.

„Zdrowy rozwój stosunków chińsko-europejskich wymaga od UE potwierdzenia swojej strategicznej niezależności” – mówił. To, że wiele europejskich państw pozostaje przywiązanych do bliskich relacji handlowych z Chinami, mimo iż cechuje je głęboka asymetria, gra na korzyść Pekinu, który obawia się powstania zjednoczonego, zachodniego bloku pod przywództwem USA.

Chińczycy przy tym dobrze rozpoznali potrzebę Macrona odegrania roli męża stanu światowego formatu, kultuwującego gaullistowskie tradycje „wyjątku francuskiego”. Francuski antyamerykanizm jest dobrze znany i chińscy komuniści zapewne pamiętają, że Paryż był pierwszą zachodnią stolicą, która uznała Republikę Ludową w 1964 r., w samym środku zimnej wojny. Wielu obserwatorów miało więc wrażenie powrotu do przeszłości, w chwili gdy na Zachodzie toczy się debata o „decouplingu”, czyli o zerwaniu relacji z Chinami, by w ten sposób bronić się przed wielowymiarowym zagrożeniem z ich strony, a co najmniej o zmniejszeniu ryzyka („deri-

sking”) w relacjach z Państwem Środka, czyli mierzenia konsekwencji inwestycji lub wymiany gospodarczej z Pekinem. Dlatego Paryż, Berlin i stolicy południowej Europy są dziś głównymi celami chińskiej ofensywy dyplomatycznej rozpoczętej po zniesieniu lockdownu związanego z pandemią COVID-19. Zapobiegnięcie zamknięciu rynku europejskiego jest strategicznym priorytetem Pekinu w czasie, gdy wzrost gospodarczy Chin po fatalnym zarządzaniu pandemią wyraźnie osłabł. Paryż, Berlin, Madryt mają zapewnić, że Pekin ten dostęp zachowa.

Pod koniec kwietnia niemiecka szefowa dyplomacji Annalena Baerbock ma jako następna gościć w Pekinie. Niemcom, które dokonały ogromnych inwestycji w Chinach, zależy podobnie jak Francji na zwiększeniu dostępu do tamtejszego rynku. Nawet Berlin jednak wydaje się mniej naiwny wobec Pekinu niż Paryż. Jak podkreślił francuski politolog Nicolas Baverez na łamach „Le Figaro”, Macron uparcie neguje naturę autorytarnych reżimów, a także imperialną strategię ich

władców. „Chiny nie są neutralne. Ich dyplomacja jest całkowicie nastawiona na dezintegrację zachodniego porządku światowego” – podkreślił Bawerez. Wizyta Macrona w Pekinie sprowadziła się więc do legitymizacji postawy Chin oraz realizacji kilku egoistycznych interesów.

WIZERUNEK PONAD WSZYSTKO

Francuskie media wizytę Macrona w Państwie Środka łączą zresztą z sytuacją prezydenta na domowym froncie, gdzie wciąż toczą się protesty przeciwko reformie emerytalnej, przeforsowanej (legalnymi) pozaparlamentarnymi środkami. Nic tak nie łagodzi nastrojów jak perspektywa kolejnych kontraktów dla przemysłu z tworzeniem nowych miejsc pracy w tle. Podczas briefingu przed wylotem Macrona do Chin jeden z jego doradców przechwalał się: „Na palcach jednej ręki można policzyć światowych przywódców, którzy mieli okazję prowadzić dogłębną dyskusję z Xi”. Polityka zagraniczna jako lek na postimperialne bóle Francji i jej przywódcy.

A że Macron nie lubi najwyraźniej uczyć się na błędach, to podczas lotu powrotnego do Paryża udzielił wywiadu europejskim mediom, z którego musiał się następnie tłumaczyć tak jak ze słynnego wywiadu na temat „śmierci mózgowej NATO” w 2019 r. Tym razem ostrzegał Europę przed naśladowaniem USA, przed byciem ich wasalem oraz uczynił Waszyngton odpowiedzialnym za zaostrenie sporu wokół Tajwanu, który „nie jest naszym konfliktem”, poparł politykę Pekinu, jednych Chin i fantazjował na temat europejskiego supermocarstwa. Gdy wybuchło oburzenie, Pałac Elizejski zaczął tłumaczyć, że Macron został źle zrozumiany, a on sam nieco złagodził przekaz, mówiąc o zachowaniu *status quo* wokół wyspy, którą Chiny traktują jako część swojego terytorium.

Zaledwie kilka godzin po tym, jak Macron wrócił do Paryża, Chiny rozpoczęły duże ćwiczenia wojskowe wokół Tajwanu. Śmierć mózgowa więc zapewne gdzieś nastąpiła, ale raczej nie tam, gdzie zlokalizował ją Macron. To

nie powstrzymało go od powtarzania tezy o „już tworzącej się autonomii strategicznej Europy” podczas następnej wizyty w Holandii. Wtórował mu premier Mark Rutte, twierdząc, że Europa musi być graczem, a nie polem gry. Liderem technologii, niezależnym od USA. Macronem wstrząsnęła ubiegłoroczna decyzja prezydenta Joe Bidena, by wprowadzić w życie ustawę Inflation Reduction Act (IRA), która ma skrócić łańcuchy dostaw oraz pozwolić na masowe subwencjonowanie amerykańskiego przemysłu. Francuski prezydent udał się nawet na jesieni 2022 r. do Waszyngtonu, by przekonać Bidena do jej cofnięcia, ale bezskutecznie. Zdaniem Macrona amerykański protekcyjizm może doprowadzić do dezindustrializacji Europy.

Xi Jinping podczas spotkania z Macronem wręcz otwarcie wezwał Francję do wyjścia z amerykańskiej orbity. Wcześniej podobne słowa chiński przywódca skierował do Pedro Sáncheza, premiera Hiszpanii, gdy ten pod koniec marca gościł w Państwie Środka

NIEBEZPIECZNA ILUZJA

Francuskie elity są ponadto przekonane, że powstanie dwóch wrogich bloków, czyli powrót do scenariusza zimnej wojny z Chinami z jednej, a USA z drugiej strony, releguje Europę do roli strefy zgniotu między nimi. Budowanie niezależności od USA miałyby gwarantować Staremu Kontynentowi rolę mediatora między mocarstwami, języczka u wagi, podmiotu zamiast przedmiotu gry. Podobnie argumentowała Angela Merkel, gdy była jeszcze kanclerzem Niemiec, i są stolice w Europie, gdzie ta idea znajduje posłuch i dziś. Tyle że Unia Europejska nie jest państwem, jej człon-

kowie mają różne interesy, szczególnie w polityce zagranicznej. Ponadto Europa jest zależna od Waszyngtonu, a rosyjska agresja na Ukrainę jeszcze pogłębiła tę zależność. Szczególnie w dziedzinie bezpieczeństwa. Bez USA Ukraina nie miałaby szans się obronić. Niemcy nawet nie chciały pomóc Kijowowi, tylko liczyły na to, że szybko (w ciągu kilku dni od rosyjskiej agresji) polegnie. Europejski przemysł zbrojeniowy nie nadąza nie tylko z realizacją dostaw dla Ukrainy, ale uzupełnieniem własnych zapasów. A technologiczna rewolucja i związane z nią innowacje dawno toczą się poza Europą. Za oceanem właśnie. No i kto miałby tę autonomię strategiczną budować? Niemcy, które skompromitowały się błędną polityką wobec Rosji?

Francja, która na pomoc Ukrainie przeznaczyła mniej środków niż Japonia? Paryż chętnie podkreśla, że jest „motorem w Indo-Pacyfiku”, że ma stałe miejsce w Radzie Bezpieczeństwa ONZ oraz broń atomową. Jednocześnie boi się konfliktu o Tajwan i dał się wyprzeć Rosji ze swoich dawnych kolonii w Afryce. Przed wyjazdem Macrona do Pekinu Pałac Elizejski poinformował francuskich posłów, angażujących się w obronę niepodległości Tajwanu, że prezydent nie poruszy tego tematu oprócz sytuacji, „gdy Xi będzie chciał o tym rozmawiać”. Zostało to odczytane jako wyraz tchórzostwa. W jaki sposób mówienie, że Tajwan „nas nie obchodzi” zmniejsza ryzyko wojny?

Iluzją jest także narracja Macrona o Francji jako „mocarstwie równowagującym”, zachowującym równy dystans do USA i Chin. Francja jest sprzężona z Zachodem, jest częścią NATO, więc nie może być mowy o niezaangażowaniu, wręcz neutralności. Takie są fakty i słowa Macrona nic tu nie zmieniły. Zresztą gdyby tak było, Francja musiałaby być równie krytyczna wobec Pekinu jak wobec Waszyngtonu, a przecież tak nie jest. Jak pisał Nicolas Bawerez w „Le Figaro”, politykę zagraniczną można budować tylko w oparciu o fakty. „Nie ma władzy bez środków władzy, począwszy od silnej gospodarki i zdrowych finansów. Jaką wiarygodność ma głowa państwa, która nie potrafi nawet zapewnić pokoju społecznego we własnym kraju?” – czytamy.



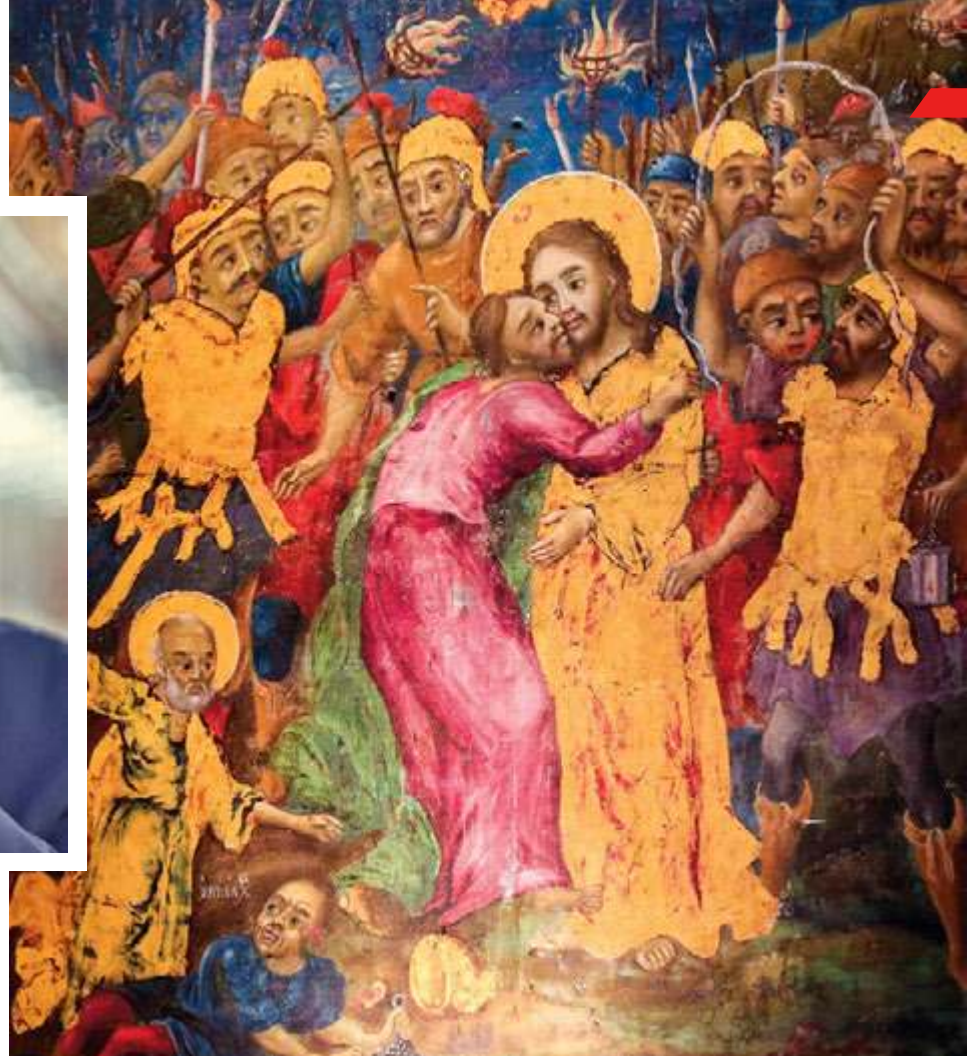
Tomasz Terlikowski

Judasz to jedna z najbardziej tragicznych postaci w całej Biblii. Od wieków stanowi wyzwanie i zagadkę. Dla niektórych staje się jednak źródłem fascynacji oraz inspiracją do interpretowania Ewangelii na nowo



GRZEGORZ GÓRNY

W Wielkim Tygodniu na portalu Deon ukazał się materiał, który wywołał liczne komentarze w środowiskach katolickich. Chodzi o tekst Tomasza Terlikowskiego



Judasz zrehabilitowany

pod wiele mówiącym tytułem: „Apostołowie zawiedli Judasza. To opowieść o zdradzie przyjaciół”. Autor, komentując fragment Ewangelii św. Jana, czytanej w kościołach w Wielki Wtorek, dokonał całkowitej reinterpretacji przedstawionej tam historii. Pod klawiaturą publicysty Judasz ze zdrajcy zamienił się w człowieka zdradzonego, ukazany jako ofiara swoich najbliższych przyjaciół.

Kiedy Jezus podczas ostatniej wieczerzy oświadczył swoim uczniom, że jeden z nich Go zdradzi, apostołowie nie zrobili nic z tą wiedzą, zostawiając

Judasza samego – stwierdził Terlikowski, rozwijając dalej ów wątek: „Samotny, porzucony przez przyjaciół, przekonany o odrzuceniu. Nikt mu nie towarzyszy. Czy nikt z apostołów nie zadawał sobie pytania, co by było, gdyby któryś z nich wybiegł za nim w noc? Czy nie myśleli o tym, czy ich przyjaciel mógłby żyć? Czy Piotr, który sam zaparł się trzykrotnie, nie zadawał sobie pytania, czy mógłby zatrzymać towarzysza?”

Do tego rodzaju refleksji skłania autora także pisarski styl św. Jana. „Dziwna jest ta dzisiejsza Ewangelia – zauważył.

– Dialogi się w niej nie składają, urywają w połowie. Bohaterowie zachowują się, jakby wzajemnie się nie słyszeli albo kompletnie nie rozumieli. Wielu rzeczy trzeba się domyślać (a może nawet gorzej: dopowiadać sobie)”. I dalej: „I aż trudno nie zadać pytania, skąd taka nie-spójność, może nawet absurdalność tego opisu. Dlaczego Ewangelista serwuje nam opowieść aż tak mocno psychologicznie niewiarygodną?”.

Odpowiedź Terlikowskiego jest następująca: „Mam nieodparte wrażenie, że to klasyczny model wyparcia”. W dalszej części tekstu rozwija tę myśl: „Jan – jakby tłumaczyć się z własnych zaniedbań – winę zrzuca na samego Judasza. On od początku kradł, był złym człowiekiem, oszukiwał, więc w istocie nie było powodów, by mu pomóc. Nie, nie twierdzę, że to kłamstwo, że to świadomy zabieg, ale na tyle znamy już ludzką psychikę, by mieć świadomość, że to naturalny model myślenia. Jeśli czegoś nie zrobiliśmy, coś zaniedbaliśmy, to winny jest zawsze inny, a ten, którego zostawiliśmy samego, porzuciliśmy, jest winny najbardziej. Człowiek nie jest często świadomy, że przyjmuje taki model myślenia, on w niego wchodzi i staje się częścią wspomnienia, które w nas pracuje i określa postrzeganie przeszłości. I tak mogło być i z apostołami, z Janem. Oni zawiedli Judasza, a potem to jego oskarżyli (w samych sobie), skazali, osądzili”.

JEZUS NA ŁAWIE OSKARŻONYCH

W całej powyższej analizie brakuje nawet cienia refleksji, że zgodnie z wiarą Kościoła mamy do czynienia z tekstem natchnionym przez Ducha Świętego. Stwierdzenie, że Janowy opis jest nie-spójny, absurdalny i psychologicznie niewiarygodny, nie sprzyja zresztą takiemu uznaniu. Interpretacja dokonana przez Terlikowskiego wpisuje się raczej w ten rodzaj egzegezy, który w opowieściach ewangelistów każe widzieć przede wszystkim wyraz świadomości pierwotnej gminy chrześcijańskiej, łącznie z panującymi w niej uprzedzeniami, awersjami i fałszywymi stereotypami. Dowiadujemy się zatem o klasycznym modelu wyparcia oraz przerzucaniu własnej winy (zdrady) na tego, którego się skrzywdziło (samemu zdradziło).

A wszystko to w oparciu o własną znajomość ludzkiej psychiki.

Odwolywanie się do tego typu argumentów ma jednak swoje konsekwencje. Na podstawie takich samych założeń można przecież postawić tezę, że każdy, kto relatywizuje postawę Judasza lub czyni z niego ofiarę, w rzeczywistości próbuje usprawiedliwić samego siebie, ponieważ dokonał w swoim życiu zdrady i nie chce się do tego przyznać. Można to nawet podeprzeć cytatem z Tomasza Terlikowskiego, że „na tyle znamy już ludzką psychikę, by mieć świadomość, że to naturalny model myślenia”.

Zostawmy jednak tego rodzaju psychologizowanie innym i zastanówmy się raczej nad logicznymi konsekwencjami teorii przedstawionej przez publicystę portalu Deon. Skoro apostołowie zawiedli Judasza, to ileż bardziej musiał zawieść go Jezus. On jako jedyny w tym gronie był przecież wszechwiedzący i wiedział doskonale, jak postąpi Iskariota. Nie zrobił jednak nic, by odwieść go od zdrady. Mało tego, sam go do tego zachęcił, mówiąc: „Co masz uczynić, czyni przedzej!”. Nie wybiegł za nim, żeby go powstrzymać. Nie uczynił nic, by uratować swojego ucznia, a nawet sam popchnął go na drogę zguby, mając w odróżnieniu od pozostałych pełną świadomość, jak skończy Judasz. Dlaczego był tak bezduszny wobec człowieka osamotnionego, odrzuconego, wykluczonego? Dlaczego nie wyrażałani jednym słowem lub gestem swojego współczucia, litości lub empatii wobec kogoś, kto towarzyszył Mu przez trzy lata? Czy swoją postawą sam nie dał przykładu apostołom, by nie wyciągali ręki do jednego z nich?

Konkluzja tego typu egzegezy doprowadzonej do logicznego końca jest zaskakująca, lecz oczywista: jeżeli czynimy ze zdrajcy człowieka zdradzonego, to osobę zdradzoną przemieniamy w zdrajcę. Tak więc ostatecznie to Jezus okazuje się krzywdzicielem Judasza. Innymi słowy: zły Bóg krzywdzi biednego człowieka.

EWANGELIA JUDASZA

To nie pierwsza publiczna próba zreinterpretowania biblijnej historii o Iskariocie. W 2006 r. „Gazeta Wyborcza” opublikowała w specjalnym wydaniu „Dużego

Formatu” pełny tekst polskiego przekładu Ewangelii Judasza – apokryfu, który po raz pierwszy został ujawniony w całości kilkanaście dni wcześniej w Bazylei. Starożytne pismo, którym zazwyczaj zajmują się przedstawiciele wąsko wyspecjalizowanej grupy patrologów, ukazało się w wysokonakładowym dzienniku, na dodatek opatrzone trzema sążnistymi komentarzami. Autorem jednego z nich był wykładowca KUL ks. prof. Wacław Hryniewicz. Według niego „tekst wywraca zupełnie teologię chrześcijańską, stawia na głowie całą doktrynę. Oto czytamy, że przywódcy chrześcijańscy są ślepi na prawdę i ona zostaje objawiona tylko Judaszowi”.

Z Ewangelii Judasza dowiadujemy się bowiem, że Iskariota nie zdradził Jezusa, lecz działał na Jego polecenie, wypełniając w ten sposób Boży plan zbawienia. Nie był więc nikczemnikiem, lecz kimś, kto poświęcił się dla dobra ludzkości, godząc się także nosić na sobie piętno niegodziwca i zatraćnika. Z tego powodu jest on jednak lepszy od pozostałych apostołów, którzy nie okazali mu wdzięczności, przedstawiając go w jak najgorszym świetle.

Część publicystów ochoczo podjęła ów wątek, prezentując apokryf jako dzieło pierwszych chrześcijan i stawiając go niemal na równi z czterema kanonicznymi ewangeliami. Oczywiście nie miało to nic wspólnego z prawdą. Wspomniane pismo powstało niemal 100 lat po śmierci Jezusa. Nie było dziełem pierwszych uczniów Chrystusa, lecz gnostyckiej sekty kainitów. Zgodnie z ich kosmologią świat został stworzony przez złego Demiurga, utożsamianego z żydowskim Jahwe ze Starego Testamentu, który zbuntował się przeciw dobremu Bogu Światła, czyli Sofii, a następnie ukradł iskry dobra i uwięził je w materialnych ciałach. W ten sposób ludzkie ciało stało się więzieniem duszy zawierającej iskry dobra. Dlatego warunkiem zbawienia stało się uwolnienie iskiek spętanych w przeklętej materii.

Wychodząc od tej koncepcji, kainici kontestowali cały świat stworzony, porządek materialny, prawo natury i ład moralny, które uważali za dzieło władcy ciemności, czyli złego Demiurga. Nic więc dziwnego, że za wzór do naśladowania uważali tych, którzy się buntowali przeciwko owej tyranii, a których Biblia

potępiała, a więc Kaina, Ezawa, mieszkańców Sodomy i Gomory czy właśnie Judasza. Ci ostatni według członków sekty byli osobami prawdziwie duchowymi (pneumatykami), którzy rzucili wyzwanie mrocznemu Stwórcy, gwałcąc jego przykazania, by osiągnąć upragnione wyzwolenie.

MIŁOSIERDZIE I SPRAWIEDLIWOŚĆ

Wbrew teom wspomnianych publiczności apokryf kaititów nie miał żadnego związku z pierwszymi pokoleniami chrześcijan, którzy od początku potępiali gnostyckie nauki. Dla wyznawców Chrystusa ciało nie było więzieniem duszy, lecz świątynią Ducha Świętego. Nie było też teologicznego usprawiedliwienia dla moralnego zła i przekraczania Bożych przykazań.

Dlaczego więc wysokonakładowe dzienniki (poza „Gazetą Wyborczą” także inne opiniotwórcze tytuły w Europie) nagłośniły Ewangelię Judasza, twierdząc, że jej publikacja może przewrócić do góry nogami chrześcijańskie nauczanie? Pewnym wskazaniem może być obecność w gronie promotorów owego apokryfu wspomnianego już teologa, ks. Wacława Hryniewicza, który dał się poznać jako głosiciel apokatastazy, czyli teorii o powszechnym zbawieniu, zwanej też nauką o pustym piekle. Zgodnie z tą hipotezą wszyscy ludzie po śmierci ostatecznie trafią do nieba i nikt nie zostanie potępiony. Nie da się bowiem pogodzić wizji miłosiernego Boga z możliwością kary wiecznej.

To teza, która znajduje dziś wielu zwolenników zarówno w Kościele, jak i poza nim. Odpowiada bowiem oczekiwaniom ludzi, którzy z jednej strony naruszają Boże przykazania, a z drugiej chcą się uwolnić od wyrzutów sumienia i poczucia winy. Uznanie, że wszyscy – niezależnie od swoich uczynków – zostaniemy zbawieni, zwalnia z odpowiedzialności za popełnione grzechy, skutkując relatywizacją dobra i zła.

Doprowadzając do logicznych konsekwencji twierdzenia ks. Hryniewicza, możemy wyczarować przed swoimi oczami obraz płaszących po niebiań-

skich łąkach i trzymających się za ręce dr. Mengele oraz dzieci, które były ofiarami jego pseudomedycznych eksperymentów w Auschwitz. Wszyscy radośni, uśmiechnięci, wszyscy doznający wizji uszczęśliwiającej. Zapewne w niejednym czytelniku takie wyobrażenie wywoła odruch sprzeciwu, wynikający z naruszenia elementarnego poczucia sprawiedliwości. Rzecz jednak w tym, że w optyce zwolenników apokatastazy sprawiedliwość zostaje całkowicie unieważniona przez miłosierdzie okazane nawet zatwardziałym i odmawiającym nawrócenia grzesznikom.

Przypadek Judasza to w sumie ostrzeżenie dla każdego z nas, ponieważ każdy z nas ma w sobie skłonność do zdrady i wyparcia się Boga. Każdy z nas może więc zostać Judaszem. Nie znaczy to jednak, że mamy usprawiedliwiać zdradę i zmieniać sens Ewangelii, odwracając zawarte w niej znaczenia

KAŻDY MOŻE ZOSTAĆ JUDASZEM

To prawda, że Kościół nigdy oficjalnie nie wypowiedział się w sprawie wiecznego potępienia Judasza – tak jak nie zrobił tego w przypadku żadnego innego człowieka, pozostawiając sąd samemu Bogu na końcu czasów. Historia Iskarioty stawia nas jednak przed wieloma pytaniami. Zmusza nas np. do zastanowienia się, jak to się stało, że trzy lata przebywania z Jezusem, a więc codziennego obcowania ze świętością, nie wpłynęły na Judasza, nie odwoływały go od kradzieży (z Ewangelii św. Jana wiemy, że podkraść pieniądze ze wspólnej kasy), nie powstrzymały od zdrady?

Prawda jest taka, że Jezus nie przyszedł do doskonałych, lecz do grzeszników. Na swoich uczniów wybrał ludzi słabych z ich wadami i ograniczeniami. Wśród tych, których powołał do pójścia za sobą, byli tacy, którzy mogli Go zdradzić, zaprzeczyć Go trzy razy, opuścić w chwili próby, nie uwierzyć w Jego zmartwychwstanie. Ale Chrystus wybaczył Piotrowi jego zaparcie się, a Tomaszowi niewiarę. Przebaczył nawet ukrzyżowanemu obok łotrowi, który najpierw (jak pisze św. Mateusz) znieważał Go, a później (jak pisze św. Łukasz) prosił o zmiłowanie. Judasz nie wyznał nigdy przed Jezusem skruchy, nie błagał o miłosierdzie.

Niektórzy bibliści uważają, że Iskariota wydał Mistrza, ponieważ szatan miał najlepszy dostęp właśnie do niego. Bycie złodziejem czyniło go szczególnie podatnym na pokusę pieniędzy. Już wcześniej okazał się niełojalny wobec swoich najbliższych, podkradając wspólne fundusze. Zdrada była tylko następnym krokiem. Trwanie w jednym grzechu ułatwiało popełnienie kolejnego.

Dlaczego Jezus go jednak nie powstrzymał? Zadając to pytanie, dotykamy problemu ludzkiej wolności. Bóg obdarzył człowieka wolną wolą – jest to wola do czynienia zarówno dobra, jak i zła. Stwórca szanuje wolność człowieka, dlatego zostawia mu możliwość dokonywania wyborów moralnych. Zgoda Jezusa na zdradę Judasza jest manifestacją Jego szacunku dla naszej wolności. Czyn Iskarioty jest zaś dowodem, że człowiek może wybrać zło i zdradzić Boga, nawet jeśli przez lata przebywał z Nim twarzą w twarz. Jest w tym wszystkim jakaś tajemnica nieprawości, którą trudno zrozumieć, ale nie można udawać, że jej nie ma.

Przypadek Judasza stanowi poważne ostrzeżenie dla ludzi Kościoła, którzy także zadeklarowali swoje pójście za Chrystusem i być może codziennie modlą się oraz uczestniczą w Eucharystii. To w sumie ostrzeżenie dla każdego z nas, ponieważ każdy z nas ma w sobie skłonność do zdrady i wyparcia się Boga. Każdy z nas może więc zostać Judaszem. Nie znaczy to jednak, że mamy usprawiedliwiać zdradę i zmieniać sens Ewangelii, odwracając zawarte w niej znaczenia. ▀



Grota w Jerozolimie, gdzie według tradycji urodziła się Maryja.
Zdjęcie pochodzi z książki „Maryja. Biografia. Najbardziej wpływowa kobieta w dziejach”

Biografia najbardziej rozpoznawalnej kobiety świata

W swojej nowej książce „Maryja. Biografia” Grzegorz Górny i Janusz Rosikoń prezentują nam obszerną, dobrze udokumentowaną i bogato ilustrowaną opowieść o ziemskim życiu Matki Bożej



GORAN ANDRIJANOVIĆ

Chyba nie przesadzę, jeśli napiszę, że książki publicysty Grzegorza Górnego i fotografa Janusza Rosikonja już dawno stały się szczególną wartością na rynku literatury religijnej w Polsce i na świecie.

To książki, które w wyjątkowy sposób łączą słowo i obraz. Przeplata się w nich znakomita publicystyka Górnego, pełna erudycji, a także doświadczenia religijnego w temacie, o którym pisze, z fotografiami Rosikonja, wiernie oddającymi wagę i godność sacrum.

Ci dwaj autorzy poruszyli wiele intrygujących tematów podczas lat wspólnej pracy. Za nimi są książki o relikwiach Chrystusa, Świętym Graalu, św. Faustynie i jej opiece duchowej bł. Michała Sopoćce, Matce Bożej z Guadalupe i inne.

Osobiście miałem przyjemność przetłumaczyć na język chorwacki trzy z nich. Były to książki „Świadkowie tajemnicy”, „Dowody tajemnicy” oraz „Ufam” (książka o św. Faustynie). Wszystkie zostały bardzo dobrze przyjęte przez Chorwatów, ale ta pierwsza, poświęcona relikwii Chrystusa, dokonała w Chorwacji prawdziwej (małej) duchowej „rewolucji”. Mianowicie, dzięki niej duża liczba chorwackich wierzących po raz pierwszy miała okazję bliżej zapoznać się z relikwiami, takimi jak Chusta z Manoppello, Sudarion z Oviedo albo Tunika z Argenteuil.

Książki Górnego i Rosikonია odniosły sukces również w innych krajach. Zostały one przetłumaczone na wiele języków. W Stanach Zjednoczonych ich książki są publikowane zarówno w języku angielskim, jak i hiszpańskim, co pozwala dotrzeć im do szerokiego grona czytelników. Zajmując się głównie tematami katolickimi, a więc uniwersalnymi, autorom udaje się nadać ich publikacjom polski akcent, co sprawia, że książki te są świetną promocją polskiej kultury na całym świecie.

DZIENNIKARSKIE ŚLEDZTWO

Teraz mamy przed sobą ich najnowsze dzieło – „Maryja. Biografia”, które z pewnością przyciągnie taką samą uwagę czytelników w Polsce i na świecie jak ich poprzednie prace. Publikacja, jak wskazuje jej podtytuł, jest poświęcona „najbardziej wpływowej kobiecie w historii” – Najświętszej Maryi Pannie, matce Jezusa Chrystusa.

„Maryja. Biografia» to pierwsza tak obszerna, dobrze udokumentowana i bogato ilustrowana opowieść o ziemskim życiu Matki Bożej” – czytamy w materiale wydawnictwa Rosikon Press o książce. „Górny i Rosikon prowadzą dziennikarskie śledztwo dotyczące Miriam z Nazaretu. Odtwarzają przebieg jej życia, rekonstruując wydarzenia sprzed 2 tys. lat. Jeżdżą po Ziemi Świętej, Egipcie, Turcji, Grecji, spotykając się z historykami, biblistami i archeologami biblijnymi. Rozmawiają z naukowcami prowadzącymi wykopaliska archeologiczne w Nazarecie, badającymi autentyczność Domu Maryi w Loreto czy dokonującymi ekspertyz relikwii czczonych jako własność Matki Bożej. Rezultatem ich poszukiwań jest bogato ilustrowana biografia dotycząca najbardziej wpływowej kobiety w dziejach świata”.

Podobnie jak w ich wcześniejszych książkach, słowo „śledztwo” odgrywa tu ważną rolę. Tym, co nadaje ich pracom szczególną wartość, jest fakt, że stoją za nimi miesiące, a czasem lata ciężkiej pracy badawczej. Publicysta i fotograf odwiedzają różne miejsca związane z tematyką swoich książek, gdzie rozmawiają z ekspertami i naukowcami, a także zwykłymi ludźmi. To klasyczne reporterskie podejście dodaje ich pracom autentyczności i życia. Tak samo jest tym razem.

Książka ma 10 rozdziałów. Dziewięć to chronologia ziemskiego życia Marii z Nazaretu (dziesiąty dotyczy historii kultu Maryi).

Dzieciństwo, małżeństwo z Józefem, narodziny Jezusa, pierwsze miesiące macierzyństwa w Betlejem, ucieczka do Egiptu, życie w Nazarecie z mężem stolarzem i synem, życie w czasie publicznej działalności Jezusa, trzy dni męki Chrystusa, a następnie jego zmartwychwstanie oraz wreszcie ostatnie lata życia spędzone pod opieką św. Jana Apostoła. Wszystko to jest dokładnie omówione w książce Górnego i Rosikonია.

„Dzieje Matki Bożej nie ograniczają się jedynie do przedstawienia faktów, opartych na badaniach historyków, biblistów czy archeologów biblijnych oraz na osobistych rozmowach autorów książki z naukowcami. Zawierają również teologiczne interpretacje opisywanych wydarzeń, które przez stulecia kształtowały pobożność maryjną. Całość jest ilustrowana fotografiami Janusza Rosikonია z wszystkich miejsc związanych z życiem Maryi w Ziemi Świętej, a także fotografiami zrobionymi w Egipcie (w miejscach, które tradycja wiąże z pobytem Świętej Rodziny), w Efezie w Turcji oraz na wyspie Patmos w Grecji, a także w wielu miejscach kultu maryjnego na świecie” – wyjaśnia Rosikon Press.

„Miriam z Nazaretu. Mater Dei. Our Lady. Maryja. Mimo iż jest powszechnie znana, to mamy niezwykle niską wiedzę na temat jej życia doczesnego” – pisze w prologu książki Grzegorz Górny.

„Na podstawie świadectw z epoki wiemy o niej niewiele. Właściwie więk-

szość jej ziemskiego żywota tonie w mroku tajemnicy... Skąpość materiałów źródłowych nie zniechęcała jednak przez całe wieki rzesz uczonych, biblistów, historyków czy archeologów do poszukiwań najmniejszych choćby śladów pozostawionych przez najsłynniejszą niewiastę w dziejach świata. Spróbujmy i my podążać jej tropem” – zaprasza Górny swoich czytelników do odbycia tej podróży.

ZWERYFIKOWANA WIZJA

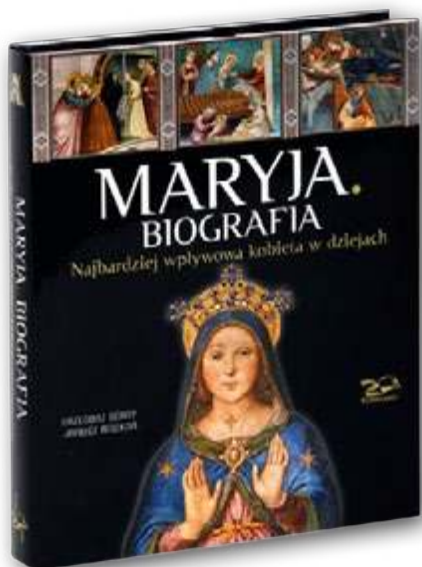
Podróż, do której wzywa Górny, jest naprawdę fascynująca. Każda strona książki jest wypełniona faktami i interpretacjami tych faktów, które otwierają przed nami zupełnie nowe perspektywy w zrozumieniu roli Maryi w Bożym planie zbawienia. A do tego dodatkowo utwierdzają nas w tym zrozumieniu, które już mieliśmy.

Dla mnie osobiście najbardziej fascynujący jest rozdział dotyczący domu w Efezie, w którym zdaniem wielu Maryja spędziła ostatnie lata swojego życia na ziemi. Odkrycie tego domu zawdzięczamy wizjom niemieckiej mistyczki Anny Katarzyny Emmerich. Przypomnijmy, że mistyczka i stygmatyczka, urodzona w 1774 r. i zmarła w 1824 r., pozostawiła po sobie liczne dokumenty, w których jej sekretarz Clemens Brentano spisywał jej wizje dotyczące nieznanych szczegółów z życia Jezusa i jego ziemskiej rodziny. Niektóre z tych wizji okazały się kontrowersyjne, ale jedna została potwierdzona.

Ta o dokładnej lokalizacji domu, w którym Maryja spędziła ostatnie lata swojego życia. Niemiecka błogosławiona szczegółowo opisała położenie domu, a później – wyprawy potwierdziły jej wizje.

„Ze względu na duchową i teologiczną zawartość, książkę tę można uznać za »katechizm maryjny«, w dodatku napisany przy zachowaniu wszelkich wymogów rzetelnego dziennikarstwa śledczego. Z pewnością dostarczy czytelnikowi zarówno wiedzy, jak i pocieszenia” – napisał w swojej recenzji ks. prof. Robert Skrzypczak.

Fides et ratio. Wiara i rozum. To, jak je opisał św. Jan Paweł II, „dwa skrzydła, na których duch ludzki unosi się ku kontemplacji prawdy”. W nowej książce Grzegorza Górnego i Janusza Rosikonია podobnie jak w poprzednich odnajdujemy harmonię między tymi zdolnościami. A ta harmonia wznosi nas ku prawdzie. 





Bohaterowie Świętej Warmii



MACIEJ WALASZCZYK

Uhonorujmy polskich nauczycieli i działaczy oświatowych, członków Związku Polaków w Niemczech, którzy zginęli w czasie ostatniej wojny w egzekucjach i niemieckich obozach koncentracyjnych. Upamiętnienie osób oddanych sprawie polskiej, ofiar niemieckiego terroru powinno zastąpić olsztyński pomnik „wdzięczności” dla sowieckiej armii

W Olsztynie wciąż stoi pomnik Wdzięczności Armii Radzieckiej. Monument w formie niezamkniętego łuku triumfalnego autorstwa Xawerego Dunikowskiego, zwany potocznie „szubienicami”, razi jednak swoją wymową. Na początku lat 90. wpisano go do rejestru zabytków. Jednak „wyzwalanie” tych terenów przez armię sowiecką było naznaczone zbrodniami, gwałtami kobiet i tragedią ludności zamieszkującej ten obszar. Trudno o wdzięczność, szczególnie teraz po wybuchu wojny rosyjsko-ukraińskiej, gdy znów świat dowiedział się o rosyjskich zbrodniach

na ludności cywilnej. Jednak decyzją Piotra Grzymowicza, prezydenta Olsztyna, pomnik ma pozostać nietknięty. W czerwcu warmińsko-mazurski wojewódzki konserwator zabytków wszczął postępowanie administracyjne dotyczące „zabezpieczenia zabytku ruchomego w formie ustanowienia czasowego zajęcia do czasu usunięcia zagrożenia i przekazania go do muzeum”. IPN zwracał uwagę, że obrona jego istnienia to wyraz „pogardy dla polskich bohaterów, twórców i obrońców niepodległej Polski” i sowieckich ofiar. Warmia ma swoich autentycznych bohaterów tego czasu. Polskich nauczycieli i działaczy

oświatowych, członków Związku Polaków w Niemczech, którzy zginęli w czasie ostatniej wojny w egzekucjach i niemieckich obozach koncentracyjnych.

ŚWIĘTA WARMIA W PRUSKIM MORZU

Historia polsko-niemieckiej rywalizacji na Warmii sięga średniowiecza. Tereny te od starożytności były zamieszkiwane przez plemiona Prusów, które długo opierały się chrystianizacji. Już w końcu Xw. udał się tu na nieudaną misję ewangelizacyjną biskup praski św. Wojciech, podczas której został zamordowany.

Prusowie nękali również ziemie północnego Mazowsza, dlatego w 1226 r., by zapewnić spokój na granicy, książę Konrad Mazowiecki wezwał na pomoc Krzyżaków. Rycerze-mnisi poradzili sobie z wyzwaniem, a w granicach zbudowanego przez siebie państwa zakonnego na jednej trzeciej jego terytorium istniało dominium biskupów warmińskich. To ono stało się ostoją i enklawą dla polskości i katolicyzmu. Od 1446 r. już jako Księstwo Warmińskie stało się lennem Korony Królestwa Polskiego. W granicach Rzeczypospolitej Warmia doczekała I rozbioru w 1772 r., gdy znalazła się w granicach Prus. Od tego czasu nasilała się germanizacja tych terenów oraz walka Polaków o utrzymanie swojej tożsamości narodowej i religijnej.

POLACY SPOD ZNAKU RODŁA

W 1928 r. dzięki trwającym sześć lat zabiegom Jana Baczewskiego, posła do sejmu pruskiego, członka Rady Naczelnej Związku Polaków w Niemczech, a zrazem organizatora i prezesa Związku Polskich Towarzystw Szkolnych w Niemczech, została uchwalona ordynacja szkolna dla polskiej mniejszości narodowej. Rząd pruski pod pewnymi warunkami zezwolił na tworzenie polskich szkół prywatnych. Starania o zorganizowanie polskiego szkolnictwa na tych terenach trwały już od 1920 r. Pod nadzorem alianckiej Komisji Międzysojusznicznej powstało tam 17 szkół z polskim językiem wykładowym. Jednak po przegranej plebiscycie, który odbył się dokładnie w czasie bolszewickiej ofensywy na Warszawę w lipcu 1920 r., zostały one przez Niemców zlikwidowane. Wszystko w atmosferze nacisków i terroru. Organizacja nie zaprzestała starań. Począwszy od 1924 r., zaczęła rozwijać sieć bibliotek, zespołów teatralnych, śpiewaczych. Kluczową sprawą było zorganizowanie sieci polskich szkół na miejscu. ZPTS działał na Warmii za pośrednictwem Polsko-Katolickiego Towarzystwa Szkolnego, które starało się o otrzymanie zezwolenia na tworzenie szkół prywatnych z językiem polskim jako wykładowym. Ostatecznie na Warmii stworzono 15 szkół: w Brąszewaldzie, Chaberkowie, Gietrzwałdzie, Gilawach, Jarotach, Lesznie, Nowej Kaletce, Ol-

sztynie, Pluskach, Purdzie, Skajbotach, Stanclewie, Unieszewie, Worytach i Wymaju.

Nasilały się jednak szykany wobec dzieci i rodziców. Władze niemieckie umiejętnie kusily do zapisywania dzieci do niemieckich placówek, a propaganda przedstawiała polskie szkolnictwo jako piątą kolumnę. I tak np. szkoła w Gietrzwałdzie pozostawała pod obserwacją władz niemieckich szukających pretekstu do jej zamknięcia. Miejscowość była ważnym ośrodkiem kultu religijnego ze względu na objawienia Matki Bożej z 1877 r. czy istniejącą tam polską drukarnię i księgarnię. Szkoły były także celem napaści niemieckich bojówek. W 1937 r. funkcjonariusze gestapo zrewidowali unieszewską bibliotekę w celu konfiskaty „Na tropach Smętka” Melchiora Wańkowicza, której jednak nie udało im się znaleźć.

PRZEŚLADOWANIA I LIKWIDACJA ELIT

„Akcja przeciwpolska na terenie zaostza się i jest prowadzona z całą systematycznością, szczególnie na szkolnictwo polskie” – informował w miesięcznym raporcie politycznym kierownik konsulatu polskiego w Olsztynie w maju 1935 r. Operacja przeciw ludności polskiej zamieszkującej Warmię i Mazury rozpoczęła się jeszcze na długo przed 1 września 1939 r. Symboliczną postacią jest m.in. Jerzy Lanc, polski nauczyciel wyznania ewangelickiego i działacz społeczno-oświatowy na Mazurach, który zginął w niewyjaśnionych okolicznościach w 1932 r. W podolsztyńskich Jarotach w domu Jakuba Barczewskiego mieściła się jedna z kilkunastu polskich szkół na Warmii. Z tego powodu był on nękanym przez władze niemieckie, a bojówki Bund Deutscher Osten dokonały napadu na szkołę, powodując poważne zniszczenia. To tylko jeden z wielu incydentów, do których doszło w okresie międzywojennym.

Antypolska akcja prowadzona przez niemieckie władze na Warmii, Mazurach i Powiślu zastrzyła się od 29 kwietnia 1939 r., w okresie bezpośrednio poprzedzającym spis ludności Rzeszy. Prowadzono intensywną kampanię propagandową przeciw

deklarowaniu w spisie narodowości polskiej. Towarzyszyły jej ataki na lokale polskich organizacji, szkoły i biblioteki, czego finałem był zakaz używania języka polskiego w nabożeństwach katolickich, sfinalizowany zarządzeniem biskupa warmińskiego Maksymiliana Kallera z 20 sierpnia. Polskie organizacje były też stale inwigilowane przez hitlerowską policję bezpieczeństwa za pośrednictwem siatki płatnych konfidentów, tzw. Vertrauensmänner. Na podstawie donosów sporządzała ona kartoteki i listy z nazwiskami tych, których trzeba się było pozbyć drogą egzekucji lub uwięzienia w obozie koncentracyjnym. Tuż przed wybuchem wojny prześladowania uległy nasileniu, doprowadzając w 1939 r. najpierw do zawieszenia, a ostatecznie rozwiązania wszystkich funkcjonujących dotychczas organizacji, w tym także szkół. Toczyła się ona równolegle do Intelligenzaktion (akcji wymierzonej przeciw polskiej elicie), przeprowadzonej na terenach wcielonych do Niemiec, np. Pomorza, i Akcji AB, prowadzonej na terenie Generalnej Guberni.

Szykany wobec nauczycieli nasiliły się w ostatnich dniach sierpnia, kiedy przystąpiono do internowania niemal wszystkich działaczy polskich organizacji, w tym wszystkich nauczycieli polskich szkół na Warmii. We wrześniu uwięzionych odtransportowano do obozów Hohenbruch koło Labiawy, Tapiewa nad Pregolą i Grünhof w pobliżu Królewca. Stamtąd wielu z nich trafiło do obozów koncentracyjnych w Niemczech.

RYCERZE POLSKOŚCI

Warto przypomnieć sylwetki najważniejszych z represjonowanych działaczy oświatowych z obszaru Warmii, takich jak m.in. Ryszard Knosala, działacz harcerski i nauczyciel ze Śląska Opolskiego, który w 1935 r. zgłosił się, by objąć szkołę w Chabrowie, pracował także w Nowej Kaletce, a tuż przed wybuchem wojny był kierownikiem szkoły w Olsztynie. We wrześniu 1939 r. trafił do obozu Hohenbruch, by w kwietniu 1940 r. znaleźć się w Dachau. Zmarł w obozie po zaszczepieniu przeciwko tyfusowi plamistemu w 1945 r. W obozie

koncentracyjnym Sachsenhausen został osadzony, a 6 października 1939 r. w bestialski sposób zamordowany Jan Bauer. Przez długi czas pracował na Pomorzu, ale rok przed wybuchem wojny wrócił w rodzinne strony, gdzie został internowany. Także w październiku 1939 r. w bydgoskiej Dolinie Śmierci pod Fordonem zginął Wiktor Bina. W latach 1929–1933 był nauczycielem w Worytach. Na podstawie znalezionej w uczniowskim tornistrze modlitewnika „Bóg i Ojczyzna” jeden z inspektorów niemieckich oskarżył go o upublicznianie wydawnictw zakazanych. Został więc pozbawiony prawa nauczania oraz wydalony z Rzeszy. W końcu sierpnia 1939 r. aresztowany i zamordowany. Jego następcą aż do 1939 r. został Jan Maza. Aresztowany w sierpniu 1939 r., został osadzony w obozie koncentracyjnym Hohenbruch pod Królewcem i tam zamordowany w lutym 1940 r.

W fordońskiej Dolinie Śmierci zginął też Bolesław Jeziolowicz, nauczyciel, który w 1929 r. przybył ochotniczo na Warmię do Szafaldu (Unieszewa). W marcu 1935 r. bojówka BDO zorganizowała napad na szkołę, a jemu władze odebrały prawo nauczania i wysiedliły z Rzeszy. Po powrocie do Bydgoszczy wraz z grupą nauczycieli został zamordowany przez Niemców w październiku 1939 r. W 1934 r. prawa nauczania na terenie Prus władze pozbawiły także Bronisława Chabowskiego. Był nauczycielem w Gietrzwałdzie, a pretekstem do wydania takiej decyzji było posiadanie przez niego polskiego śpiewnika. Aresztowany w początku września 1939 r., dwa lata później został zamordowany w obozie koncentracyjnym Stutthof. W 1942 r. w Dachau zginął Józef Groth, nauczyciel i działacz harcerski. Od czerwca 1936 r. pracował w szkołach w Nowej Kaletce i Pruskiej Dąbrówce. Był współzałożycielem teatrzyku kukielkowego Łalka. Śledzony przez gestapo na tydzień przed wybuchem wojny został aresztowany i osadzony w obozie koncentracyjnym w Hohenbruch, a po roku w Sachsenhausen i Dachau.

Prawdziwie katorżniczy szlak przeszedł Franciszek Schnarbach. W latach 1932–1939 nauczyciel w Głomsku, Gilawach i Chabrowie. Aresztowany w sierpniu 1939 r., trafił do obozu Hohenbruch. Tam udało mu się uzyskać status robotnika przymusowego, dzięki czemu pracował m.in. w Królewcu, Płońsku, Berlinie, Rostocku, Częstochowie, aż trafił do oblężonego przez Sowiec Wrocławia. Na Warmię wrócił dopiero w lipcu 1945 r. schorowany i wyczerpany, gdzie zmarł dwa lata później. W obozie koncentracyjnym w Hohenbruch zginął zaś Leon Włodarczak,

Ostatecznie na Warmii stworzono 15 polskich szkół. Nasilały się jednak szykany wobec dzieci i rodziców. Władze niemieckie umiejętnie kusiły do zapisywania dzieci do niemieckich placówek, a propaganda przedstawiała polskie szkolnictwo jako piątą kolumnę

działacz ZPwN, który w 1935 r. prowadził kursy przysposobienia rolniczego dla młodzieży warmińskiej. Aresztowany w sierpniu 1939 r., został uwięziony i zamordowany. Nauczycielem szkoły w Purdzie, a zarazem działaczem harcerskim, organizatorem teatrzyku kukielkowego i rywalizacji sportowej był Tadeusz Pezała. Aresztowany już 20 sierpnia 1939 r., trafił do obozu koncentracyjnego Sachsenhausen, gdzie w 1942 r. został zmordowany.

Wśród ofiar znalazł się też Maksymilian Golisz, nauczyciel, który w czasie bezpośrednio poprzedzającym wybuch wojny przebywał m.in. na Warmii. Na dwa dni przed atakiem na Polskę udał się do Berlina, by złożyć w zarządzie głównym ZPwN sprawozdanie o sytu-

acji ludności polskiej. W październiku 1941 r. został aresztowany i wytoczono mu proces o zdradę stanu. Po męczarniach został ścięty toporem w więzieniu Moabit 1 kwietnia 1943 r. W 1933 r. prezesem warmińskiego oddziału Towarzystwa Nauczycieli Polskich w Niemczech został Ryszard Ignacy Goetze. Był też współzałożycielem pierwszej drużyny harcerskiej na Warmii, członkiem POW i Związku Powstańców Śląskich. W 1939 r. został aresztowany przez Niemców i osadzony w obozie koncentracyjnym w Buchenwaldzie. Zmarł w domu po powrocie z obozu.

Więcej szczęścia miał Jan He-drych, nauczyciel, działacz harcerski, który do Olsztyna przybył z poznańskiego, by od 1928 r. objąć kierownictwo szkoły w Chabrowie. Pracował także w szkole w Nowej Kaletce. Na początku 1932 r. został odwołany do kraju przez władze niemieckie za rzekome zaniedbywanie obowiązków szkolnych. Z chwilą wybuchu wojny został aresztowany i osadzony na kilka lat w obozie koncentracyjnym w Dachau, który przeżył, a następnie powrócił do kraju. Do obozów Hohenbruch i Sachsenhausen trafił także Konrad Sikora, uczący w latach 30. w Wymoku i Jarotach. Na szczęście udało mu się przeżyć i po wojnie podjąć na powrót pracę nauczyciela. Pięć lat w obozie w Sachsenhausen przesiedział Franciszek Piotrowski, przez sześć

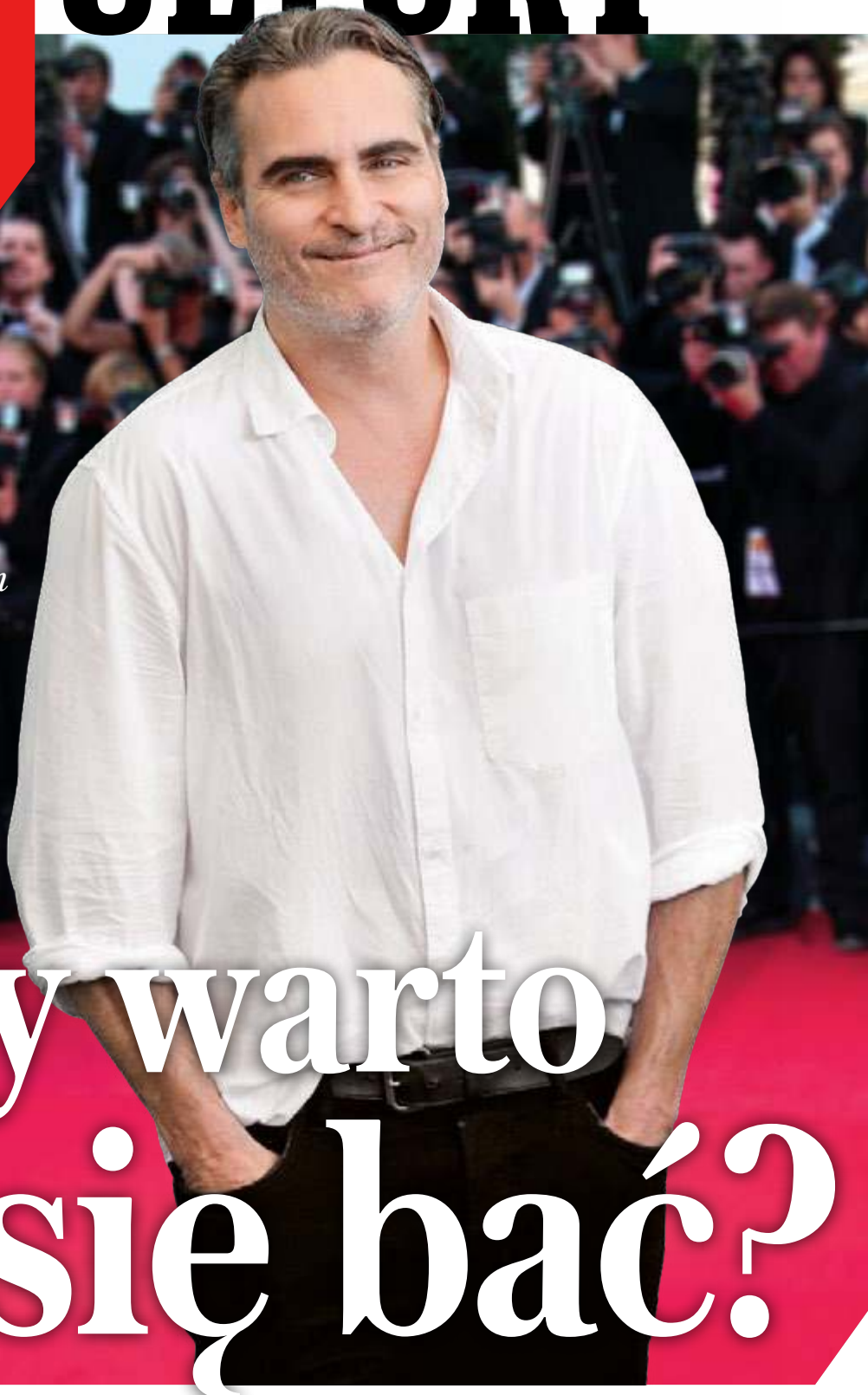
lat kierownik szkoły w Worytach, w której nie tylko prowadził zajęcia edukacyjne, ale również organizował teatr dla dzieci i konferencje kształceniowe dla nauczycieli.

Po wojnie Polacy z Warmii i Mazurzy jako autochtoniczna ludność byli traktowani w odwecie za wojenne zbrodnie niemieckie jak obywatele drugiej kategorii. Mazurzy byli przede wszystkim zgermanizowanymi Polakami, mówiącymi niezrozumiałym dla Polaków dialektem, często wyznania ewangelickiego. Tym bardziej szokujące, że ten los spotkał również rodowitych mieszkańców Warmii, którzy nie tylko byli przywiązani do swojego katolicyzmu, ale również ojczystego języka i identyfikacji narodowej.

K

ULTURY

*Filmowy Beau
panicznie się boi.
Z jego neuroz
spleciono film,
który nakręca
ponoć strach
widowni. Joaquin
Phoenix w rolę
Beau wchodzi
do końca.
Niemal do
zatracenia*



Czy warto się bać?



JOLANTA GAJDA-ZADWORNA

Joaquin Phoenix pozostaje wierny swojemu nazwisku. W często skrajnie różnych od siebie filmach potrafi dojść do granicy, niemal spalić siebie i swoich bohaterów, a potem powstać do następnego projektu, niczym feniks z popiołów.

W SZPONACH LĘKU

W autorskiej wizji Ariego Astera – twórcy takich przededefiniujących gatunek horrorów jak „Dziedzictwo. Hereditary” czy „Midsommar. W biały dzień” – zarówno bohater, jak i widzowie zostali ponoć poddani trudnym do ogarnięcia wstrząsom. Piszę „ponoć”, bo tych, którzy widzieli film, obowiązują do premiery recenzyjne embargo.

Wśród lakonicznych dziennikarskich ocen pojawiają się m.in. takie opinie o filmie: „czasami przerażający, często zabawny i głęboko dziwny”, „najstraszniejsza komedia i zarazem najśmieszniejszy horror”.

W takim ekranowym świecie musiał się zmieścić Joaquin Phoenix wraz ze swoim bohaterem. Zniszczonym życiem i neurozami. Nieustannie zderzającym się ze światami wykreowanymi przez własne lęki.

Polski dystrybutor zgrabnie wybrnął z tłumaczenia oryginalnego tytułu. „Beau Is Afraid” przełożył na niejednoznaczne i zarazem proste „Bo się boi”. Znając wcześniejsze filmy Astera i aktorskie dokonania Phoenixa widzowie będą się – równie mocno jak neurotyczny bohater – bali, dopisując postaci Beau do długiej listy bohaterów niepozwalających zapomnieć o Joaquinie Phoenixie.

TRAUMA NA START

Urodzony w 1974 r. w Portoryko, w wyjątkowej rodzinie (rodzice przez lata należeli do sekty Dzieci Boga i wędrowali z nią po świecie), uczący się ze starszym rodzeństwem w domu, od małego był wychowywany w przeświadczeniu, że wszystko można osiągnąć. Także w Hollywood.



Fot. QuickFilm

Gdy miał cztery lata, rodzina przeniosła się w okolice Los Angeles. Bracia i siostry z niezłym skutkiem zaczęli odnajdywać się w świecie show-biznesu. Idąc w ich ślady, już jako 9-latek Joaquin trafił przed kamery telewizyjne i filmowe.

Dobrze sobie radził, ale po tragicznych wydarzeniach z 1993 r. – kiedy nie udało mu się uratować Rivera – 23-letniego wtedy brata, niezwykle popularnego aktora, który zmarł na skutek przedawkowania heroiny – odciął się od Hollywood.

Na plan sprowadził go Gus Van Sant, ten sam, który obsadził Rivera w „Moim własnym Idaho” (1991). 21-letni Joaquinowi dał rolę nastoletniego zabójcy w czarnej komedii „Za wszelką cenę” (1995). Potem przyszły kolejne propozycje, a także przełom – wraz z rolą Kommodusa w megaprodukcji „Gladiator” (2000) Ridleya Scotta (aktorska nominacja do Oscara i Złotego Globu).

W ZWARIU

Służyło mu konfrontowanie się przed kamerą z ekranowymi partnerami: Russellem Crowe’em (w „Gladiatorze”), Geoffreyem Rushem (w „Zatrutym piórze”), Melem Gibsonem (w „Znakach”), Edem Harrisem (w „Buffalo Soldiers”), Johnem Travoltą (w „Płonącej pułapce”).

Był przekonujący jako cyniczny dziennikarz z „Hotelu Ruanda” (2004) i genialny w biograficznym „Spacerze po linie” (2005), gdzie wcielił się w postać legendarnego piosenkarza Johnn’ego Casha. By wypaść jak najbardziej wiarygodnie, nauczył się grać na gitarze, samodzielnie też zaśpiewał na ekranie wszystkie piosenki. Doceniono to. Otrzymał drugą nominację do Oscara (tym razem za główną rolę).

Był na fali (mimo zaliczonego alkoholowego odwyku), gdy w 2008 r. oświadczył, że zrywa z aktorstwem. Potem zaczął dostarczać brukowcom pożywki do materiałów o upadku aktora.

W 2010 r. poruszenie na festiwalu w Wenecji wywołał dokumentalny film o Phoenixie „Jestem, jaki jestem”. O wiele mocniejsza okazała się informacja, że wszystko było artystyczno-obyczajową prowokacją.

MISTRZ, JOKER I INNI

Media długo nie potrafiły wybaczyć aktorowi mistyfikacji, ale odnotowały sukces filmu „Mistrz” (2012), gdzie z Philipem Seymourem Hoffmanem stworzył elektryzujący duet. Rok później, w wizjonerskim obrazie „Ona” (2013), poruszająco wygrał uczucia człowieka zagubionego w techniczonym świecie. W kolejnych latach umacniał pozycję takimi filmami jak choćby „Nigdy cię tu nie było” (2017).

W 2019 r. przyszedł kolejny przełom i czas na pierwszego Oscara – za tytułową rolę w filmie „Joker”, w którym kinowy superzłoczyńca zyskał pogłębiony psychologicznie bagaż.

Kontrą do mrocznego świata „Jokera” oraz przygnębiającego czasu pandemii stał się film „C’mon C’mon” (2021). Teraz przyszedł czas na „Bo się boi”, a potem kolejne, jak można oczekiwać, nieoczywiste kreacje Phoenixa.

Mowa m.in. o planowanych na 2024 r.: musicalowej kontynuacji „Jokera” z udziałem Lady Gagi oraz filmie „The Island” Pawła Pawlikowskiego, w którym zagrał z życiową partnerką Rooney Marą. A już pod koniec listopada br. przekonamy się, jakiego Napoleona zobaczył w Joaquinie Ridley Scott.

Lubelska „Historyja” w TVP: cudowności i metafizyka

Dobrze, że TVP zdecydowała się przenieść „Historyję o chwalebnym Zmartwychwstaniu Pańskim” Mikołaja z Wilkowiecka z lubelskiego Teatru im. Osterwy na ekran, niestety tylko TVP Kultury. Reżyserował ją aktor i reżyser Jarosław Gajewski – przed rokiem. Reżyserii telewizyjnej podjął się dyrektor teatru Redbad Klynstra-Komarnicki, który traktuje ten spektakl jako manifest swojej linii. To zapis spektaklu teatralnego. Kilka razy widzimy zasłuchaną widownię.

Mamy misterium religijne. Podpisany pod nim Mikołaj to paulin z Częstochowy, prowincjał zakonu. „Historyję” datuje się na lata 1580–1582. Wystawiał to przed wojną Leon Schiller, po wojnie Kazimierz Dejmek z powodu ponoć zbyt jasełkowej wersji popadł w konflikt z Kościołem. Kilka lat temu zrobił to na siedmiu aktorów Teatr Wierszalin z Supraśla.

Tu odżył ten sam team, który wystawił pięknie w 2018 r. „Żywot Józefa” Mikołaja Reja w budynku Akademii Teatralnej w Warszawie. Jarosław Gajewski niedawno został dyrektorem Teatru Klasyki Polskiej. Jest orędownikiem szukania ciągłości także w odległych epokach i stylach. Poza nim to scenograf Marek Chowaniec, autorka kostiumów Anna Adamek oraz zespół muzyki dawnej na czele z prof. Marią Pomianowską, no i dramaturg Patryk Kencki, spec od starej polszczyzny.

Zaczyna się zaskakująco. Oto aktorzy przebrani za archeologów dłubią coś przy kopii polichromii z kościółka w Domachowie. Przedstawiają one sceny ze Starego i Nowego Testamentu. Tyle że aktorzy szybko zmieniają fartuchy konserwatorów na stroje biblijnych postaci. Anna Adamek zawiesiła je gdzieś między starożytnością i staropolszczyzną. To misterium bywa rubaszne, przerysowane. Groteskowi są strażnicy grobu żądający pieniędzy i żydowscy arcykapłani namawiający ich do oszustwa. Strażnicy są „hajdukami”, a Ananasz i Kajfasz to po prostu „biskupi”. Pilat pojawiający się na chwilę to „starosta”.

Zarazem krotkowiele przechodzą w najzarliwszą pobożność. W rozważania se-

rio o paradoksach katolicyzmu. Kiedy św. Piotr (świecny Mariusz Gołaj) narzeka na swoją winę zaparcia się, Jezus tłumaczy mu, że będzie łatwiej udzielać odpuszczenia innym grzesznikom. Czy Mikołaj czytał poprawnie ewangeliczne znaki? Po to, by dokonywać takich obrachunków, warto przypominać „Historyję”.

Co nie umniejsza zachwytu nad teatralnymi cudownościami. Dwupiętrowe rusztowanie Marka Chowaniaca pozwala na piękne komponowanie scen. Maria Pomianowska i jej zespół przechodzą od utworów z epoki (Wacław z Szamotuł) do skomponowanych na potrzeby spektaklu dźwięków bez mała wschodnich.

Asцена piekielna z feerią odgłosów i ze złożonym z dwóch postaci – męskiej i żeńskiej (Paweł Ferens i Kamila Janik) – Lucyferem w centrum kłębówiska postaci? A górująca nad wszystkim postać Archaniola? A dziewczyna na huśtawce igrająca nad sceną, kiedy odbywa się wielkie pocieszenie niewiast, czterech Maryj?

Gajewski poszukiwał cudów dawnego teatru, a przecież nasycił wszystko autentyczną metafizyką odkrywaną w dziwnie skan-



dowanych staropolskich frazach, czasem zbyt chropawych, dosłownych, a przecież dokądś nas prowadzących. Wzięło udział w tych poszukiwaniach 14 aktorów: dziewięciu z Osterwy i sześciu z Gardzienic. Bałem się, że kamera pogubi się w tych różnych planach, że nie będzie pasowała do teatralnych umowności. A jednak to dzięki niej zobaczyłem wyraźniej miłość wyrażającą z oblicza Wojciecha Rusina (Jezusa). Albo

twarz Joanny Holcgreber-Gołaj, która zaraz po rozmowie Jezusa z Matką śpiewa pieśń Maryi, pełną poczucia straty. Kiedy to oglądałem w teatrze, ktoś szepnął, że to o ludziach z Ukrainy. /

Piotr Zaremba

Druga reakcja pogańska

Co robi człowiek, gdy zaczyna cierpieć? Gdy zachoruje, zaczyna niedomagać, gdy zdradza go własna psychika, gdy rwą się dobre relacje, gdy wszystko wali się w pracy.

Gdzie szuka mocy człowiek nowożytny, gdzie jej szuka człowiek ponowoczesny? Co zwykłym ludziom podpowiada dziś kultura – czy mówi Kowalskiemu, skąd ma zaczerpnąć siły?

Człowiek w potrzebie szuka pomocy. Pytanie gdzie. W czym pokłada nadzieję? Dotąd w zachodnim mainstreamu, z grubsza mówiąc, odpowiedzi przynosiły nauka i wiara.

„Pomagam odzyskać równowagę wewnętrzną, spokój, rozwiązać problemy, które Cię trapią w życiu i w Twojej rodzinie. Wejdiesz w zdrowe relacje, gdzie panuje miłość i wewnętrzny spokój, przestaniesz się zapracowywać i martwić o picie partnera lub rodzica. Sesja online 1,5 godziny, 250 zł. Tel. 66****78”.

„NOWA METODA ENERGOTERAPII: PROS – UZDRAWIANIE WŁASNĄ ENERGIĄ QI. Energia QI jest uniwersalnym czynnikiem niezbędnym do uzdrowienia z wszystkich chorób: zablokowanie przepływu QI jest przyczyną wszystkich chorób, a PROS odblokowuje przepływ tej energii”.

„Twoja wewnętrzna MOC – warsztat pracy z energią & jogą kundalini. Do zapłaty brutto: 250 zł.

To czterogodzinny proces, podczas którego zanurzysz się w relaksie, dasz sobie uważność, ukojenie, wewnętrzną moc i ochronę. Ilona Patro (praktyka jogi kundalini z relaksacją dźwiękami) oraz Katarzyna Kmiecik, mistrzyni i nauczycielka reiki, tarocistka praktykująca tradycyjne czarostwo: Od ponad 20 lat doradzam, wykorzystując

karty tarota. W 2016 roku ukończyłam roczną Kabałistyczną Szkołę Tarota dr. J.W. Suligi”.

„Rytuał narodzin bębna medycyny – Robert Prokeš: 500 zł”. „Anna Leszczyńska – Medytacja odblokowująca boski potencjał, część I: Pieczęć Separacji”. „Grzegorz Halkiew – Zapraszam na kurs: Telepatia i jasnowidzenie w hipnozie. Teoria holograficzna wzbogaca i rozszerza tradycyjne koncepcje fizjologii mózgu. W jej świetle zaczynają nabierać sensu zjawiska, które kiedyś środowiska naukowe traktowały ze sceptycyzmem. Informacje: <https://neurolingwistyka.com./telepatia-jasnowidzenie>”.

„Sylvia Domin – Pole mocy: moc do wszelkich zmian jest w tobie. Metoda EFT (technika emocjonalnej wolności) polega na opukiwaniu konkretnych punktów akupresurowych. Opukiwanie jest niewiarygodnie efektywnym sposobem na zmniejszenie negatywnego wpływu stresu na ciało. Żyjemy w polu energii. Informacja, która w nim jest zapisana, znajduje się w naszej podświadomości”.

„Szkolenie NLP dla terapeutów Poznania – prowadzący Lech Dębski. Kurs dla hipnoterapeutów (metoda SET), 19–23 lipca 2023 – prowadzący Marek Aleszko”.

„Joga kundalini i muzykoterapia”, Dorota Zdrojewska – Studio jogi: „Spotkania z muzyką i masażem dźwiękiem wyciszą umysł, rozluźnią ciało, rozjaśnią myśli, rozgrzeją serce”.

„Gabinet hipnozy i hipnoterapii Harmonia Życia: Hipnoterapia może pomóc dziecku przeżyć bezproblemowo drogę ku dorosłości, lecząc m.in. z: zaburzeń snu, lęków i fobii, straty i traumy, bullyingu w szkole, jankania się, tików, depresji i niskiej samo-



ROBERT TEKIELI

oceny, mutyzmu wybiórczego, niskiej motywacji do nauki, ADHD, mizofonii. Zapraszam do umówienia konsultacji u mgr Kai Rębkowskiej bezpośrednio pod numerem telefonu 509****72”.

„#targiEZOTERYCZNE #medycynanaturalna #ciało #umysł #dusza. Zapraszamy was na wyjątkowe wydarzenie – Targi Ezoteryczne, imprezę wyświenniczą poświęconą holistycznemu podejściu do życia, zdrowia i dobremu samopoczuciu. Targi Ezoteryczne zapraszają cię do zrewitalizowania ciała, pobudzenia umysłu i rozpieszczania duszy. Wydarzenie będzie jeszcze bardziej niesamowite, ponieważ w specjalnej przestrzeni wykładowej będą się odbywać prelekcje, porady, warsztaty najlepszych specjalistów. Najlepsi oraz różnorodni wystawcy. 2 dni wykładów i warsztatów. Joga i medytacja. Muzyka i relaks. Zdrowe jedzenie, suplementy diety. Organiczne zioła. Terapie zdrowotne, niekonwencjonalne, holistyczne. Odnowa biologiczna. Medycyna naturalna. Regeneracja energetyczna. Masaże, zabiegi na ciało. Biżuteria, kamienie, kryształy. Ubrania, upominki, świece, oleje. Wróżby, reiki, tarot, numerologia, kroniki Akaszy, regresing niehipnotyczny... Sesje terapeutyczne. Książki, kursy edukacyjne i wiele innych... Udział w wykładach w cenie biletu wstępu...”

Sprawmy, aby wydarzyła się MAGIA!”.



To komercja, biznes, ale pojawia się tutaj i państwo.

Centrum Rozwoju Personalnego we Wrocławiu: „Certyfikowany kurs hipnozy online”. Po kursie otrzymujesz „zaświadczenie wydane na podstawie rozporządzenia Ministra Edukacji Narodowej z dnia 19 marca 2019 r. w sprawie kształcenia ustawicznego w formach pozaszkolnych (Dz.U. poz. 652)”.

Człowiek nowożytny szuka zdrowia w szpitalu, rozwiązań w encyklopedii, pociechy, coraz rzadziej, w konfesjonałach. Ale wymiera. Człowiek ponowoczesny stworzył sobie świat chaosu.

Skokowo sekularyzuje się właśnie i Polska, i Ameryka. Wygrywa nie ateizm, ale wierzenia. Coraz więcej osób oddycha zatrutym powietrzem kultury i popkultury. Prawda została wyparta z uniwersytetu. W Polsce trwa finalny atak na Kościół. TVN, „Gazeta Wyborcza”, Onet.

„Newsweek”: „Konferencyjne ćpuny. Zagubieni w coachingu i samorozwoju. Określenia »self-help junkie« jako pierwszy użył na swoim blogu mówca motywacyjny Steve Pavlina. Kwitnie dziś zjawisko zagubionych w coachingu – self-help junkies, seminar junkies – samopomocowych i konferencyjnych ćpunów”.

Ale nie tylko chodzi o patocoaching. Równie groźna jest ezoteryzacja techniki wpływu i manipulacji.

Jak wykształconym z dużych miast wykazać, że ich guru narażają ich do brostan, przyzywając w trakcie sesji i warsztatów bóstwa politeistycznych religii i twierdząc, że rytuały oddawania im czci to neutralne duchowo techniki energetyczne? Bóstwo jest osobą.

Szamańskie rytuały w Bali nie powstały po to, by relaksować. „Medytacja w świątyni Tirta Empul i obmycie się w świętej wodzie mającej moc oczyszczenia” – to przygotowania do przyzywania duchowych inteligencji.

Newage’owa nowomowa – „medytacje, praca z oddechem, joga i free-diving otworzą cię na nowe możliwości tego dźwięku. Tak rozpocznie się twoja podróż na bezdechu!” – intencjonalnie służy gołębieniu frajerów. Ale ignorancja czy interesowność nie zmienia istoty energetycznego selfizmu. Praktyki szamańskie, spirytystyczne, okultystyczne są groźne dla każdego człowieka.

Wiara w bezosobowy świat duchowy jest pułapką. Wkroczenie na tę inicjacyjną ścieżkę duchową – również przez jogę – musi się źle skończyć także dla osób nieochrzczonych, a wychowanych w kulturze Zachodu, opartej na religii niedharmicznej. Dharmiczne to budyzm, dżinizm i hinduizm.

Energetyzowanie się w piramidach chi nie zwiększa energetyczności produktów, nie przepływa tam przez nas orgon, eter, energia życiowa chi, ki ani prana. Nie ma empirycznego dowodu na ich istnienie. „Czakry Kwiat Życia Orgonit Piramida” nie harmonizuje ani nie witalizuje organizmu, nie oczyszcza też przestrzeni z negatywnej energii ani nie chroni przed szkodliwym promieniowaniem, podobnie jak stawianie misek z wodą pod trumną nie zabezpiecza przed złośliwym działaniem dusz zmarłych członków rodziny.

Szukanie mocy poza nauką i wiarą, cały ten duchowy materializm, religijny weganizm, zastępowanie chrześcijaństwa religią klimatyczną, czyli w rzeczywistości kultem Matki Ziemi, odnawianie się kultów szamańskich, politeizmów, wierzeń rodem z magla, ezocoaching i patocoaching – to wszystko jest efektem zagubienia ludzi w świecie błędnej antropologii. Zainfekowane prometeizmem elity mówią i czynią: wszystko, byle nie chrześcijaństwo.

Uniwersytet stracony, oddana w ręce rewolucjonistów szkoła, w podstawie programowej polskiego przedszkola elementy jogi. Kultura już nie jest schronieniem.

Została zatruta, kryterium prawdy znieprawione. Liczy się flow. Wszystko płynie.

„Dzieci późnej nowoczesności. Zorientowane na cel, którym jest permanentna zmiana. Kto się nie zmienia, ten wypada z gry. Życie jawi im się jako kolejny projekt do realizacji”. Gdy zaczyna się walić, zastanawiają się: czy można chcieć rozwinąć się za bardzo? Ślepi przewodnicy ślepych.

Mój dobry znajomy, który przeszedł właściwie wszystkie wymienione wyżej okultystyczne, energetyczne i ezoteryczne wtajemniczenia, który leczył, uzdrawiał, medytował, rozszerzał umysł, był już prawdziwym guru cenionym w środowisku ezo, nawrócił się, gdy zachorował najbliższy przyjaciel. Energetyzowanie nie przyniosło żadnego efektu. Może nawet nie zaczął uzdrawiać, bo w zderzeniu ze sprawami ostatecznymi zobaczył jasno, że wszystko, co w życiu zgromadził, to śmieci. Czyste, bezradne pogaństwo.

Chrześcijaństwo tworzyło w każdym z krajów, który je przyjmował, atrakcyjną ofertę kulturową i cywilizacyjną. Bliższe ludzkiej duszy wytłumaczenie sensu świata i życia ludzkiego niż wierzenia pogańskie. Nie da się człowieka zrozumieć bez Jezusa. Czemu więc dziś Polacy i Amerykanie odwracają się od Niego? Idąc drogą Francuzów, Niemców, Brytyjczyków czy Holendrów, którzy zrobili to już 10, 20 lat po soborze watykańskim II? Tydzień i dwa tygodnie temu pisałem o tym. Wola mocy.

Duchowy materializm jest jak gnoza. Wielopostaciowy, często wewnętrznie sprzeczny. Ale atrakcyjny.

Aż dziwi, że europejski rozum dał się pokonać przez nowy gnostycyzm. Ale w sumie nowożytny prometeizm jest z tej samej rodziny. Jednym słowem: hybris, pycha.

Druga reakcja pogańska. Polska się dechrystianizuje. Od 25 lat piszę o tym procesie. O nachalnym rymie między New Age a Nową Lewicą, o wielonurtowej rewolucji 1968 r., o wymianie religii na toksyczne duchowości, o zastępowaniu wiary przez wierzenia i ideologie.

Konserwatywne elity od dwóch, może trzech lat zaczynają dostrzegać problem. Życie w bańce, TO jest życie Polaków. Polska była 1000 lat chrześcijańska. Już nie będzie.



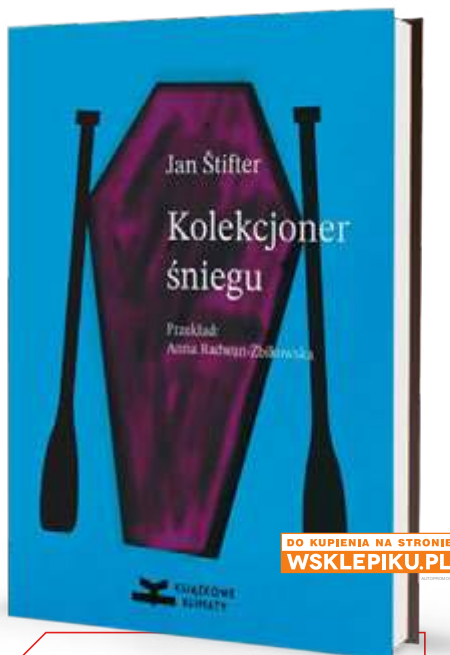
Wojciech Stanisławski

Między Budweiserem a Budvarem

Tak spletać osobiste i historyczne, tak opowiadać o śmiesznych miłościach nadal potrafią tylko Czesi

Zżymam się często na postrzeganie Czechów jako „wymarzonego typu narodu”: wolnego od wielkich uniesień (szczególnie insurekcyjnych) i przywiązań, pragmatycznego, wyrozumiałego, przechodzącego do porządku nad stratą i godzącego się z upokorzeniami. Żżymam się tym żywiej, gdy te cnoty wyobrażone są przeciwstawiane polskiej sarmackości (owszem, nieraz nieznośnej) z cichym westchnieniem „bodaj tak u nas”. Żżymam się, bo takie to ahistoryczne (gdzie niby mieliśmy sobie zafundować na własne życzenie kojącą nerwy i tłumiącą wygórowane ambicje Białą Górę – pod Kłuszynem czy Chocieniem?), bo nieraz pobrzmiwa w tym żywa niechęć do tutejszych. A w najlepszym razie jest komunalem, równie tanim i chybionym, tylko z odwrotną orientacją niż żarciki z Pepików i rechotliwe: „A wiecie, jak się mówi po czesku...?”.

Żżymam się – a jednak. Istotnie, między Budziejowicami, Protivinem a Brnem istnieje, jak się zdaje, pewien szczególnie sposób przeżywania historii, choć nie w banalnym sensie, wytęsknionym przez entuzjastów czeskiego „klidu”. Nie brak przecież nieraz nad Węltawą ani insurekcyjnego ducha, ani desperacji, ani furii. Tyle że częściej sublimują się one w determinację. Ksobność. Wytrwałość. Jakby chłodne ogniwo, śnieżny luk łączyły Czechów ze Skandynawami.



Jan Štifter, „Kolekcjoner śniegu”,
tłum. Anna Radwan-Zbikowska,
Książkowe Klimaty, 2023

A do tego – no tak, dane im było błogosławieństwo kultury mieszczańskiej, wyrosłej w XIX w. i nieprzemielonej przez późniejsze lata, i tego, co się z nią wiąże – zaradności. Powolnego budowania. A także – postawy *carpe diem*, niewymuszoności. A także – dyskrekcji, opowiadania o sprawach najbardziej dramatycznych mimochodem, półgłosem – tam, gdzie Sarmaci szliby w zaparte lub wrzeszczeli po wódce.

„Kolekcjoner śniegu” Jana Štifera jest zaskakującym połączeniem tej czeskiej duchowości dnia codziennego na kilku poziomach. Zgrabny przekładaniec lat, precel pięciu pokoleń (tylko pięciu? Tak wiele wydaje się dzielić Dominika, który pracuje na budowach i w telefonie przegląda przed snem oferty używanych audi od „chłopa z południa Czech w kolorowej koszuli i wysokich butach”, który do trumny trafił nie tylko ze świętym obrazkiem, lecz także portretem jednego z pisarzy – „budzicieli narodu”). Znalazło się w tej powieści miejsce na chłopackie zabawy, które mogą się tragicznie skończyć, i pierwszą, więc najpiękniejszą, miłość, i melancholijną rozpacz, i duszne, swojskie ciepłoko noclegowni socjalnej Šmidovny, dziwnie podobnej do sowieckich komunalek, śląskich familoków albo żydowskich czy słowackich ubogich domów czynszowych Brooklynu, gdzie wszyscy o wszystkich wiedzieli, a dzieci wychowała ulica. I na lekkość życia z dnia na dzień, i na urodę południowoczeskiej prowincji, sielankowej jak z grafiki Josefa Lady.

A o tym, co najważniejsze i najboleśniejsze – o czeskiej i niemieckiej niezgodzie, ciężkiej i zaogniającej się przez całe międzywojenne dzieje Czechosłowacji, niezgodzie, która skończyła się najpierw fascynacją Hitlerjugend i 1000-letnią Rzeszą, a potem samosądami, kolumnami wygnańców, a czasem samobójczą śmiercią – mówi się na stronach „Kolekcjonera śniegu” tak cicho,

jakby pękały banieczki gazu w świeżo nalanym budweiserze. A tak celnie, że śni się ta powieść przez kolejne dni. Jak mały Josef śnił się przez kolejne dni Dominikowi z budowy, temu, co „ma ciemnego tatę i białą mamę” i w zamrażalniku, chociaż już dorosły, trzyma

próbki śniegu z bałwanów wszystkich ubiegłych lat.

O, takiego opowiadania o niezgodzie – nie złejszej przecież i nie ładniejszej niż niezgody polsko-litewskie, polsko-żydowskie, polsko-niemieckie – opowiadania, które nie jest jak protokół

oskarżeń ani antologia plakatów, lecz jak jesienny romans, i takich bohaterów, których lubi się tak po prostu, wszystkich co do jednego, bo są zarazem pocieszni i godni litości – owszem, moglibyśmy się od Czechów wreszcie nauczyć.

Migając

„Migając” to nie jest dobry tytuł, w każdym razie na pewno gorszy od tytułu samej książki, tak dopracowanej w każdym szczególe (okładka Krystyny Kalenkiewicz!), tak uważnej, tak niespiesznej w stawianiu wniosków czy rzucaniu oskarżeń. „Migając się” mógłbym się wykpić kalamburem, podsumowującym postawy wielu ludzi i wielu instytucji, ale jakoś nie do śmiechu mi, czytając „Głuszę”.

To rzecz o nieszczęściu, którym jest brak słuchu. Waham się przed słowem „wykluczenie”, modnym, ale często zniechęcającym, bo bywają wykluczenia i dyskusyjne, i narcystycznie rozdmuchane, i źle jest, gdy empatia trafia na transparenty. Tu jednak mamy do czynienia z oczywistą, a niedostrzeganą barierą, która oddziela od reszty nas w Polsce 0,5 mln osób. Nie – seniorów z lekkim niedosłuchem, którym na plakatach reklamowych inni seniorzy, uśmiechnięci jak niemieccy emeryci na wakacjach, oferują dyskretny i niezawodny aparacik. Osób głuchych.

Czytając reportaże Anny Goc, trzeba pokonać co najmniej cztery progi.

Pierwszy, pewnie najłatwiejszy, na pewno najmniej traumatyczny, to próg zdumienia i ograniczonej wyobraźni. Być może zależy to trochę od indywidualnego usposobienia: jako wzrokowiec, doświadczający świata przede wszystkim przez wizerunki i obrazy, zawsze obawiałem się ociemniałości. Głuchota, cóż, zawsze przecież można coś napisać albo poprosić o zapisanie na kartce...

Co za bzdury miałem w głowie. Nie można. Nie można – to jednak z pierwszych scen w „Głuszy” – wezwać pogotowia dla siebie lub bliskich. Szerzej, wezwać pomocy. Nie można usłyszeć oddechu noworodka – ani klaksonu. Ani włączyć. Bardzo trudno jest opowiedzieć o swojej chorobie lekarzowi: ile można w końcu zapisać kartek?

Zapisać? To drugi poziom zdziwienia wypływającego z ignorancji: myśląc o głuchocie, wyobrażam sobie kogoś dotkniętego nią w dorosłym wieku, wykształconego i elokwentnego. Skąd mi to? Głuchymi najczęściej się rodzimy: i nie mamy szans poznać języka, którym mówią ludzie wokół nas. W ogóle. Ni w ząb. Aparat pojęciowy,

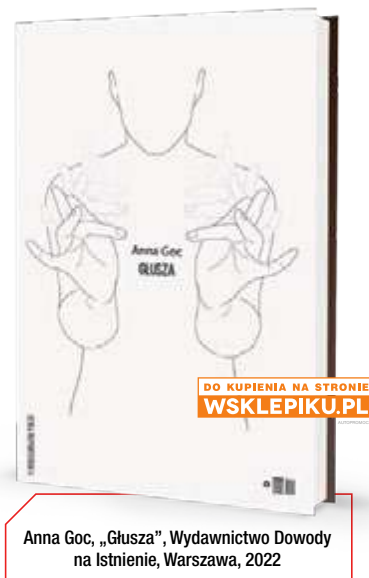
struktury gramatyczne, palety przymiotników – to wszystko jest poza nami. Nie napiszemy żadnej kartki: jesteśmy niemi, w świecie gestów i rzeczy. Owszem: są języki migowe (pod warunkiem, że masz z kim migać!). Ale jeśli ktoś go nie przyswoił lub nie miał okazji opanować? Niektórzy uczą się – trochę – czytać z ruchu warg. Inni nie.

To rodzi nie tylko oczywiste nieszczęścia, niepowodzenia, wykluczenia („Mój ojciec skończył szkołę dla głuchych, a nawet nie potrafi się podpisać”) – zawodowe, życiowe. To również samotność, na którą właściwie brakuje określeń, i pewnie najtrudniejszy z progów do pokonania w książce Anny Goc: bardzo trudno jest czytać historię o Wiktorze, który urodził się głuchy, ojciec prędko odszedł, a mama zmarła, gdy miał pięć lat. Zaopiekował się nim wujek z liczną rodziną, z której nikt nie migał. Wiktor, mając siedem lat, trafił do internatu. Był „beżjęzyczny”: nie znał ani języka polskiego, ani migowego. Znał słowo migowe „mama”. „Umiał nim zdać pytanie: »Mama?«, wyrazić smutek: »Mama...«, złość: »Mama!«, a nawet tęsknić: »Mama, mama, mama«”.

Ale o Arturze, którego niesłyszący rodzice montowali we wszystkich szafkach mieszkania zamki, bo tego nauczyło ich dzieciństwo w internacie, i który musiał wytłumaczyć mamie u lekarza, że ta ma raka, nie jest dużo łatwiej. Ani o innym internacie, w którym „dzieci się bały, nie mogły zasnąć, sikały do łóżek. A [wychowawca] przychodził i sprawdzał majtki. Jeśli były mokre, kazał je zdjąć [...], a potem obwijał wokół głowy”.

I chwila oddechu, czwarty próg, który znów jest wyzwaniem przede wszystkim dla wyobraźni: istnienie języków migowych, które rodziły się „organicznie”, ale mają swoją gramatykę, są pełnoprawnymi językami – tyle że niewidzialnymi i zarazem nieposiadającymi formy pisanej. Ba, na polonistyce UW można już studiować filologię języka migowego...

Budujące? Trochę. I tak, pewnie odchodzając w przeszłość internaty, gdzie mokra szmata lądowała na twarzy. A Wiktorza zaadoptowała Maria, też opisana w książce – i nauczyła go języka migowego, i narysowała z nim jego drzewo genealogiczne, i powiesiła mu na ścianie krzyżyk z wycieczki w góry, i podarowała mu chomiki, które Wiktor bardzo kochał. A z nami zostają – i dlatego trzeba przeczytać tę książkę – i miłość, i migowe „mama, mama, mama”, i szczypta wiedzy o tym, jak oddziela cisza.



Anna Goc, „Głusza”, Wydawnictwo Dowody na Istnienie, Warszawa, 2022

Sportowcy dla Niepodległej. **KATYŃ**

Pomordowani przez Sowietów tylko dlatego, że stanęli w obronie Ojczyzny

1 września 1939 r. Niemcy zaatakowały Polskę, a kilkanaście dni później, od wschodu, na jej terytorium wkroczyła Armia Czerwona. Niemcy i Sowieci dokonali rozbioru Rzeczypospolitej, rozpoczynając swoje krwawe rządy.

Do sowieckiej niewoli trafiło m.in. ćwierć miliona żołnierzy i oficerów Wojska Polskiego. Część szeregowych żołnierzy zwolniono, ale oficerowie Wojska Polskiego, a także tysiące policjantów, żołnierzy Korpusu Ochrony Pogranicza i więźniaków trafiło do obozów specjalnych NKWD. Jednocześnie na zajętych przez siebie terenach Sowieci dokonywali masowych aresztowań.

Wyrok na polskie elity wydał Józef Stalin. Wraz z najbliższymi współpracownikami 5 marca 1940 r. podpisał decyzję o rozstrzelaniu jeńców przebywających w obozach w Kozielsku, Starobielsku i Ostaszkowie, a także w więzieniach na terenie Ukrainy i Białorusi.

Polacy byli mordowani w kwietniu i maju 1940 r. strzałem w tył głowy, m.in. w Lesie Katyńskim, Kalininie i Charkowie. Do dziś nie są znane wszystkie miejsca, w których złożono ciała. Łączna liczba zamordowanych, podawana przez Instytut Pamięci Narodowej, wynosi 21 857.

Wśród Polaków zamordowanych wiosną 1940 r. – obok żołnierzy, policjantów i więźniaków – byli także przedstawiciele innych zawodów. Wielu z nich miało status oficerów rezerwy Wojska Polskiego i we wrześniu 1939 r. stanęło do obrony zaatakowanej Ojczyzny.

Właśnie w takiej sytuacji znaleźli się m.in. ludzie sportu. Byli wśród nich pierwsi polscy olimpijczycy, a także pionierzy, którzy jeszcze przed odzyskaniem niepodległości przez Polskę przecierali szlaki kolejnym pokoleniom reprezentantów kraju. Historycy oceniają, że ofiarą zbrodni katyńskiej padło kilkuset zawodników i działaczy. Oto historie kilkunastu z nich.

Zygfryd Wende – propagator boksu

Urodzony 1 stycznia 1903 r. w Roźdzeniu (obecnie część Katowic), jako dwudziestolatek zapisał się do sekcji bokserskiej Klubu Sportowego o6 Mysłowice. Dwa lata później wstąpił w szeregi Wojska Polskiego. Służył w 24. Pułku Piechoty w Łucku. Przełożeni dostrzegli talent Zygfryda i przenieśli go do Warszawy, gdzie szybko dołączył do elity polskich pięściarzy.

W 1928 r. Wende wstąpił do Policji Województwa Śląskiego i zasilil

sekcję bokserską Policyjnego Klubu Sportowego w Katowicach. Gdy zakończył karierę zawodniczą, pozostał w klubie jako trener. W latach 30. propagował społeczne znaczenie pięściarstwa. Jego zdaniem każdy mężczyzna powinien umieć boksować.

Na początku września 1939 r. Wende dowodził ewakuacją funkcjonariuszy policji ze Śląska na wschód. Przedostał się na Kresy, a tam, najpewniej w okolicy Tarnopola, schwytali go Sowieci. Trafił do obozu w Ostaszkowie. W kwietniu 1940 r. został zamordowany strzałem w tył głowy. Jego ciało wrzucono do dołu w Miednoje.



Zygfryd Wende w bokserskiej pozie w latach 20. Pięściarz jako jedyny reprezentował Polskę na pierwszych mistrzostwach Europy w 1925 r.

Źródło: Muzeum Sportu i Turystyki



Ministerstwo
Sportu i Turystyki

Projekt współfinansowany ze środków Ministerstwa Sportu i Turystyki w ramach Programu „Sport dla Wszystkich”



Realizator

Koloryzacja zdjęć:
Anna Marjańska



Zródło: Narodowe Archiwum Cyfrowe

Po zwycięskim meczu z Belgią w 1929 r.: z lewej, na ramionach kolegów, Roman Kazimierz Bocheński.

Roman Kazimierz Bocheński – pływak

Gdy w 1929 r. wykonano to pogodne zdjęcie, nic nie zapowiadało tragedii. Losy głównych bohaterów fotografii stały się później metaforą martyrologii Polaków po wybuchu II wojny światowej. Lejzor Szrajzman – na zdjęciu po prawej, na ramionach kolegów – zginął z rąk Niemców w getcie warszawskim. Roman Kazimierz Bocheński został zamordowany przez Sowietów.

Talent Bocheńskiego ujawnił się nieoczekiwanie latem 1928 r. Miał 20 lat, gdy zjawił się na pływalni w parku Skaryszewskim, gdzie trenowali zawodnicy warszawskiego AZS. Poprosił o zmierzenie czasu na 50 m. Uzyskany rezultat był znakomity i otworzył mu drzwi do wielkiej kariery. Przez następną dekadę udowodnił, że jest zawodnikiem wybitnym – 17 razy zostawał mistrzem Polski i 18-krotnie bił rekordy kraju.

Wiść o wybuchu II wojny światowej zastała Bocheńskiego w Monte Carlo, gdzie uczestniczył w akademickich mistrzostwach świata. Postanowił niezwłocznie wrócić do Polski. Historycy przyjmują, że znalazł się w grupie jeńców, którzy trafili do Starobielska i zostali rozstrzelani wiosną 1940 r. Charkowie.

Józef Baran-Bilewski – dyskobol i teoretyk sportu

Urodził się 4 marca 1899 r. w Racławówce niedaleko Rzeszowa. W listopadzie 1918 r. wstąpił jako ochotnik do Wojska Polskiego. Brał udział w obronie Lwowa i w wojnie polsko-bolszewickiej.

Odnosił sukcesy w kilku konkurencjach lekkoatletycznych, m.in. w pchnięciu kulą i rzucie dyskiem. Sześć razy wywalczył tytuł mistrza Polski, a 14-krotnie bił rekordy kraju. Należał do czołowych teoretyków i organizatorów polskiej lekkoatletyki w międzywojniu. Pod koniec lat 20. został instruktorem boksu i gier zespołowych. Był również współautorem licznych publikacji dotyczących metodyki sportu.

W sierpniu 1939 r. Baran-Bilewski wraz z 29. Pułkiem Artylerii Lekkiej wyruszył na front. Niespełna miesiąc później trafił do sowieckiej niewoli i obozu w Kozielsku. Został zamordowany przez Sowietów w katyńskim lesie.



Zródło: archiwum rodziny Bilewskich

Józef Baran-Bilewski trenuje przed igrzyskami w Amsterdamie w 1928 r. Jego postura wzbudzała spore zainteresowanie widzów, a także fotografów i rysowników.



Zródło: Narodowe Archiwum Cyfrowe

Zygmunt Łotocki (w środku) z Michałem Sawickim (z lewej) i Zbigniewem Kosińskim na Międzynarodowych Zawodach Łuczniczych w Warszawie w sierpniu 1932 r. Polacy wywalczyli wówczas drużynowe mistrzostwo świata, a Łotocki indywidualnie zdobył złoty medal w strzelaniu z odległości 70 m.

Zygmunt Łotocki – łucznik i literat

Był znanym poetą, członkiem grupy literackiej Kwadryga, do której należał m.in. Konstanty Ildefons Gałczyński. Fascynacja literaturą spowodowała, że Łotocki zaczął uprawiać łucznictwo – sport o wielowiekowych tradycjach, ale w nowoczesnym wydaniu.

Nazywany złotym łucznikiem Niepodległej, był nie tylko jednym z najwybitniejszych zawodników II Rzeczypospolitej, lecz także świetnym teoretykiem. W latach 1930–1936 pełnił funkcję trenera reprezentacji Polski.

Po wybuchu II wojny światowej Łotocki przebył na rowerze 300 km z Piotrkowa Trybunalskiego do Bielska Podlaskiego, gdzie dołączył do swojego pułku. Trafił do niewoli sowieckiej i został przewieziony do Kozielska. Stamtąd, między 3 kwietnia a 12 maja 1940 r., przetransportowano go wraz z innymi więźniami w głąb katyńskiego lasu. Sowietci zamordowali Łotockiego strzałem w tył głowy.



Źródło: Narodowe Archiwum Cyfrowe

Tadeusz Kowalski i Zofia Bilorówna wykonują spiralę śmierci na treningu przed mistrzostwami świata w Helsinkach w 1934 r.

Tadeusz Kowalski – łyżwiarz figurowy

Urodził się 31 maja 1894 r. we Lwowie. Służył najpierw w Legionach, a następnie w kilku formacjach artyleryjskich. Po wojnie z bolszewikami został przeniesiony do Lwowa i po kilku latach awansowany do stopnia kapitana.

Przygodę ze sportem zaczynał od piłki nożnej. Przez wiele lat (1910–1928) grał w klubie Czarni Lwów na pozycji obrońcy. W historii sportu zapisał się jednak przede wszystkim jako łyżwiarz figurowy. Był nim przez ponad 30 lat. Największe sukcesy odnosił w duecie z Zofią Bilorówną. Para w latach 1927–1935 zdobyła dziewięć z rzędu tytułów mistrza Polski, a jej popisy chętnie podziwiano również za granicą. W styczniu 1934 r. Kowalski i Bilorówna wywalczyli brązowy medal mistrzostw Europy.

Wybuch II wojny światowej przerwał niezwykle długą i bogatą karierę Kowalskiego. łyżwiarz walczył w obronie Lwowa. Aresztowany przez Sowieców, trafił do obozu w Starobielsku. Wiosną 1940 r. w Charkowie został brutalnie zamordowany przez NKWD. Od 17 czerwca 2000 r. ciało kpt. Tadeusza Kowalskiego spoczywa na Cmentarzu Ofiar Totalitaryzmu w Charkowie. Sowieci zabili nie tylko łyżwiarzkiego partnera Zofii Bilorówny, lecz także jej brata – piłkarza Henryka Bilora.

Aleksander Kowalski – hokeista

Na liście ofiar zbrodni katyńskiej znajdujemy dwóch bohaterów o tym samym nazwisku. Tadeusz Kowalski i Aleksander Kowalski dzielili zamiłowanie do łyżew, ale nie byli spokrewnieni. Urodzony 7 października 1902 r. Aleksander zapisał się w historii sportu jako jeden z czołowych hokeistów w Polsce, podstawowy zawodnik przedwojennej reprezentacji. Jako obrońcę chwalono go za opanowanie, wytrzymałość fizyczną, nienaganną technikę i grę fair play. Z kadrą dwukrotnie wystąpił na igrzyskach olimpijskich – w St. Moritz (1928) i Lake Placid (1932), a w 1929 r. zdobył wicemistrzostwo Europy.

Jako porucznik Wojska Polskiego Kowalski został zmobilizowany i we wrześniu 1939 r. wyruszył na wojnę, pozostawiając żonę i dwie córki. Do niewoli sowieckiej trafił najprawdopodobniej w Dubnie.

Tuż przed świętami Bożego Narodzenia do rodziny nadeszła kartka z Kozielska. Była to ostatnia wiadomość od Aleksandra, który kilka miesięcy później w Katyniu został zamordowany strzałem w tył głowy.



Źródło: Narodowe Archiwum Cyfrowe

Aleksander Kowalski odnosił sukcesy z reprezentacją Polski, a także jako czołowy zawodnik warszawskiego AZS. Do klubu wstąpił w 1922 r., w wieku 20 lat.



Źródło: Muzeum Powstańców Wielkopolskich w Łusowie

Uwiecznieni na fotografii Janina i Mieczysław Lewandowski poznali się w 1936 r. na pokazach lotniczych w Tęgorzcu. Organizowała je szkoła szybowcowa, położona w pobliżu kościoła, w którym odbyła się ceremonia ślubna.

Janina Lewandowska – lotniczka

W 1939 r. Janina z domu Dowbor-Muśnicka wyszła za instruktora szybowcowego Mieczysława Lewandowskiego. Ich ślub kościelny odbył się 17 sierpnia. Tego dnia, na szybowisku w Tęgorzcu, wykonano to pamiątkowe zdjęcie. Nowożeńcy nie zdążyli nawet razem zamieszkać. Rozdzielili ich wybuch wojny.

Janina była córką generała Wojska Polskiego, jednego z dowódców Powstania Wielkopolskiego. W historii zapisała się jako prekursorka żeńskiego spadochroniarstwa w Polsce. Prawdopodobnie jako pierwsza w Europie kobieta wykonała skok z wysokości 5000 m. Występ Janki – często jedynej przedstawicielki swojej płci wśród kilkudziesięciu skoczków – na ogół był największą atrakcją pokazów. Posiadała także licencję pilota sportowego i motorowego.

Po napaści ZSRS na Polskę Janina znalazła się wśród żołnierzy 3. Pułku Lotnictwa, którzy udali się w kierunku Węgier. W rejonie Husiatyna Polacy zostali otoczeni przez Sowieców. Lewandowska trafiła do obozu w Ostaszkowie, a następnie w Kozielsku. Stamtąd 20 kwietnia ruszył kolejny transport więźniów do Katynia. Dwie doby później, w dniu 32. urodzin, Janina Lewandowska została zamordowana strzałem w tył głowy.

Zdzisław Gozdawa-Kawecki – jeździec

Zdzisław Szczęsny Kawecki h. Gozdawa wykazywał się heroizmem jako żołnierz i jeździec. Walczył w wojnie przeciwko bolszewickiemu najeźdźcy. W 1936 r. w Berlinie mimo ekstremalnych warunków na hipodromie i obrażeń w wyniku upadku zdobył wraz z polską drużyną srebrny medal olimpijski we Wszechstronnym Konkursie Konia Wierzchowego.

We wrześniu 1939 r. rotmistrz Wojska Polskiego w niewyjaśnionych okolicznościach trafił do obozu w Kozielsku. Jego list z 9 lutego 1940 r. był ostatnim, jaki dotarł do rodziny. Dokładnie dwa miesiące później nazwisko Gozdawy-Kaweckiego znalazło się na liście NKWD. Na jej podstawie został on wywieziony do katyńskiego lasu i brutalnie zamordowany.



Źródło: Muzeum Katyńskie / ze zbiorów Renaty Skapskiej

Rotmistrz Zdzisław Szczęsny Gozdawa-Kawecki z pucharem Prezydenta RP w Grudziądzu w 1930 r. Jeździec wkrótce właśnie w tym mieście objął stanowisko etatowego instruktora Centrum Wyszczolenia Kawalerii. Równolegle kontynuował karierę zawodniczą.



Źródło: Narodowe Archiwum Cyfrowe

Zdzisław Dziadulski (drugi od lewej) przed wyjazdem do Nicei i Rzymu w 1924 r. Wojskowe Międzynarodowe Konkursy Hippiczne we francuskim mieście zakończyły się ogromnym sukcesem polskiego jeździectwa. Piątego dnia imprezy Polacy sięgnęli po najbardziej pożądane trofeum – Wielką Nagrodę Miasta Nicei.

Zdzisław Dziadulski – w siodle urodzony

Wywodzący się z Krakowa Zdzisław Dziadulski po I wojnie światowej zaczął uprawiać jeździectwo. Szybko dołączył do grupy olimpijskiej 1. Pułku Szwoleżerów i przez kilkanaście lat reprezentował kraj na najważniejszych międzynarodowych zawodach.

Czołowy polski jeździec wiele przeżył również na froncie. W 1914 r. jako żołnierz Legionów Polskich wziął udział we wszystkich walkach 1. Pułku Ułanów. Po odzyskaniu niepodległości podjął służbę w Wojsku Polskim. Był dwukrotnie ranny w wojnie z bolszewickim najeźdźcą, a za męstwo został odznaczony Krzyżem Virtuti Militari.

We wrześniu 1939 r. Dziadulski dowodził działaniami Warszawskiego Pułku Ułanów na Lubelszczyźnie. Po napaści Związku Sowieckiego na Polskę, w drodze na Węgry, w niewyjaśnionych okolicznościach trafił do niewoli sowieckiej. Osadzono go w obozie w Starobielsku. Wiosną 1940 r. został przewieziony do gmachu NKWD w Charkowie i zastrzelony.

Stanisław Urban – ambitny wioślarz

Polscy wioślarze na długo zapamiętali pobyt i start w Los Angeles. Dla Stanisława Urbana brązowy medal olimpijski wywalczony w 1932 r. był życiowym sukcesem.

Wyróżniający się słusznym wzrostem zawodnik braki techniczne nadrobił ambicją i wolą walki. Słyszał ze spokoju i tak istotnej w regatach wytrzymałości. Karierę sportową zakończył w 1934 r. Po kursie trenerskim zajął się szkoleniem swoich potencjalnych następców.

Gdy w 1939 r. środowisko wioślarzskie czekało na zbliżające się mistrzostwa Europy, wybuchła wojna. Urban we wrześniu bronił kraju jako podporucznik rezerwy. Następnie trafił do sowieckiej niewoli. Jego nazwisko figuruje na listach więźniów obozu w Kozielsku, przedstawionych w publikacjach Adama Moszyńskiego i Jędrzeja Tucholskiego. Przyjmuje się, że Urban został zamordowany przez NKWD w Katyniu.



Źródło: Narodowe Archiwum Cyfrowe

Wioślarska czwórka ze sternikiem na igrzyskach w Los Angeles w 1932 r. Od lewej: Edward Kobylński, Stanisław Urban, sternik Jerzy Skolimowski, Janusz Ślęzak, Jerzy Braun. Wszyscy członkowie osady walczyli w II wojnie światowej. Nie przeżył jej tylko Urban.



Zródło: Muzeum Sportu i Turystyki

SIECI

Siły fizyczne tego gracza były wprost niewyčerpane. Na przeciwnika szedł niezwykle ostro, z pojedynków prawie zawsze wychodził zwycięsko – pisała prasa o Bilorze, który występował na pozycji napastnika.

Henryk Bilor – najlepszy piłkarz Galicji

Lwowianin, uznawany przed I wojną światową za najlepszego piłkarza Galicji. Współzałożyciel klubu Czarni Lwów, a w czasie zmagania o niepodległość – żołnierz I Brygady Józefa Piłsudskiego. Razem z innymi legionistami w przerwach między walkami zbierał drużynę i grał na zaimprovizowanym boisku „piłką” zrobioną ze... starych spodni.

W listopadzie 1918 r. Bilor bronił Lwowa, potem przez lata łączył życie żołnierza i sportowca. W wolnej Polsce został jednym z animatorów piłkarskiego życia. W 1920 r. był wytypowany do kadry narodowej na igrzyska olimpijskie, jednak na przeszkodzie stanęła wojna polsko-sowiecka, w której wziął udział. Polacy nie pojechali na igrzyska, ale obronili kraj przed bolszewikami.

Wierny Czarnym Lwów, po zakończeniu kariery zawodniczej Bilor został trenerem i działaczem. We wrześniu 1939 r. po raz trzeci w swoim życiu stanął w obronie ukochanego miasta. Lwów stał się symbolem polskiej tragedii – był obleżony przez Niemców, a następnie przez Sowieców. Po kapitulacji Bilor został aresztowany i słuch po nim zaginął. Nazwisko piłkarza znalazło się na Ukraińskiej Liście Katyńskiej. Jego ciało prawdopodobnie wrzucono do dołu w lesie nieopodal Bykowni.

Marian Spojda – ulubieniec kibiców

W maju 1943 r. podczas ekshumacji przy ciele Mariana Spojdę oprócz do wodu osobistego znaleziono legitymację klubową Warty Poznań. Piłkarz z dumą reprezentował biało-zielone barwy od 15. roku życia do końca kariery, zwieńczonej mistrzostwem Polski z 1929 r. Świetnie radził sobie jako pomocnik lub lewoskrzydłowy, a jego nazwisko niemal nie schodziło z ust kibiców.

Gdy Ojczyzna była w potrzebie, poznaniak nie wahał się chwycić za broń. Walczył w Powstaniu Wielkopolskim, a chwilę później z bolszewickim najeźdźcą. We wrześniu 1939 r. ponownie przywdział żołnierski mundur. Po napadzie Sowieców wyruszył na wschód. 25 września, pod Jarmolińcami na Podolu, został wzięty do niewoli. Trafił do obozu jenieckiego w Kozielsku. 16 kwietnia 1940 r. wywieziono go do katyńskiego lasu, gdzie padł ostatni strzał.



Zródło: Narodowe Archiwum Cyfrowe

Trener Marian Spojda prowadzi wykład i przedstawia zagadnienia taktyczne. Po zakończeniu kariery sportowej 14-krotny reprezentant Polski nie rozstał się z ukochanym futbolem i został cenionym szkoleniowcem. W latach 1934–1939 był asystentem selekcjonera polskiej kadry – Józefa Kałuży.



Zródło: rocznikpiłkarski.pl

Drużyna Wisły Kraków (zdjęcie niedatowane). Franciszek Brożek siedzi w środku, z piłką. Jako bramkarz Wisły łącznie wystąpił w 68 meczach.

Franciszek Brożek – bramkarz Wisły

Kiedy w 1906 r. powstała Wisła Kraków, wstąpienie w szeregi tego klubu stało się marzeniem wielu chłopców – m.in. nastoletniego Franciszka Brożka. Chłopak najlepiej sprawdzał się w bramce, a nieprzeciętny talent sprawił, że szybko przebił się do pierwszego składu wiślaków. W drużynie pozostał do 1912 r.

Brożek walczył w I wojnie światowej. W październiku 1918 r. zaangażował się w działania Polskiej Organizacji Wojskowej, a w styczniu 1919 r. zaciągnął na ochotnika do Wojska Polskiego. Bił się na froncie ukraińskim, później walczył w wojnie polsko-bolszewickiej. Wielokrotnie ranny, był chwalony jako wzór oficera frontowego. Z armią związał się na stałe i to w niej odkrył pasję do strzelectwa. W 1924 r. wystąpił na igrzyskach olimpijskich w Paryżu w konkursie strzelania z karabinu w pozycji leżącej.

Walczył w wojnie obronnej 1939 r. i dostał się do niewoli sowieckiej. Z obozu wysłał ostatni list do najbliższych z nadzieją na rychłe spotkanie. Jednak rodziny już nigdy nie zobaczył. Nazwisko ppłk. Brożka znalazło się na listach jeńców Starobielska. Został rozstrzelany w gmachu NKWD w Charkowie wiosną 1940 r.

Julian Gruner – lekkoatleta

Pierwszy polski lekkoatleta, który odniósł zwycięstwo na zagranicznym mityngu, rekordzista i 10-krotny medalista mistrzostw Polski w rzucie oszczepem i w skoku wzwyż, pionier stylu nożycowego – trudno wyobrazić sobie rozwój polskiej lekkoatletyki bez Juliana Grunera.

Sportowiec wszechstronny: biegał, skakał, pływał, wiosłował, jeździł na nartach, grał w koszykówkę, był motocyklistą i jednym z pionierów hokeja w II RP. Z zawodu lekarz, ogromnie zaangażowany w pracę z pacjentami, równie wielką determinacją wykazywał się jako żołnierz ochotnik do

Wojska Polskiego, zasłużony w walce z bolszewicką nawałą.

Gdy 17 września 1939 r. Sowieci napadli na Polskę, Gruner sprawował pieczę nad szpitalem wojskowym w Stanisławowie. Dwa dni później, po opanowaniu miasta przez Armię Czerwoną, przed szpitalem rozegrały się dantejskie sceny. Sowiecki czołg zaczął tratować leżących przed budynkiem rannych. Kiedy doktor Gruner rzucił się im na ratunek, otrzymał cios w głowę. Tego samego dnia został wzięty do niewoli i przetransportowany do obozu w Starobielsku. Został zamordowany przez NKWD w Charkowie. Jego ciało wrzucono do dołu śmierci w Piatichatkach.



Źródło: Instytut Pamięci Narodowej / zbiory Ewy Gruner-Zarnoch

Julian Gruner podczas zawodów w rzucie oszczepem.

Kłamstwo i pamięć

*Tylko guziki nieugięte
przetrwwały śmierć świadkowie zbrodni
z głębin wychodzą na powierzchnię
jeden pomnik na ich grobie*

*są aby świadczyć Bóg policzy
i ulituje się nad nimi
lecz jak zmartwychwstać mają ciałem
kiedy są lepką cząstką ziemi*



– pisał Zbigniew Herbert w wierszu *Guziki*, poświęconym pamięci swojego kuzyna kpt. Edwarda Herberta, zamordowanego w Katyniu.

Podczas ekshumacji z dolów śmierci – oprócz przestrzeżonych czaszek i kości – wydobywano fragmenty mundurów, orderów, guzików, rzeczy osobiste, listy, dokumenty... Wśród nich – legitymację sportową Warty Poznań należącą do piłkarza Mariana Społdy, legitymację boksera Zygryda Wendego, sygnet i zegarek lekkoatlety Juliana Grunera. Za sprawą katyńskich relikwii „ponury grób zaczyna przemawiać” – jak pisał Józef Mackiewicz, świadek ekshumacji w Katyniu. *Idzie ku nam człowiek już żywy, który kiedyś żył jak inni, cieszył się, cierpiał, marzył.* Skrytobójczo zamordowani wychodzą na powierzchnię i przypominają o pozostawionym po sobie dziele życia – brutalnie prze-rwanym przez sowieckich zbrodniarzy.

Żaden z decydentów i sprawców zbrodni katyńskiej nigdy nie odpowiedział za swoje czyny. Kiedy 13 kwietnia 1943 r. Niemcy poinformowali o odkryciu masowych grobów w Katyniu, Sowieci obarczyli ich odpowiedzialnością za mord.

Kłamstwo katyńskie – fałszerstwa, manipulacje, prześladowanie rodzin, uniemożliwianie im dotarcia do prawdy oraz uczczenia pamięci pomordowanych – służyło celom politycznym Związku Sowieckiego przez kilka dekad. Dopiero po 1989 r. w Polsce możliwe stały się głoszenie prawdy o Katyniu, starania o rozpoczęcie badań, godne upamiętnienie ofiar i złożenie im należnego hołdu. ZSRS przyznał się do zbrodni dopiero w 1990 r. Jak podkreśla IPN, zbrodnia katyńska do dziś nie została uznana przez społeczność międzynarodową za zbrodnię ludobójstwa, a przez Rosję nawet za zbrodnię wojenną.

Wiosną 2023 r., w 80. rocznicę odkrycia grobów katyńskich, ukazały się książka Instytutu Łukasiewicza oraz wystawa ***Sportowcy dla Niepodległej: KATYŃ***. Opowiadają o kilkunastu sportowcach, którzy przysłużyli się swojej Ojczyźnie: budując podwaliny dyscyplin, które dziś są wizytówkami naszego sportu, reprezentując Polskę z sukcesami na międzynarodowych arenach, a przede wszystkim – stając do walki z tymi, którzy zagrażali naszej wolności i niepodległości.

Wystawa właśnie rusza w objazd po Polsce. Bezpłatne egzemplarze książki ***Sportowcy dla Niepodległej: KATYŃ*** trafią do uczniów szkół sportowych w całym kraju.

O sportowcach można przeczytać także na stronie: www.sportowcydlaniepodleglej.pl.

Brazylijskie kuszenie

Przychodzi właśnie czas, by zastąpić najstarsze samoloty latające w barwach naszego narodowego przewoźnika na średnich i krótkich trasach. Ustawia się więc kolejka chętnych, którzy zachwalają swój towar



MARCIN WIKŁO

Takie rzeczy w tym miejscu zdarzają się podobno niezwykle rzadko. Na masztach przed budynkiem biurowym fabryki Embraera w São José dos Campos powiewają obok brazylijskiej także flagi Polski i Niemiec. W tych barwach są także rozsuwane drzwi, którymi grupa zaproszonych dziennikarzy wchodzi do środka. – Olá! – słyszymy radosne „witajcie!”. Firma zajmuje dziś w światowej hierarchii lotniczej miejsce numer trzy (po amerykańskim Boeingu i francuskim Airbusie). Brazylijczycy nie ukrywają, że

zamierzają w Polsce i Niemczech zrobić dobry interes i koniecznie chcą nam o tym opowiedzieć.

CZAS DECYZJI

Wspomniane São José dos Campos jest nazywane miasteczkiem Embraera, bo to rozwój fabryki umożliwił rozwój aglomeracji. Musimy zdać sobie sprawę, że choć zdrobnienie „miasteczko” jest w skali brazylijskiej całkiem na miejscu, to jednak mówimy o miejscu, w którym żyje dziś 800 tys. ludzi.

To z tutejszych zakładów wychodzą samoloty, których największym odbiorcą w Europie, po holenderskim KLM, są Polska i Niemcy, dokładnie w tej kolejności. Właśnie teraz zarówno LOT, jak i Lufthansa szykują się do wymiany floty mniejszych maszyn. Wybór nie jest wielki, bo w segmencie tzw. samolotów wąskokadłubowych (z jednym przejściem między fotelami)

do 150 miejsc na pokładzie są w zasadzie dwa liczące się modele: Embraer 195-E2 i Airbus A220.

– Mamy 25 lat tradycji współpracy z polskim przewoźnikiem, wydaje się, że jesteśmy naturalnym i sprawdzonym partnerem w biznesie – mówi Michał Nowak, człowiek odpowiedzialny w Embraerze za rynek europejski i azjatycki. Rzeczywiście, Embraer jest dla LOT sprawdzoną marką, w polskich barwach są dzisiaj 44 brazylijskie samoloty (w barwach Lufthansy – 43), dwa z nich do niedawna były oddelegowane do przewozu państwowych VIP-ów. Prawda jest też taka, że najstarsze dzisiaj embraery w Europie latają w polskich liniach. Czas wymiany nadchodzi nieubłaganie, nic zatem dziwnego, że producent robi wszystko, by zaoferować kontrahentowi po raz kolejny swój produkt, by nie oddać pola konkurentowi z Francji.

Gdyby rozmowy rozpoczął dzisiaj, samoloty mogłyby być dostarczone



szeptem, ale właśnie w tym kontekście, mówi się tam o jesiennych wyborach w Polsce. Tam też wiedzą, że liderzy polskiej opozycji nieraz mówili, że gdy tylko przejmą władzę, projekt polskiego superlotniska wylądje w koszu.

W Brazylii zapadła decyzja, by już teraz pracować nad dobrym PR-em firmy. Pokazano nam miejsca, które zazwyczaj są tylko dostępne oficjalnym delegacjom.

O koncernie Embraer przez trzy dni opowiadali nam najważniejsi jego dyrekto-

rzy. Usłyszeliśmy o nowoczesnej firmie, która zatrudnia coraz więcej kobiet na kierowniczych stanowiskach i dba o środowisko naturalne. Angażuje się także w działania społeczne, ale przede wszystkim produkuje i sprzedaje dobre samoloty.

– Firma istnieje od 1969 r. Do tej pory dostarczyliśmy 8 tys. samolotów klientom w 100 krajach – mówił Rodrigo Silva e Souza, wiceprezes zarządu ds. marketingu.

Sala konferencyjna, którą zajęliśmy na kilkanaście spotkań z najważniejszymi dyrektorami koncernu, jest umiejscowiona na drugim piętrze hangaru. Wprost zza biurowego stołu można spojrzeć na halę, gdzie zazwyczaj stoi jakaś lśniąca, nowiutka, gotowa do wydania klientowi, maszyna. Tym razem jest to Embraer 195-E2. Samolot, który polscy klienci doskonale znają z serii E1. Pozostawiono w nim sprawdzony kadłub, zmienione są silniki i przede wszystkim skrzydła. Dzięki temu jest naprawdę świetnie wyciszony w środku i bardzo ekonomiczny. To jest brazylijska oferta dla PLL LOT.

O jej zaletach dowiadujemy się na parterze budynku, w kosmicznie wyglądającym customer experience centre (centrum obsługi klienta). To być może najważniejsze miejsce w całym kompleksie, bo to tutaj klient pierwszy raz dotyka produktu, który chcą mu sprzedać. Na obracającej się kuli ziemskiej zobaczymy, gdzie na świecie latają embraery (odповідź prawidłowa: prawie wszędzie), możemy wejść do mock-upa, czyli wiernie zrobionej makiety wnętrza samolotu, i usiąść wygodnie w fotelu. Ciekawa jest propozycja nowej biznes class, gdzie fotele nie są ustawione obok siebie, tylko naprzemiennie (staggered seats, przesunięte siedzenia), by nie dotykać się łokciami z sąsiadem.

ROSNĄCY POTENCJAŁ

Pandemia COVID-19 odcisnęła swoje piętno na branży lotniczej jak na mało którym innym sektorze gospodarki. Ale czas leczy tę ranę, linie lotnicze notują rekordowe sprzedaże, samoloty znów latają po świecie i wcale nie świecą pustkami. Po rocznym załamaniu rusza też pełną parą produkcja. W grudniu 2022 r. z fabryki w São José dos Campos wyjechały 22 samoloty. Możliwości zakładu są prawie dwa razy większe.

Zwiedzanie linii produkcyjnej to bardzo ciekawe doświadczenie, szczególnie dla kogoś, kto lubi układanki. Samolot to w istocie gigantyczne puzzle, które składają się z blisko 25 tys. części. Każda z nich musi trafić na swoje miejsce, co jest skrupulatnie odnotowywane w dziennych raportach i do zbudowania kontrolowane na kolejnych etapach. Wszystko to robią wyposażeni w komputery ludzie, udział maszyn jest ważniejszy dopiero na etapie testów wy-

jeszcze w 2024 r. Kilkanaście miesięcy na dopięcie kontraktu to standardowy termin, możliwy do przyjęcia dla obu stron. Warto zauważyć, że samolot Embraer 195-E2 kosztuje według cennika ok. 84 mln dol.

PIERWSZE KUSZENIE

Nikt tego głośno nie przyzna, ale polskie realia gospodarcze i polityczne są niezwykle istotne dla szczęśliwego finału tej transakcji. Gdzieś między wierszami pojawia się temat Centralnego Portu Komunikacyjnego, gigantycznego hubu, który ma być polską bramą na świat, ale najpierw trzeba będzie pasażerów do niego dowieźć z mniejszych lotnisk. Do takich zadań swoje samoloty najchętniej delegowałby brazylijski producent. Dlatego bez ryzyka można stwierdzić, że 10,5 tys. km od Warszawy jest spora grupa osób, które trzymają kciuki za powodzenie CPK. Jeszcze ciszej, wręcz



trzymałościowych i... malowania. W salach produkcyjnych obowiązuje ścisły zakaz robienia zdjęć. Wynika on po części z tajemnic konstrukcyjnych, a także z umów z kontrahentami. Samoloty na etapie montowania należą już do kupca, więc to on musiałby wyrazić zgodę na fotografowanie.

Embraer to nie tylko samoloty dla linii lotniczych, lecz także prywatne jety i sprzęt dla wojska. Ale jeszcze ciekawsze wydają się dalekosiężne plany Embraera. Opowieści o dronach dla ludzi dzisiaj mogą brzmieć jak fantastyka, ale właśnie dlatego w ramach koncernu powstał start-up Eve Air Mobility, spółka od ub.r. notowana na nowojorskiej giełdzie. Po polsku należałoby go nazwać pionowzłotem (VTOL – vertical take-off and landing, pojazd pionowego startu i lądowania), już został skonstruowany i to zapewne nie tylko w pracowniach brazylijskiego producenta. W 2026 r. ma być to przełom w transporcie w największych miastach świata.

Na potrzebę naszego spotkania przeprowadzono symulację w polskich realiach. Powietrzna taksówka napędzana silnikami elektrycznymi (90 proc. cichsza niż helikopter) ma mieć zasięg ok. 100 km, trasę o długości 55 km z lotniska Chopina do Centralnego Portu Komunikacyjnego pokonałaby w blisko 15 minut (samocho-dem, w zależności od korków to 35–55 minut), zabierając na pokład czterech pasażerów i bagaż. W pierwszym etapie w kokpicie będzie pilot, ale już trwają prace, by VTOL był sterowany z zewnątrz. Czy to będzie rywka tylko dla bogaczy?

– Już dzisiaj taksówka z lotniska JFK w Nowym Jorku na Manhattan kosztuje ok. 100 dol. VTOL nie będzie dużo droższy, a oszczędność czasu oczywista – tłumaczył Andre Stein, dyrektor zarządzający Eve.

NATURA DLA LUDZI

Mniej więcej godzinę drogi od São José dos Campos znajduje się naprawdę malutkie jak na miejscowe warunki, 55-tys. miasteczko Campos do Jordão.

Za bramą wjazdową wkraczamy na teren parku krajobrazowego. To zaplanowana dla gości „wycieczka po prawdziwej Brazylii”. Piękne miejsca, wysokie góry, zalesione zbocza, urokliwe uliczki osady, małe bazarki przy wodospadzie i dosyć barwny przewodnik o imieniu Natan.

– Mówię o sobie, że jestem Brasileiro (Brazylijczykiem), jestem Paulista (mieszkańcem regionu São Paulo), ale przede wszystkim jestem Jordão (mieszkańcem Campos do Jordão) – chłopak jest dumny jak paw. Jest tu

Gdzieś między wierszami pojawia się temat Centralnego Portu Komunikacyjnego, gigantycznego hubu, który ma być polską bramą na świat, ale najpierw trzeba będzie pasażerów do niego dowieźć z mniejszych lotnisk. Do takich zadań swoje samoloty najchętniej delegowałby brazylijski producent

kilka ciekawostek, np. miejsce, w którym osiedlili się przed laty pierwsi Holendrzy, a nad którym góruje okazały wiatrak. Jest też najdroższy hotel w Brazylii, pięciogwiazdkowy Botanique z wybitną restauracją Mina. Ale... czy to jest prawdziwa Brazylia? Niestety, nie.

Blżej realiów jesteśmy podczas zwiedzania szkoły Colégio Embraer Juarez Wanderley ufundowanej przez koncern. To imponująca misja, od lat podejmowana przez lotniczego potentata w kraju, w którym wciąż dużym problemem jest analfabetyzm, a na szkołę wielu, zbyt wielu dzieci po prostu nie stać. Tutaj jedynym kryterium jest test, który należy zaliczyć przed rozpoczęciem nauki. Kampus to kilka

budynków podzielonych na pracownie tematyczne. Jest też szkolna rozgłośnia radiowa i... niby-sklep, w którym odbywają się zajęcia praktyczne z kupowania i płacenia gotówką lub kartą kredytową. Jest też kilka boisk do koszykówki i piłki nożnej, niektóre zadaszone. Mimo że w Brazylii jest teraz jesień, to temperatura nawet po zmroku nie spada poniżej 25–27 st. C.

Prawdziwą Brazylię widzimy z okien samolotu, którym lecimy niespełna 100 km do São Paulo. Schodząc poniżej poziomu chmur, nie widać końca miasta. Budynki po horyzont. Podobnie z 30. piętra wieżowca, w którym mieści się gabinet Francisco Neto, prezesa zarządu Embraera. Spotykamy się tam z nim oraz numerem dwa, wiceprezesem ds. finansowych Antonio Garcia.

– My do siebie po prostu pasujemy, konkurencja jest ostra, ale mamy dla was naprawdę dobry produkt, dlaczego to nie my mielibyśmy zrobić ten deal? – mówią z rozbijającą szczerością, głęboko patrząc w oczy niemieckim i polskim dziennikarzom. Spotkanie trwa ponad godzinę, to także podobno się nie zdarza.

Potem jest jeszcze czas, by zanurzyć się w jesienne São Paulo. Zwraca uwagę oszałamiająca zieleń, mnóstwo roślin i parków w całym mieście. I jeszcze jedno – wysokie mury zwieńczone niejednokrotnie drutem kolczastym, które odgradzają okazałe rezydencje od zatłoczonych ulic. Tutaj po prostu nie jest bezpiecznie. Nawet wychodząc na Avenida Paulista, główną ulicę miasta znaną Polakom głównie z serialu z lat 80. o brazylijskich bankierach, należy uważać. Słyszymy, że lepiej zdjąć biżuterię, nie epatować zegarkami, a telefon trzymać przy sobie. Rzeczywiście, widać grupki wyrostków, które chytrze zerkają na nieważnych turystów.

Brazylia to kraj kontrastów. Bogactwo za murem, a w fawelach ubóstwo. Wielki biznes i szklane wieżowce, a u ich stóp namioty bezdomnych na ulicach. To miejsce czasem odpycha. Ale też kusi i przyciąga. Nie tylko turystów. Także wielki biznes, z którego żyją tutaj wszyscy.

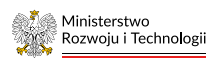
V Forum wGospodarcie.pl

Zapraszamy do śledzenia relacji i wniosków
z dorocznego cyklu debat o wyzwaniach gospodarczych,
z udziałem ekspertów oraz liderów administracji i biznesu

V edycja projektu Grupy Medialnej Fratria poświęcona jest temu

JAK TWORZYĆ I UTRZYMAĆ DOBRE WARUNKI ROZWOJU SPOŁECZNO-GOSPODARCZEGO POLSKI I EUROPY?

PATRONAT
HONOROWY:



PARTNERZY
STRATEGICZNI:



PARTNERZY
GŁÓWNI:



PARTNERZY
WSPIERAJĄCY:



Więcej informacji na www.wGospodarcie.pl/sektory/forum-wgospodarcie

Bezpieczniej w taksówce na a

Rynek taksówek na aplikacje się zmienia. Niektóre platformy skuteczniej weryfikują swoich kierowców, a rząd przyjął nowe regulacje. Czy będzie bezpieczniej?



PIOTR FILIPCZYK

Podróż, która miała zająć maksymalnie kilkanaście minut, ostatecznie trwała kilka godzin. Zamawiając w Warszawie taksówkę pod koniec 2021 r., kobieta nie spodziewała się, że kolejny rok spędzi na sali sądowej, domagając się sprawiedliwości wobec

sprawcy gwałtu. Kierowca został odnaleziony przez policję, aresztowany, a niedawno sąd wymierzył mu karę więzienia. W sądach w końcu zaczęły zapadać wyroki za napaści dokonywane w taksówkach na aplikację.

Ponad rok po tym zdarzeniu rząd przyjął i skierował do Sejmu ustawę, która ma sprawić, że takich tragedii będzie jak najmniej, najlepiej zaś, żeby nie było ich wcale. To kolejna próba uregulowania rynku przewozu osób. Czy jest wokół niej polityczny konsensus?

– Można było tak przypuszczać, chociaż postawa Koalicji Obywatelskiej w Sejmie zdaje się temu przeczyć

– powiedziała nam na początku marca Monika Dębkowska z Kancelarii Prezesa Rady Ministrów. Chodziło o obstrukcję – tak przynajmniej nazywano to w KPRM – ze strony Pawła Olszewskiego, przewodniczącego sejmowej Komisji Infrastruktury. Jego postawa miała sprawić, że ustawa nie trafiła pod obrady Sejmu już w marcu.

UBER CHCIAŁ PRZEWAGI?

Przedstawiciele KPRM twierdzą też, że zrobili wszystko, co trzeba, by przeanalizować argumenty firm. Kłóci się to z wypowiedziami przedstawicieli



plikację?

Foto: Shutterstock

Ubera, którzy twierdzili, że niektóre z ich zaproszeń do dyskusji o tym, jak lepiej chronić pasażerów, zostały bez odpowiedzi ze strony rządu (tak mówiła cytowana 1 marca przez Onet.pl Iwona Kruk, rzeczniczka firmy).

– Wysłuchaliśmy wszystkich firm, odbyły się m.in. dwa spotkania z przedstawicielami Ubera. Niestety, firma chciała przy okazji tej potrzebnej nowelizacji wprowadzić także rozwiązania, które dałyby jej przewagę nad konkurencją, i na te nie mogliśmy się zgodzić – poinformowała nas Monika Dębowska.

9 marca Uber zapewnił nas, że proponowane przez rząd zmiany firma ocenia bardzo dobrze i że są one zdecydowanie działaniem w dobrym kierunku.

Zacznijmy jednak od początku. Model biznesowy stworzony przez Ubera był częścią wielkiej rewolucji w mobilności. Markę budowano w oparciu o historię z życia wziętą (założyciele firmy

wpadli na swój pomysł, gdy blakali się zziębnięci po zaśniewanym Paryżu, bo nie mogli złapać taksówki) i modne idee za nią stojące (nowoczesność, swoboda, oszczędność czasu, współdzielona mobilność itd.). Pomysł był prosty: aplikacja na smartfona, dzięki której ci, chcący kogoś podwieźć, mogli skontaktować się z tymi, chcącymi być podwiezieni. Żadnych licencji, kogutów, biurokracji i korporacji.

Szybki rozwój tego rynku stworzył konkurencję dla tradycyjnego, zabetonowanego rynku taksówek. Z korzyścią dla pasażerów, bo ludzie coraz chętniej wybierali nową formę miejskiego transportu ze z góry znanymi kosztem i trasą przejazdu zamiast coraz droższych „taryf”, w których trzeba było płacić za trzaśnięcie drzwiami i niezaplanowane „zwiedzanie miasta”. Nie mówiąc już o podwóźnie spod dworca, której końcowy koszt potrafił mocno zszokować pasażera.

RYNEK NA PIĘĆ MILIARDÓW

Według ostatniego raportu Zespołu Doradców Gospodarczych TOR nasz rodzimy rynek przewozów osób realizowanych za pomocą aplikacji z roku na rok dynamicznie rośnie. W 2022 r. jego wartość wyniosła 2,5 mld zł, a liczba przejazdów sięgnęła 112 mln. Z kolei w 2025 r. jego wartość ma wynieść prawie 5 mld zł. Jednak intensywny rozwój rynku powoduje też problemy. Czysta statystyka. Im większy jest rynek i im więcej ludzi w nim działa, tym większe prawdopodobieństwo nieprawidłowości i anomalii. Problemy z bezpieczeństwem zaczęły trapić branżę przewozu osób na całym świecie, więc kwestią czasu było pojawienie się ich w Polsce.

Państwa i instytucje ponadnarodowe, jak Unia Europejska, próbowały i próbują coraz aktywniej regulować przejazdy na aplikację. Wydaje się, że z powodzeniem, ponieważ rynek przejazdów pasażerskich jest dzisiaj o wiele bardziej ucywilizowany niż jeszcze kilka lat temu. W Polsce, by pracować jako kierowca Ubera, Bolta czy Free Now, trzeba dziś mieć licencję taksówkarską, zrobić badania i przedstawić zaświadczenie o niekaralności. Taksówki

na aplikację w zasadzie nie powinny różnić się wyglądem od tych tradycyjnych – na dachu łśni kogut, drzwi zdobi numer pojazdu i herb miasta.

PRAWO I PRAKTYKA

Skąd więc doniesienia o nieprawidłowościach i konieczność kolejnych zmian legislacyjnych? Ano przede wszystkim stąd, że litera prawa nie bardzo idzie w parze z praktyką. Największym problemem pozostawała kwestia weryfikacji kierowców. W przepisach prawa brakowało wyraźnego obowiązku dotyczącego wszystkich pośredników.

Rozmawiamy z kierowcą taksówki na aplikację jeżdżącym po Trójmieście. – Z tego, co rozmawiałem, to zdarzają się przypadki osób, które dopiero co przyjeżdżają do miasta, żeby zacząć jeździć, i znajdują się firmy, które mówią mu: skoro masz podstawowe dokumenty, to jedziesz. Nikt nie sprawdza ani psychotestów, ani lekarskich. Tylko chyba niekaralność. W Uberze, jeśli ktoś chce być w 100 proc. legitny, to po prostu zapłaci na rzecz firmy niższą prowizję. I jak dodaje: – Najbardziej wkurza mnie to, że kilku nieuczciwych delikwentów psuje opinie wszystkim kierowcom.

– Miałem kolizję z Uberem, to policja nawet nie mogła znaleźć człowieka. Zjechaliśmy razem z jezdni, żeby nie blokować drogi, ja czekam, wezwałem policję, a on w długą. Policja przyjechała, a jego nie ma. Później mi przysłali, że nie można go znaleźć. Policja nie może znaleźć! Machnąłem ręką, bo nie było wielkich szkód, wycenili mi na 800 zł. Chciałem zapłacić adwokatowi, bo to mogło zaboć Ubera, gdyby i oni musieli zapłacić adwokatowi. Ale machnąłem ręką, bo tu przecież chodzi o mój czas, a nie wiem, ile to by trwało – mówi nam kierowca jeżdżący taksówką na aplikację w Trójmieście.

Inny przykład. Dla jednej z firm tego typu pracuje kierowca, który miał pecha i spowodował kolizję ze stojącą w korku czarną limuzyną. Traf chciał, że podróżował nią... minister infrastruktury Andrzej Adamczyk. Media informowały, że kierowca jest obcokrajowcem i że za niedostosowanie prędkości do warunków drogowych dostał 2 tys. zł mandatu. W stołecznej policji

dowiedzieliśmy się, że kierowca przyjął mandat, więc z punktu widzenia mundurowych sprawa została zamknięta. Nikt nie sprawdzał, czy kierowca miał wszystkie uprawnienia, konieczne, żeby wykonywać tę pracę.

„Ze względu na przepisy prawa nie możemy udzielać publicznie informacji na temat poszczególnych kierowców. W przypadku sytuacji budzących wątpliwości co do ich zgodności z prawem, takich jak kolizje, Uber jako jedyna platforma na rynku posiada specjalny zespół, który współpracuje z właściwymi organami i na ich życzenie udziela im odpowiednich informacji” – poinformowało nas biuro prasowe Ubera.

DZIURAWA SAMOREGULACJA

Kiedy w ub.r. media zaczęły donosić o przypadkach gwałtów w taksówkach, firmy zarządzające aplikacjami zapowiedziały samoregulację. Uber twierdzi, że weryfikuje zaświadczenia o niekaralności, dokumenty dotyczące stanu zdrowia czy psychotesty, jednak nie jest to twardy wymóg. Bolt poszedł dalej, bo oprócz tego zażądał też od swoich kierowców licencji na wszystkie gminy, gdzie szofer albo firma zatrudniająca kierowców chce świadczyć swoje usługi, wypisów z licencji na każdy pojazd, identyfikatora kierowcy taxi, a także zdjęć auta z „kogutem” i numerem bocznym na drzwiach oraz tablicy rejestracyjnej samochodu. Zarówno Uber, jak i Bolt otwierają punkty weryfikacji kierowców (punkt Ubera działa już w Warszawie, firma zapowiedziała otwarcie kolejnych w Poznaniu i Krakowie, Bolt zapowiedział stworzenie aż 28 punktów). To tam mają stawiać się osobiście kierowcy, by potwierdzić, że oni to oni, a ich dokumenty są autentyczne. Uber na początku marca zaczął zachęcać swoich kierowców pobieraniem mniejszej o połowę prowizji za dostarczenie dodatkowych dokumentów do weryfikacji. Pytamy, o co chodzi z propozycją dla kierowców, którzy mogą zmniejszyć wysokość prowizji na rzecz firmy z 33 proc. na 16 proc. jeśli do-

dadzą brakujące dokumenty. Czy oznacza to, że są kierowcy, którzy jeżdżą bez brakujących dokumentów?

„Uber jako pośrednik przy przewozie osób jest zobligowany do współpracy wyłącznie z przedsiębiorcami, którzy posiadają licencję taxi. W trosce o bez-

W Polsce, by pracować jako kierowca Ubera, Bolta czy Free Now trzeba dziś mieć licencję taksówkarską, zrobić badania i przedstawić zaświadczenie o niekaralności. Taksówki na aplikację w zasadzie nie powinny różnić się wyglądem od tych tradycyjnych – na dachu lśni kogut, drzwi ozdobi numer pojazdu i herb miasta

pieczeństwo w momencie zakładania konta w aplikacji od kierowcy jest wymagane dodanie dokumentów, m.in.: prawa jazdy, dowodu lub paszportu czy zaświadczenia o niekaralności. Dodatkowe dokumenty, takie jak choćby wypis z licencji taxi przedsiębiorcy, są w założeniu ustawy po stronie przedsiębiorcy, dlatego dotychczas część kierowców, mimo iż posiada wszystkie dokumenty i uprawnienia, nie dodawała ich do aplikacji. Widząc trwającą dyskusję i planowane zmiany w ustawie, zachęcamy kierowców do dodawania dodatkowych dokumentów” – informuje biuro prasowe Ubera.

Kierowcy mówią, że w ostatnim czasie rzeczywiście sytuacja mocno się poprawia. Jeden z nich opowiada: – Sporo się zmieniło. Kazali mi zweryfikować o wiele więcej kwitów. Pytali, czy mam identyfikator, ważny wypis, no i musiałem robić zdjęcia samochodu z oznaczeniami. Nie mówiąc już o tym, że co jakiś czas muszę sobie zrobić zdjęcie, żeby mogli stwierdzić, że ja to ja.

Żeby zacząć pracować jako kierowca, teoretycznie trzeba więc zrobić całkiem sporo. Wystarczy przejrzeć internet, by dostrzec, że jakieś furtki są.

„Wydaje się dużo?” – czytamy na jednym z forów dla kierowców w wątku o formalnościach, które należy dopełnić, by rozpocząć pracę na aplikacjach. „Zawsze możesz iść do partnera i on zajmie się wszystkim. Czasem wystarczy 1–2 dni, byś mógł jeździć jako kierowca taxi”.

Nasze rozmowy z partnerami firm przewozowych potwierdzają, że co nieco da się przyspieszyć. Dokumenty trzeba mieć, ale nie trzeba ich przynosić osobiście. Wystarczy mejl. Czy ktoś to będzie weryfikował? Zapewniają, że tak. A co, jeśli ktoś nie ma wszystkich papierów? Trzeba mieć wszystkie. Ale nie trzeba przychodzić na miejsce. Wystarczy wysłać wszystko mejlem. Kiedy będziemy mogli zacząć pracę? Za dwa tygodnie. Może uda się za tydzień. A jutro? Nie, jutro nie, to przesada.

FAŁSZYWA TOŻSAMOŚĆ

Sprawa napaści seksualnych w taksówkach na aplikacje stała się – jak wszystko w Polsce – polityczna. Głosem opozycji została warszawska posłanka Platformy Obywatelskiej Aleksandra Gajewska, rząd reprezentuje minister cyfryzacji Janusz Cieszyński. Gajewska zarzuca Cieszyńskiemu opieszałość, Cieszyński Gajewskiej – manipulację. Przypomina też, że to Platforma Obywatelska wpuściła Ubera i spółkę do Polski, pozwalając im działać bez żadnych reguł.

– Po pierwsze, koniec ze zdalną rejestracją. Każdy, kto będzie chciał pracować w takiej taksówce, będzie musiał osobiście dostarczać swoje aktualne zdjęcie. Po drugie, aplikacja będzie w trakcie przejazdu weryfikowała, kto jest za kierownicą, tak byśmy mieli pewność, że jest to ta sama osoba, na którą jest zarejestrowana. Po trzecie, zwiększamy kary. Najwyższa kwota sięga nawet 1 mln zł. To jest dobra i potrzebna ustawa – tłumaczył najważniejsze elementy nowelizacji ustawy o ruchu drogowym Janusz Cieszyński.

Podczas posiedzenia sejmowej Komisji Infrastruktury, kiedy odbyło się pierwsze czytanie nowelizacji, Cieszyński przekonywał, że gdyby proponowane dziś metody weryfikacji tożsamości kierowcy obowiązywały w czasie, gdy dochodziło do napaści seksualnych w taksówkach na aplikację, tych tragedii po prostu by uniknięto. „Z ustaleń wynika, że osoby, które się tych przestępstw dopuściły, to były osoby posługujące się fałszywą tożsamością. Czyli za kierowcą siedziała inna osoba niż ta, na którą ta aplikacja była zarejestrowana” – mówił minister cyfryzacji.

Inne zmiany? Jeśli kierowca ma polskie prawo jazdy, firma będzie musiała sprawdzić autentyczność dokumentu w rządowej wyszukiwarce Centralnej Ewidencji Pojazdów i Kierowców. Firmy będą miały obowiązek przechowywania wizerunku swoich kierowców przez pięć lat. Weryfikacja, czy kurs jest faktycznie wykonywany przez osobę, której go zlecono, będzie losowa i wyko-

nywana nie rzadziej niż raz na 100 przewozów. Bez weryfikacji – nie będzie żadnego kursu.

W nowelizacji jest także ważna regulacja zakładająca, że firmy będą mogły wymieniać się między sobą danymi kierowców. Jeśli komuś zablokują konto za nieodpowiednie zachowanie bądź niedopełnienie formalności.

Wszyscy uczestnicy rynku przewozu osób już przygotowują się do nowych przepisów i kontynuują proces samoregulacji. Dla przykładu, w ostatnim czasie Bolt mówił o tym, że zablokował dostęp 8 tys. kierowców, którzy nie mogli lub nie chcieli spełnić nowych warunków stawianych przez firmę. Część pokornie stanęła w kolejkach do okienek w wydziałach komunikacji, żeby wyrobić dodatkowe dokumenty, i powoli wraca na tę platformę. Jak poinformowała nas Martyna Kurkowska z Bolt, stało się tak w przypadku ok. 30 proc. kierowców. Reszta została lub zostanie trwale zablokowana. Problem

w tym, że kierowcy często korzystają z więcej niż jednej aplikacji i nie jest tajemnicą, że owa reszta nie zniknęła z rynku. Prawdopodobnie jeżdżą dzięki zleceniom z innych platform.

– W tym momencie nie mam pewności, czy takie osoby nie wykorzystają innych rozwiązań do świadczenia usług przewozowych dostępnych na rynku. Naszą intencją jest eliminowanie nierzetelnych osób z rynku, dlatego postulujemy zmiany w prawie – przyznaje Kurkowska. Według Bolta powinny one iść nawet dalej, niż zakłada to rządowy projekt.

– Widzimy potrzebę dalszego zaostreżenia wymogów określonych w projekcie o nałożony na pośredników wymóg weryfikacji identyfikatora kierowcy taksówki (w miastach, w których obowiązuje) oraz wypisu z licencji, czyli dokumentów wydawanych przez samorządy, poświadczających uprawnienia do świadczenia usług przewozu osób taksówką – mówi przedstawicielka firmy.

REKLAMA



SALTUS
UBEZPIECZENIA

Ubezpieczenie na Życie **SALTUS – Moje ŻYCIE**

Chroń życie Swoje i Swojej rodziny.

Oferta dostępna dla Członków Spółdzielczych Kas

saltus.pl

NOWOŚĆ

Na szczęście są Ubezpieczenia!

eprasa.pl 32aa3cbae0



Polskie lasy mają się bardzo dobrze

Mimo odpowiadania na rynkowe zapotrzebowanie na drewno, lasów w Polsce przybywa, a ich kondycja bardzo dobrze prezentuje się na tle innych europejskich krajów. Pozyskanie drewna odbywa się zgodnie z planem i bez uszczerbku dla przyrody – obecnie to jeden ze strategicznych surowców, w pełni odnawialny

Fot. Shutterstock

Polskie lasy zaliczają się do czołówki europejskiej pod względem zasobności (czyli ilości drewna na jednostce powierzchni lub prościej – liczby i rozmiaru drzew). Zasoby drewna to ponad 2 mld m³! Taki stan zawdzięczamy położeniu w strefie klimatu umiarkowanego, a także konsekwentnie prowadzonej polityce leśnej. Drewno, które pozyskuje się w ciągu roku, to jedynie ok. 2 proc. tego, co rośnie w lasach, przez co stale zwiększa się zasobność polskich lasów. Dzieje się tak mimo prowadzonych w lasach prac gospodarczych i milionów metrów sześciennych drewna, które rokrocznie pod różną postacią trafia do polskich domów. Zasobność jest dziś trzykrotnie wyższa niż po zakończeniu wojny!

Ponadto Polska ma imponującą lesistość. To nic innego jak wskaźnik, który określa stopień pokrycia danej powierzchni przez las. Jest podawany w procentach, które obrazują stosunek powierzchni porośniętej lasami do całkowitej powierzchni danego obszaru. Obecnie lesistość Polski wynosi 29,6 proc., co oznacza, że lasy zajmują niemal trzecią część kraju. Nie zawsze tak było. W 1946 r. wskaźnik ten wynosił zaledwie 20,8 proc. Dzięki staraniom leśników powierzchnia lasów w Polsce wzrosła niemal o połowę! Takiego skokowego wzrostu lesistości nie ma na koncie żadne państwo Europy.

ZGODNIE Z PLANEM

Od prawie 100 lat leśnicy w myśl zasad zrównoważonej i wielofunkcyjnej gospodarki leśnej dbają o polskie lasy. Podstawowym dokumentem, na podstawie którego nadleśnictwa prowadzą gospodarkę leśną, jest plan urządzenia lasu, zatwierdzany przez ministra właściwego ds. środowiska. Powstaje raz na 10 lat, zawiera szczegółowy opis i ocenę stanu lasu oraz cele, zadania i sposoby prowadzenia gospodarki leśnej z uwzględnieniem m.in. zasad hodowli i użytkowania lasu, ochrony przyrody, krajobrazu czy różnorodności biologicznej. Opracowanie tego dokumentu jest złożonym procesem, w który jest zaangażowanych wielu specjalistów i naukowców, oraz trwa około trzech lat. Na każdym etapie jego powstawania jest zapewniony udział strony społecznej.

Po wejściu w życie planu w danym nadleśnictwie pozyskiwanie drewna odbywa się tam ściśle według określonych w nim limitów i w ściśle określonych miejscach. Nie ma możliwości wzrostu pozyskania drewna, bo zmieniła się koniunktura gospodarcza czy wzrosły ceny. Dlatego nie występuje w Polsce zjawisko masowych wycinek, jak często się to rozpowszechnia w mediach. To planowe pozyskanie, określone często 10 lat temu i zatwierdzone przez ówczesne kierownictwo ministerstwa na podstawie opracowań ekspertów i danych naukowych.

Polscy leśnicy dbają o zrównoważoną i wielofunkcyjną gospodarkę leśną, tak by polskiej gospodarce nie brakowało drewna, a Polakom lasów, gdzie mogą odpocząć. Działają tak od dziesięcioleci i to dzięki nim leśne tereny z roku na rok się zwiększają, a lasy są w coraz lepszej kondycji.



Lasy Państwowe

CENY DREWNA

Obecne ceny drewna zostały wykreowane przez przedstawicieli przemysłu drzewnego, którzy biorą udział w procedurach aukcyjnych. Ostateczne ceny drewna to kwoty, jakie chcą za nie zapłacić przedsiębiorcy. Lasy Państwowe nie odpowiadają za ich wysokość. Mimo wzrostu cen drewna na rynkach światowych ceny ofertowe jednostek PGL LP są niskie. Od wielu lat utrzymują się praktycznie na stałym poziomie. Dyskusja o tym, że LP podyktowały ceny, jest próbą uwiarygodnienia w oczach opinii publicznej wzrostu cen towarów, która nie zależy od ceny surowca lub zależy tylko w pewnym stopniu.

Zasady sprzedaży drewna w Lasach Państwowych funkcjonują od 2009 r. zasadniczo w stałej i niezmiennionej formie. W ub.r. zmieniły się jedynie nieznacznie proporcje, w jakich drewno jest kierowane do sprzedaży w portalu leśno-drewnnym (70 proc.) i na aukcjach systemowych (30 proc.). Zwiększenie puli na aukcje systemowe wpływa na poprawę konkurencyjności na rynku. To konieczny warunek, by umożliwić wejście na rynek nowym krajowym nabywcom i tym, którzy chcą rozwijać swoją działalność. Działanie to jest zgodne z wytycznymi UOKiK, na podstawie wyroku sądu.

Z EKSPORTEM DO CHIN LASY PAŃSTWOWE NIE MAJĄ NIC WSPÓLNEGO

Drewno to ekologiczny i w pełni odnawialny surowiec. Jego głównym dostawcą do polskich przedsiębiorców i odbiorców indywidualnych są Lasy Państwowe. Często zarzuca się leśnikom masową wyprzedaż drewna do Chin. Czy słusznie? Ani trochę. Lasy Państwowe nie eksportują drewna do Chin ani do żadnego innego kraju na świecie, ponieważ w ogóle nie zajmują się eksportem tego surowca. Jest on sprzedawany legalnie działającym w Polsce podmiotom gospodarczym, w bardzo niewielkiej części również tym, które zostały zarejestrowane za granicą. To ok. 20 firm z Unii Europejskiej spośród 7 tys. kontrahentów figurujących w bazie klientów. Warto przypomnieć, że zasada swobodnego przepływu towarów i usług pochodzących z państw członkowskich leży u podstaw funkcjonowania UE. Od kilkunastu lat Lasy Państwowe posługują się w procesie sprzedaży specjalnymi narzędziami informatycznymi, które zapewniają transparentność wszystkich procedur i bezstronność przy wyborze kontrahentów. To, co robią z drewnem jego nabywcy, pozostaje ich indywidualną decyzją. Czy nabywca je wyeksportuje, czy przerobi na miejscu i w jakim stopniu to robi – to jego autonomiczne prawo, w które nie można ingerować. W tym obszarze zachodzi niemal dokładnie taka relacja jak między sklepem a kupującym. Gdy klient odchodzi od kasy, nikt nie ma prawa ingerować w to,

co stanie się z zawartością jego koszyka. Jeśli będzie chciał ją wyeksportować za granicę, kwestia ta zostanie przedmiotem zainteresowania służb celno-skarbowych, a nie sklepu. Wolność wyboru i możliwość podejmowania niezależnych decyzji leży u podstaw każdego demokratycznego państwa.

LENA GÓRA

AKTORKA

W drodze

Jej życie przypomina scenariusz filmowy. Chwilami zaskakujący. Oto 16-latka, wychowywana przez dwoje artystów – malarza Sławomira Górę i wokalistkę trójmiejskiego zespołu Pancerne Rowery Elę „Malwinę” Górę – przeprowadza się do Londynu, bo chce grać w teatrze. Po czterech la-

tach wyrusza do Nowego Jorku, gdzie studiuje w American Academy of Dramatic Arts, występuje w teatralnych produkcjach i zostaje przyjęta do prestiżowego Actors Studio.

Ma 22 lata, z tego dwa spędzone w Nowym Jorku, gdy dociera do Los Angeles. Trafia tam na kolejne filmowe plany, próbując także sił w pisaniu scenariuszy i w reżyserii. Spełnia swój american dream, ale jest też otwarta na aktorskie zadania w kraju, z którego wyjechała w świat.

Polska widownia kojarzy ją z rolą Anny Ziemińskiej w serialu Canal+ „Król” oraz Justyny z produkcji Netfliksa „Noc w przedszkolu”. Niedawno premierę miał film „Święty”, w którym stworzyła pierwszoplanową kobiecą postać – pięknej i niejednoznacznej żony głównego bohatera, oficera milicji (akcja dzieje się w 1986 r.).

Teraz do polskich kin wchodzi, wyprodukowany przez Wima Wendersa, film, w którym zagrała główną rolę (jest też wraz z reżyserem współautorką scenariusza). Pełnometrażowy debiut fabularny Michała Chmielewskiego – „Roving Woman” – został luźno zainspirowany tajemniczym zniknięciem artystki Connie Converse w latach 70. Twórcy filmu podkreślają, że najbardziej fascynowali ich w historii bohaterki „ten niezarejestrowany nigdzie czas, który spędziła w drodze”.

Gdy pytam, jak wyglądała dotąd droga Leny Góry, gdzie jest dziś jej miejsce, słyszę: – Długo to było „nigdzie”. Byłam balonikiem, który tułał się po całym świecie. Teraz kursuję głównie między Stanami Zjednoczonymi a Polską, ale też nadal jest trochę tak, że to moje miejsce znajduje się w samochodzie, który porusza się szybko i sprawnie, dając mi poczucie bezpieczeństwa. Czasami mam wrażenie, że samochód jest dla mnie tym, czym skorupa dla żółwia.

W samochodzie bezpieczną przestrzeń odnajduje też bohaterka „Roving Woman”. Za to na zewnątrz mogą na nią czekać niespodziewane sytuacje i dziwni, czasem niebezpieczni ludzie pustyni.

Jak podkreśla Lena Góra – realizując swój projekt w duchu prawdziwego kina niezależnego, twórcy filmu dosłownie podążali za ekranową Sarą. Odnajdywali w jej doświadczeniach i reakcjach zarówno lęk i samotność, jak i dowcip oraz poczucie wolności. Nie brakło też „mystycyzmu tego, co ją spotyka w drodze”.

Ważną przestrzenią filmu „Roving Woman” jest pustynia – nieprzeniknione miejsce, w którym dużo można odnaleźć. Piaszczyste bezdroża Kalifornii fascynują też aktorkę prywatnie. Lena Góra, docenia je na równi z szeroką perspektywą wody oraz umiarkowanie ciepłym klimatem rejonu USA, który wciąż chętnie odwiedza. Z kolei spokój, a także woda – dostępna zarówno latem, jak i zimą (co cieszy osobę praktykującą morsowanie) – kojarzą jej się z Sopotem, w którym dawno nie była, a za którym tęskni.

W ostatnim czasie, jak mówi, coraz bardziej domem staje się dla niej Warszawa. Lubi przepływającą przez miasto rzekę. Szczególnie jej mniej uporządkowane praskie brzegi.

Gdyby mogła wsiąść w samochód i pojechać przed siebie, wybrałaby podróż po Europie. Przyznaje, że bardzo mało zna ten rejon świata. Jej dotychczasowe doświadczenia z europejskimi szlakami nie są imponujące, choć dwa razy zdarzyło jej się pokonać ciekawą i nieoczywistą trasę: Żory–Rzym–Żory.

Jolanta Gajda-Zadworna

Fot. Niemiec/ACPA, materiały prasowe



SŁODKO-SŁONY

Liściówka

ANNA MONICKA

Zaraz wystartuje pełną parą sezon na nowalijki i znów w moim zieleniaku najczęstszym pytaniem do klientów będzie: „A liście ukręcemy?”. I większość pewnie odpowie „tak”. „Bo co ja z nimi zrobię?”. A właściciel naszego osiedlowego sklepu nakarmi zieleniną swoje kury i króliki. Tymczasem natki trochę szkoda się pozbywać. Ładne, niepryskane liście można z powodzeniem wykorzystywać. Na pesto, czyli gęsty i pożywny sos, który można zjeść z bagietką lub makaronem, a także na wiosenną witaminową zupę. Ważne tylko, żeby rzeczywiście pochodziły z pewnego źródła.

Na taką zupę najlepiej nadają się liście rzodkiewek. Przygotowuje się ją podobnie jak botwinę. Na początek zieleninę z trzech pięczków trzeba dokładnie umyć – najlepiej w lekko osolonej zimnej wodzie. Warto zaopatrzyć się w małą ostrą szcztokę, którą można wyszorować także młode korzenie marchewek czy pietruszek, a nawet pierwsze ziemniaki. Potem – pokroić w paseczki i poddusić na oliwie razem z czosnkiem, cebulą i porem. Powinny zmęknąć, a pozostałe warzywa się zeszklić, ale nie przypalić, bo zupa zrobi się gorzka. W osobnym garnuszku gotujemy bulion warzywny na włoszczyźnie i kilku ziemniakach, odcedzamy warzywa, i dodajemy do niego podduszone liście, chwilę gotujemy i miksujemy na gładko. Jeśli jest za rzadka – zagęszczamy ziemniakami. Doprawiamy do smaku solą i pieprzem, a jeśli chcemy, żeby była bardziej pikantna – odrobiną chrzanu (naszego lub wasabi).

Kalarepkowa jest słodsza i delikatniejsza. Podduszamy cebulkę, a potem dodajemy do niej obrane ze skórki i pokrojone w kostkę trzy kalarepki oraz paseczki dobrze wyszorowanych liści (trzeba z nich wyciąć najpierw lykowatą żyłkę). Zalewamy litrem bulionu warzywnego (dobrze, żeby był w nim gotowany także lubczyk) i kilka minut gotujemy. Zabelamy jogurtem lub śmietanką i podajemy z młodymi ziemniakami oraz dużą ilością koperku. Zupę można zagęścić mąką lub zasmażką, ale wtedy będzie cięższa i moim zdaniem mniej smaczna, a na pewno mniej wiosenna. 



WILCZYM OKIEM

Ulubiony ptak króla Jagielly

PRZEMYSŁAW BARSZCZ

Przyroda nieraz, już od czasów biblijnych i mitycznych, zapisywała się w historii. Rzadko jednak dawne kroniki uwieczniały jedno drobne stworzenie. Z naszej polskiej historii można przytoczyć Władysława Łokietka i pajaka, który swoją siecią zasnul wejście do jaskini, będącej kryjówką przyszłego króla Polski przed pogonią. Uwzględniając rozmaite przesłanki, w tym lokalizację jaskini w Ojcowskim Parku Narodowym, w której według legendy doszło do tego zdarzenia, mógł to być sieciarz jaskiniowy *Meta menardi*, nasz najbardziej jadowity pajak (za wyjątkiem osób uczulonych ukąszenie nie jest groźne dla człowieka, lecz bardzo bolesne).

Z nieco późniejszych czasów zachował się opis autorstwa Jana Długosza przedstawiający historię, która niewątpliwie miała miejsce, i upamiętniający drobnego ptaka. Zacytujmy słowa, przypomniane przez prof. Andrzeja Nowaka, którymi Długosz opisał tę sytuację. Otóż Władysław Jagiello, wybierając się do Lwowa w celu odebrania hołdu od wojewody Mołdawii, po drodze „udał się do lasów, by nasycić uszy słodkim, pełnym czaru dźwiękiem, by słuchać śpiewu słowika”.

Ponieważ wiadomo, że Jagiello słuchał słowika w Medyce, Długoszowski opis można uzupełnić informacją, że był to najprawdopodobniej słowik szary *Luscinia luscinia*. W Polsce występują bowiem dwa gatunki słowików: słowik szary właśnie, zajmujący większość kraju i szczególnie częsty w jego wschodniej części, oraz słowik rdzawy *Luscinia megarhynchos*, spotykany na zachodzie i południowym zachodzie Polski.

Śpiew słowika, któremu swój czas poświęcał król, to jedna z tych prawie baśniowych emanacji przyrody, których trzeba doświadczyć. Kto nie zna słowika – z literatury czy języka – a kto, tak jak król Jagiello, słuchał jego śpiewu wiosenną nocą?

Obecnie słowiki wracają z zimowisk. Niedługo zajmą terytoria i w maju zaczną śpiewać. Gdzie i kiedy ich nasłuchiwać?

Idealnym czasem jest majowy, pogodny, późny wieczór i następująca po nim noc, w porze kiedy zaczyna kwitnąć czeremcha. A najlepsze miejsce na poszukiwanie słowików to zarośnięte brzegi rzek i wilgotne łąki, na których tu i ówdzie wyrastają kępy gęstych zarośli. 

Miej miłosierdzie dla nas

Swięto Miłosierdzia Bożego, ustanowione przez Jana Pawła II w pierwszą niedzielę po Wielkanocy, staje się coraz bardziej znane nie tylko w Polsce. Za sprawą św. Faustyny, jej „Dzienniczka” i wizerunku Jezusa Miłosiernego świat sięga po miłosierdzie Boże, powtarzając „Jezu, ufam Tobie”. Uczeń, znawca tematu, teologowie mówią, że św. Faustynę i jej dzieło zna dzisiaj już cały świat, w najdalszych zakątkach globu możemy zobaczyć wizerunek Jezusa Miłosiernego od naszej polskiej świętej, z podpisem przetłumaczonym na różne języki, nawet te zapomniane, najbardziej egzotyczne. „Wymaluj obraz według rysunku, który widzisz, z podpisem: »Jezu, ufam Tobie«. Obiecuję, że dusza, która czcić będzie ten obraz, nie zginie. [...] Ja sam bronić ją będę jako swej chwały” (Dz. 47–48). „Córko moja, zachęcaj dusze do odmawiania tej koronki, którą ci podałem. Napisz: »Gdy tę koronkę odmawiać będą, stanę pomiędzy Ojcem a duszą konającą nie jako Sędzia sprawiedliwy, ale jako Zbawiciel miłosierny«” (Dz. 1541).

„Dzienniczka” nie da się czytać tak jak inne zwykłe książki, tu każda linijka zawiera tajemnice, trudne do pojęcia bez odpowiedniego przygotowania, ale czasami wystarczy jakaś tragedia, śmierć kogoś bliskiego, ciężka choroba i zaczynamy szukać drogi do Bożego miłosierdzia. Wystarczy zajrzeć do książki „Ogień z nieba”, autorstwa dwóch księży posługujących w największym w Polsce szpitalu przy ul. Banacha w Warszawie – ks. Mariusza Bernysia i ks. Michała Dłutowskiego – by poznać ludzkie drogi prowadzące w końcu zawsze do Boga. „Ważna jest postawa duchowej pokory przed Bogiem, postawa nędzarza, który umie wyciągać ręce do Boga, aby żebrać. W szpitalu często widzę ludzi, których dopiero choroba i całkowita bezradność zmuszają do przyjęcia takiej postawy wobec Boga. Właśnie w tych trudnych doświadczeniach Bóg walczy o naszą miłość, o to, byśmy Go dostrzegli w naszym życiu. Jest to walka o nasze zbawienie”. Te słowa ks. Bernysia potwierdzają odwieczną mądrość ludową – „Nie ma innej drogi do Boga, tylko przez krzyż”. Często powtarzała tę myśl matka ks. Jerzego Popiełuszki.

Tajemnicę ludzkiego cierpienia i tajemnicę Bożego miłosierdzia najlepiej wyjaśnia życie i nauczanie Jana Pawła II. Właśnie św. Faustyna i Jan Paweł II są dowodem na potwierdzenie słów Jezusa zawartych w „Dzienniczku”: „Polskę szczególnie umiłowałem, a jeżeli posłuszna będzie woli mojej, wywyższę ją w potęgę i świętości. Z niej wyjdzie iskra, która przygotuje świat na przyjście moje”.

Widzimy ostatnio wyraźnie, jak bardzo Unia Europejska, świat Zachodu boi się naszych wartości opartych na miłości do Boga, ojczyzny, wolności. Robią wszystko, by zniszczyć w polskim narodzie chrześcijański fundament, sprofanować nasze największe świętości, całe 1000-letnie dziedzictwo narodowe. Dlatego tak bardzo są nam potrzebne wiedza i głębokie zamyślenie, ale dzisiaj świat żyje powierzchownością, blichтром, przeciętnością, w zapędzeniu gubimy to, co najważniejsze.



Alina Czerniakowska

Boimy się krzyża, uciekamy od cierpienia, liczą się tylko zdrowi, silni, bogaci, jak na reklamowych billboardach. Bóg jest niewygodny w świecie kłamstwa, codziennej pogoni za bogactwem, męka Jezusa i śmierć na krzyżu – odległe i tylko symboliczne, a Święta Wielkanocne są zaledwie wiosennym happeningiem, wypoczynkiem, wyjazdem do modnych kurortów. Często ludzie nie kryją nawet, że jedynym ich motywem religijnym jest wizyta w kościele z tzw. święconką... Życie na luzie i „czarne marsze”, manifestowanie dowolnego zabijania dzieci nienarodzonych! „Dał mi Pan poznać w jednym momencie grzechy świata całego w dniu tym popełnione. Zemdlałam z przerażenia i pomimo że znam całą głębię miłosierdzia Bożego, zdziwiłam się, że Bóg pozwala istnieć ludzkości. I dał mi Pan poznać, kto podtrzymuje istnienie ludzkości: to są dusze wybrane. Kiedy dopełni się miara wybranych, świat istniał nie będzie” (Dz. 926).

Codziennie różne media atakują nas mnóstwem informacji, komentarzy, diametralnie różnych ocen tego samego wydarzenia, w zależności od grup interesów, które prezentują. Dla nas, zwykłych ludzi, ważny jest prosty, podstawowy przekaz – kto mówi prawdę, a kto kłamie – i dotyczy to każdej dziedziny, tej czysto materialnej i tej duchowej. Z tymi pojęciami wiążą się takie najważniejsze sprawy, odwiecznie niezmiennie, jak patriotyzm, miłość do Polski i wiara w Boga. Chociaż na co dzień nie używamy patetycznie brzmiących słów, ale właśnie one są najważniejsze, bo tak jesteśmy stworzeni – „do prawdy, która nas wyzwala”.

Ostatnio można zauważyć w wielu miejscach, nie tylko w kościołach, ludzi ustawiających się w kolejkach, żeby złożyć swój podpis w obronę życia. Inicjatorzy tej wielkiej akcji za życiem, przeciw cywilizacji śmierci posługują się prawdą do niedawna skrywaną, przeinaczaną. „W momencie poczęcia rozpoczyna się życie człowieka, zostają określone wszystkie cechy genetyczne dziecka, płeć, kolor skóry, oczu, włosów, rysy twarzy. 13. dzień – kształtuje się zawiązek układu nerwowego. 21. dzień – bije już serce dziecka, można rozróżnić zawiązki mózgu i rdzenia kręgowego”. Zdjęcia dziecka w łonie matki i tego typu informacje na planszach muszą zastanowić i zatrzymać każdego. Nikt nie ucieknie od odpowiedzi na pytanie, czy wolno zabijać poczęte dzieci. Od tego, jaka będzie odpowiedź na to najważniejsze pytanie, zależy dzisiaj oblicze Europy i świata, bo „jeśli będziemy zabijać własne dzieci, co nas powstrzyma, byśmy się wzajemnie nie pozabijali” – mówiła głośno Matka Teresa z Kalkuty, a nasz papież Jan Paweł II dodawał: „Nie można tutaj mówić o wolności człowieka, bo to jest wolność, która zniewala i znieprawia! Z tego trzeba zrobić rachunek sumienia u progu III Rzeczypospolitej” – wołał dramatycznym głosem w czasie czwartej pielgrzymki do ojczyzny w 1991 r.

Autorka jest reżyserem filmowym, scenarzystką i dziennikarką

Lekcja niemieckiego

Jarosław Kaczyński musi się obawiać więzienia po przegranych wyborach” – to tytuł z... niemieckiego portalu Onet, powołującego się na... „niemiecki dziennik”, żeby nie było, że Ringier Axel Springer sam chce wpakować prezesa PiS do kicia. Tym niemieckim dziennikiem jest lewicowy „Berliner Zeitung”, którego – żeby było jeszcze weselej – redaktorem naczelnym jest Tomasz Kurianowicz, Polak urodzony w Niemczech, z polskim obywatelstwem.

Redaktor Kurianowicz pielęgnuje związki ze starą ojczyzną rodziców, bo widać, że Polska leży mu na sercu. Ma niezły dorobek publicystyczny, tylko dobiera sobie dziwne towarzystwo, że wspomnę jego wywiad (sam się nim szczyci) z Radosławem Sikorskim – gdyby ktoś zapomniał, szefem polskiej dyplomacji, który za premiera Donalda Tuska złożył tzw. hołd berliński. Być może tekst z „Berliner Zeitung”, gazety wieszczącej prezesowi PiS oraz urzędującemu premierowi RP i jego ministrom przyszłość za kratami, wynika z tego, że nikt z wymienionych ani myśli prosić Niemców o przywództwo w Europie. Stąd też zapewne sążniste omówienie przez polskojęzyczny Onet przepowiedni dla rządu Zjednoczonej Prawicy. Bo niemieckie media, w przeciwieństwie do naszych, polskich, brzmią tak harmonicznie jak orkiestra Berliner Philharmoniker.

Ważmy niedawną informację Deutsche Presse-Agentur, powielaną – niestety – także w Polsce, że Niemcy są największym płatnikiem do unijnej kasy, a nasz kraj największym biorcą. W liczbach wymiernych się zgadza, ale to wszakże zniekształcająca rzeczywistość żonglerka danymi. Biorąc bowiem pod uwagę liczbę mieszkańców krajów wspólnoty oraz ich produkty krajowe brutto, Niemcy płacą proporcjonalnie tyle samo, co mała Holandia, Szwecja czy Dania, za to – jeśli chodzi o korzyści – na Niemcy przypada 1/4 zysków na wspólnotowym rynku 27 państw. Co zaś dotyczy Polski, uwzględniając właściwe kryteria liczby ludności i PKB, nasz kraj otrzymuje z unijnych funduszy znacznie mniej niż inne. Dla przykładu Grecja, licząca czterokrotnie mniej mieszkańców, otrzymuje o 6 mld euro więcej od nas, podobnie Belgia czy Węgry. Komu się jednak chce zagłębiać w tabele, zestawienia, słupki i wykresy, czyż nie efektowniej brzmi: Niemcy są „Zahlmeister Europas!” (znaczy: mistrzem wpłat), a Polska największym beneficjentem?

„Trau, schon wem!” (Wierz, ale wiedz komu!) – uczy niemieckie porzekadło. Jest też takie: „Macht geht vor Recht” (Tam prawo, gdzie siła)... I to by było tyle w mojej dzisiejszej lekcji języka niemieckiego.



**Piotr
Cywiński**

Beczała: głos, refleks, szczęście

Jednym tchem czyta się biografię Piotra Beczały. Polski tenor światowej sławy opowiada nie tylko o swoich triumfach na scenach Wiednia, Londynu, Nowego Jorku. Ujawnia też ryzykowne momenty kariery, dzieli się niepokojem o losy opery w rękach wszechwładnych reżyserów.

56-letni dziś artysta marzył w dzieciństwie, by zostać kapitanem żeglugi morskiej. Maturę zrobił w technikum. Predyspozycje wokalne odkryły w nim dyrygentki chórów w rodzinnych Czechowicach-Dziedzicach. Namówiły go na zdawanie do akademii muzycznej. Dostał się, lecz studia mu nie wystarczały. W trudnych latach 80. i 90. XX w. cudem zdobywał środki na doskonalenie głosu podczas kursów mistrzowskich u najlepszych pedagogów w Europie. Dyplom katowickiego konserwatorium odebrał, mając już w kieszeni pięcioletni kontrakt w Linzu.

Wspierany przez żonę Katarzynę, uzdolnioną wokalistkę, która skupiła się na karierze męża, zaczynał tam od drugiej obsady, awansował, poszerzał repertuar. Miał refleks i szczęście. Dzięki nagłemu zastępstwu w 1996 r. w Zurychu, zaistniał w ekstraklasie operowej, blyszcząc wkrótce w wiedeńskiej Staatsoper, mediolańskiej La Scali, londyńskiej Covent Garden, w Paryżu, Berlinie, Madrycie.

W 2006 r. rolę księcia Mantui w operze Verdiego „Rigoletto” debiutował w Metropolitan Opera. W Nowym Jorku Beczała,



**Adam
Ciesielski**

nazwany przez szefa Met, Petera Gelba, największym tenorem lirycznym naszych czasów, jest gwiazdą do dziś. Świeżo oklaskiwano go tam jako tytułowego bohatera „Lohengrina” Wagnera.

Artysta nie ukrywa, że choć jest otwarty na nowe wyzwania, z niepokojem obserwuje na świecie skutki wszechwładzy inscenizatorów. „Dziś potrafię już podczas pierwszego dnia ocenić, czy reżyser kocha operę, czy jej wręcz nienawidzi...”

Piotr Beczała jest wytrwałym ambasadorem muzyki polskiej. To z jego inicjatywy doszło w 2019 r. do wystawienia „Halki” Stanisława Moniuszki w reżyserii Mariusza Trelińskiego

w Theater an der Wien.

W Wiedniu ukazała się też pierwsze wydanie jego biografii (2020 r.) spisanej przez dziennikarkę Susanne Zobl. Teraz wreszcie mamy tłumaczenie polskie. Polecam.

DO KUPNIENIA NA STRONIE
WSKLEPIKU.PL

Piotr Beczała, „W daleki świat. Moje życie z operą w trzech aktach”, spisała Susanne Zobl, tłumaczenie Maria Wagińska-Marzec, Wydawnictwo Poznańskie



PRZEZ ŚWIETLIK

Unia ślepców



**Wiktor
Świetlik**

George Orwell napisał słynny zbiór felietonów pod tytułem „I ślepy by dostrzegł...”. Kto nie dostrzegał? Politycy, manipulatorzy, kłamcy, tchórze, ludzie zaślepieni ideologią. Jeśli ktoś jeszcze nie widzi, że Unia Europejska nie obroniłaby nas przed Rosją, że bez USA byłoby po nas, to musi zaliczać się do którejś z tych dwóch kategorii.

Ubiegły tydzień przyniósł dowody koronne jak zresztą wiele poprzednich. Z jednej strony mieliśmy kolejny triumf geopolityczny Mateusza Morawieckiego, czyli jego wizytę w USA i deklaracje amerykańskiej wiceprezydent o wielopoziomowym wsparciu. A przecież Kamala Harris to miał być lewicowy bicz na PiS-owską Polskę. I co, nagle zaczęła jeść z ręki Morawieckiemu? Dowodzi to tego, że w polityce USA istnieje jednak coś głębszego niż podlizywanie się nowojorskiej prasie i liberalnym fundacjom oraz lansowanie się z modną lewicowością. Jest to interes strategiczny mocarstwa, a polskiemu premierowi od dwóch lat udaje się skutecznie przekonać, że wspieranie nas jest niezbędnym czynnikiem tego interesu.

Z drugiej strony mieliśmy ostentacyjną podróż Emmanuela Macrona do Chin i jeszcze jej ciekawsze podsumowanie ze strony następcy Donalda Tuska w Radzie Europejskiej, Charles'a Michela. Faceta, który godnie reprezentuje linię polityków z Beneluksu dowodzących, że nie trzeba być fizycznie okupowanym przez Niemcy i Francję, by być mentalnym niewolnikiem tamtejszych polityków – małym, szkolnym kłakierem, który zawsze wie najlepiej, co jest w interesie najsilniejszego łobuza w klasie.

W sytuacji, gdy na Ukrainie dochodzi do przełomowej być może bitwy, być może mającej gigantyczny wpływ na bezpieczeństwo całej Europy Wschodniej, Michel w imieniu nieokreślonego grona europejskich przywódców zadeklarował konieczność uzyskania strategicznej autonomii od USA. Co to oznacza w tłumaczeniu na polski? „Będziemy się kierować własnym, ciasnym interesem narodowym, starali się wrócić do jak najszybszych interesów z Rosją, by zdusić u siebie inflację i zapewnić bezpieczeństwo energetyczne Zachodu, choćby i waszym kosztem”.

Przecież Polska wcale nie deklaruje ani nie realizuje współdziałania z USA za wszelką cenę. Nie rwiemy się do awantur z Chinami, w przypadku kłótni między koreańskimi i amerykańskimi konsorcjami o budowę elektrowni jądrowej u nas odpowiadamy, że będziemy się kierować własnym interesem. Ale w sprawie istotnej dla tego, byśmy w ogóle byli na tym Bożym świecie – a jest nią powstrzymanie Rosji i zbrojenie nas po zęby, a także rozwijanie współpracy gospodarczej – oba kraje są dziś wyjątkowo wobec siebie lojalne. Ten rodzaj lojalności i wywiązywania się z umów nawet nie mieści się w instrumentarium egoistycznego, lewicowego populisty z Francji, który od lat skutecznie szkodzi nie tylko jednoci europejskiej, lecz także w dłuższej perspektywie – własnemu krajowi. Choć nie w takim stopniu, w jakim robiliby to jego nadwiślańscy odpowiednicy, gdyby tylko znowu dorwali się do władzy. 

Wyjść czy nie wyjść? – oto jest pytanie

Tytuł felietonu odnosi się do naszej obecności w Unii Europejskiej. Przy niechęci większości rodaków do polexitu to pytanie jest na dziś retoryczne. Za naszą wschodnią granicą trwa konwencjonalna wojna Ukrainy z rosyjskim dominatorem. I każdy zły ruch może mieć dla nas fatalne konsekwencje! A tęsknoty za powrotem do dawnej współpracy gospodarczej Niemiec i Rosji nadal nie są zbyt skrywane.

Trwające od lat próby „skolonizowania” Polski przez zarządzaną przez tychże Niemców Unię Europejską zyskały teraz dodatkową formę szantażu: deal konstytucyjnej suwerenności Rzeczypospolitej w zamian za bezpieczeństwo. Przy czym – znając determinację zachodnich przywódców i ich społeczeństw do umierania za przysłowiowy Gdańsk – ten unijny parasol ochronny jest bardzo iluzoryczny. Znacznie solidniej przedstawiają się gwarancje paktu NATO z USA i Anglią na czele (oba kraje spoza UE). Z jakichś powodów Ameryka gra dziś na osłabienie Rosji i z silną



**Lech
Makowiecki**

Polską jest jej po drodze. Niegdyś – w podobnej sytuacji – skorzystały na tym Turcja i Korea Południowa, osiągając status regionalnych mocarstw. Koreańczycy stali się przy tym azjatyckim tygrysem gospodarczym, co przy pracowitości i wykształceniu Polaków może zaowocować podobnym sukcesem nad Wisłą.

Znając swoje atuty, powinniśmy zatem twardo egzekwować warunki współpracy zarówno z Unią, jak i ze Stanami Zjednoczonymi. I zdecydowanie uciec do przodu: zbudować silną ekonomicznie, militarnie i tożsamościowo Polskę, o znaczącym potencjale odstraszenia. Tylko to może skutecznie wyhamować neoimperialne zakusy Putina i zastopować neokolonialne apetyty Niemiec. Pora na wygrywanie bitew bez krwawej walki – zgodnie z zasadami „Sztuki wojny” chińskiego gen. Sun Tzu i rzymską maksymą: *Si vis pacem, para bellum*.

PS Jesteśmy dużym rynkiem zbytu dla UE. I najważniejszym krajem wschodniej flanki NATO. Negocjujmy twardo z USA! Postawmy się fanaberii Unii! Wychodzenie to ostateczność. 

Michał Korsun prezentuje: **Gerhard Schroeder**
– w pajęczynie powiązań biznesowych



Wycinki z przeszłości

60 lat temu, w 1963 r., Amerykanie rozpoczęli program lotów kosmicznych Gemini, który zastąpił program Mercury, a poprzedził program Apollo. Gemini był przygotowany do wysłania ludzi na Księżyc. Nawiązuje do tego celu nazwa, bo słowo *gemin* po łacinie oznacza bliźnięta, a załogi były dwuosobowe. Jak wiemy, wysiłek się opłacił, a loty w kosmos rozpały wtedy wyobraźnię, czego dowodem są reproduktowane obok znaczki pocztowe z epoki. Przykro, że dziś zamiast patrzeć w górę, sięgać dalej, ludzkość pograża się w dyskusji o liczbie płci i możliwości jej dowolnej, na pstryknięcie, zmiany. Ciemna epoka.

(mk)



Nieuchronność i bezradność

To jeszcze może klasyczny „pośmiertny czas czyśćca”, żeby właściwie ogarnąć bogactwo i rangę pozostawionej spuścizny. Na razie u podnóża tej Góry – Jarosław Marek – harcują pojedynczy śmiałkowie. Zamiast sił się na centymetrach tej rubryki na jakąś opinię (oprócz „czapki z głów”) uważam za lepsze oddać tu głos jemu samemu. „Cokolwiek jeszcze zrobię, cokolwiek nie napiszę [...], tajemnica świata nie przybliży się do mnie i nie oddali ode mnie. Pozostanie zawsze w tym samym miejscu, w którym była zawsze – nieruchoma, nieprzenikalna [...]. Wszelkie próby odczytania jej, kończą się tym samym”.



Leszek Długosz

Jarosław Marek Rymkiewicz (1935–2022)
„Zbaraż 1979”

*Biały księżyc oświecła nasze białe kości
Nie ma dla nas ratunku i nie ma litości*

*Buldożer nas rozdziera i plug po nas orze
Nasza dola niewola pewnie z woli Bożej*

*Pewnie z Bożej niełaski pewnie kara Boża
Na te czaszki płaczące od morza do morza*

*Na te suche pieszczelce co się w ziemię wryły
Na te – biały księżycu – gdzie są te mogiły*

*Zaorane worane w kolchozowe pola
A ile to stuleci ma trwać ta niewola*

*A ile to stuleci – o księżycu białe –
Będziemy czekać w próchnie na pośmiertną chwałę*

*A cośmy zbudowali oto jest w ruinach
Zgnile czaszki: to Polsko masz po twoich synach*

*Nie ma dla nas litości ani przebaczenia
I tylko biały księżyc w krwawy się zamienia*

*A gdy już księżyc zajdzie gdy już śpią sowioci
Widzimy: czyjś duch biały nad tym wzgórzem leci*

*Odlamki gwiazd i czaszek biją o pancerze
A ten duch nas w ramiona jako ojciec bierze*

*Zgnyły już nasze kości naszych serc już nie ma
A on czego chce od nas ten we krwi Jarema?*

Zamów Prenumeratę! Według nowego cennika

CENNIK PRENUMERAT*	OKRES PRENUMERATY		
	3 miesiące	6 miesięcy	12 miesięcy
SIECI	82 zł	149 zł	265 zł
wSIECI HISTORII	–	34 zł (3 wydania)	59 zł (6 wydań)
pakiet SIECI i wSIECI HISTORII	–	169 zł (w tym 3 wydania wSIECI HISTORII)	295 zł (w tym 6 wydań wSIECI HISTORII)

*dane do przedruku w stopce redakcyjnej

OD A DO ZYBERTOWICZA

Zapóźnienie strategiczne

Przysłano mi książkę, którą w Polsce wydano w 2022 r. Autorem jest Friedrich Naumann, niemiecki polityk i pastor. W oryginale po raz pierwszy ukazała się w 1915 r. i została wtedy bestsellerem. Tytuł oryginalny to jedno słowo: „Mitteleuropa”. Na karcie tytułowej wydania polskiego czytamy zaś: „Mitteleuropa – nowy porządek w sercu Europy”.

Ten opis dotyczącego nas niemieckiego projektu cywilizacyjnego wydał kierowany przez prof. Magdalenę Gawin Instytut Pileckiego, a przemowę napisał prof. Grzegorz Kucharczyk.

„Mitteleuropa” jest ważną publikacją. Obszerne fragmenty tej książki jeszcze dziś można czytać z zainteresowaniem, a miejscami z fascynacją. Ale dla mnie centralny jest fakt tak późnego, po ponad 100 latach, wydania jej w Polsce.

GEOGRAFIA I DOMINACJA

Gdyby słowo „Mitteleuropa” – Europa Środkowa – było *tylko* pojęciem geograficznym, nie byłoby potrzeby poświęcania mu większej uwagi. Ale sprawa wygląda zgoła inaczej. Już w czasie wydania tej książki było widać – i tak się rzecz ma do dzisiaj – że jest to jednocześnie pojęcie kulturowe, polityczne, a nawet wprost strategiczne!

Pojęcie, które określa planowaną – a w istocie skuteczną dopiero w ramach UE – przestrzeń niemieckiej wielowymiarowej dominacji. Wielowymiarowej, gdyż mającej jednocześnie charakter kulturowy, polityczny i gospodarczy. Przestrzeń właśnie dominacji, a nie okupacji czy panowania za pomocą nagiej przemocy. Dominacji nad całą grupą krajów, która rozciąga się od Bałtyku i Morza Czarnego aż po Adriatyk. A dla Niemców Polacy są tu kluczowi.

ISTOTA MITTELEUROPY

Naumann w książce pisanej w tej fazie I wojny światowej, gdy Niemcy odnosiły



*Książka, której idee
od ponad 100 lat
oddziałują na myślenie
elit społeczeństwa
niemieckiego, wreszcie
ukazała się u nas.
To poważne zapóźnienie
wydawnicze*

sukcesy na frontach, jasno pokazał, że nie chodzi o wzmaganie przemocy ani o germanizację. Sednem projektu Mitteleupy jest coś, co mówiąc językiem teorii władzy, można nazwać przewagą strukturalną. Czyli taką, która zapewnia hegemonię na wiele dekad.

W kontekście Polski Kucharczyk mówi, że istotą Mitteleupy jest szklany sufit, czyli trwała bariera rozwojowa nałożona na nasz kraj przez Niemcy. Bariera ta nie tylko nie pozwala nam odgrywać samodzielnej roli podmiotowej w polityce międzynarodowej, lecz także ogranicza swobodę polskich władz w zarządzaniu sprawami wewnętrznymi. Bariera ta czyni z Polski niemiecki zasób buforowy.

Książka, której idee od ponad 100 lat oddziałują na myślenie szeroko rozumia-

nych elit społeczeństwa niemieckiego, wreszcie ukazała się u nas. To poważne zapóźnienie wydawnicze jest zarazem oznaką głębszego, nader niekorzystnego dla pomyślności naszego kraju innego zapóźnienia – na polu kultury strategicznej.

Z jednej strony mamy oto w Europie kraje od stuleci przyzwyczajone do podmiotowości i patrzenia z góry na nas – „niepełnosprawnych”, niedojrzałych Europejczyków. Z drugiej zaś wielu z nas wpada w pułapkę bezrefleksyjnego podążania w „głównym nurcie przemian europejskich”.

INSTYNKT STRATEGICZNY

Słaba kultura strategiczna oznacza m.in. deficyt instynktu strategicznego wśród polskiego społeczeństwa, a także wśród naszych elit, w tym – co najbardziej boli – utalentowanej młodzieży. Nawet gdy mamy do dyspozycji zasoby, nie korzystamy z nich wedle własnego projektu. Podczepiamy się pod inne działania, które nie składają się na ugrzeczniiony wariant: Polska.

O deficycie instynktu strategicznego napiszę tu niebawem, dziś tylko napomknę o „Najlepszym miejscu na świecie”, książce Jacka Bartosiaka. Jej autor próbuje wybudzić Polaków ze swoistej drzemki strategicznej.

Bartosiak, jak twierdzą jego krytycy, może myli się w dziesiątkach spraw. Ale w tej zasadniczej ma mnóstwo racji: gdy mówi o głębokiej niedojrzałości naszej kultury strategicznej.

Środowisko dobrej zmiany wzięło na swoje barki ciężar „cholery niepodległości” (że posłużę się tytułem wydanej w 2012 r. książki Piotra Wierzbickiego). Nadal jednak brak nam dostatecznie szerokiego spojrzenia, umiejętności łączenia codziennej pracy organicznej z szybkimi, bezpośrednimi reakcjami na wyzwania. Debata nad książką Naumanna może posłużyć jednemu i drugiemu.

Andrzej Zybertowicz



Sprawdź, jak to jest zyskiwać VELOkrotnie

- **do 600 zł** zwrotu za zakupy kartą, telefonem lub BLIKIEM
- **8% w skali roku** na nowe środki na koncie oszczędnościowym
- **wygodna** aplikacja mobilna

velobank.pl

W ramach promocji „Witaj w VeloBanku” - edycja 1/2023 wypłacimy Ci na konto oszczędnościowe VeloSkarbonka 10% wartości Twoich zakupów kartą, telefonem lub BLIKIEM - maksymalnie 100 zł w ciągu każdych kolejnych 30 dni od daty otwarcia VeloKonta i maksymalnie 600 zł podczas 180 dni okresu trwania promocji. Możesz przystąpić do promocji do 31.08.2023 r. Aby przystąpić do promocji, musisz mieć VeloKonto, VeloSkarbonkę, aktywne zgody marketingowe oraz nie mieć u nas konta od 31.10.2022 r.

Oprocentowanie stałe 8% w skali roku do 200 tys. zł oraz 6% w skali roku dla nadwyżki od 200 tys. zł do 400 tys. zł w Ofercie Specjalnej „Nowe środki na Elastycznym Koncie Oszczędnościowym” (edycja 5/2023) dotyczy nowych środków i obowiązuje przez 3 miesiące. Możesz skorzystać z oferty, jeśli do 1.06.2023 r. wpłacisz nowe środki na Elastyczne Konto Oszczędnościowe i wyrazisz dla nas zgody marketingowe. Szczegóły oferty, w tym definicja „nowych środków”, w regulaminie Oferty Specjalnej.

Regulaminy promocji/oferty, regulamin rachunków, szczegóły oferty VeloKonta, opłaty i prowizje udostępniamy na velobank.pl i w naszych placówkach. VeloKonto, VeloSkarbonka i Elastyczne Konto Oszczędnościowe to prowadzenie rachunków płatniczych. Bankowość mobilna (aplikacja VeloBank) to usługa bankowości elektronicznej. Produkt oferuje VeloBank S.A.

EnerSOL! - zestawy
fotowoltaiczne

Korzystaj z energii słońca i obniż rachunki za prąd w Twojej firmie

Zestawy fotowoltaiczne EnerSOL! to nowoczesne i ekologiczne rozwiązanie, które pozwoli Ci oszczędzać już pierwszego dnia użytkowania. Instalacja fotowoltaiczna zapewnia niezależność od podwyżek cen energii elektrycznej, a także pomaga obniżyć rachunki i pozyskać czystą energię prosto ze słońca.

EnerSOL! to propozycja dla klientów, którzy wykorzystają energię elektryczną m.in. do procesów technologicznych czy oświetlenia hal magazynowych. Rozwiązania to daje możliwość zainstalowania paneli fotowoltaicznych na dachu budynków lub na gruncie.

Nasze zestawy fotowoltaiczne EnerSOL! to gwarancja wysokiej jakości i profesjonalnego podejścia.

Zapewniamy Ci:

- kompleksową obsługę i doradztwo.
- komponenty od najlepszych producentów.
- możliwość skorzystania z korzystnej oferty kredytowania.
- pomoc w załatwianiu wszelkich formalności.

Sprawdź

